

11 120 829

# GABINET N 13

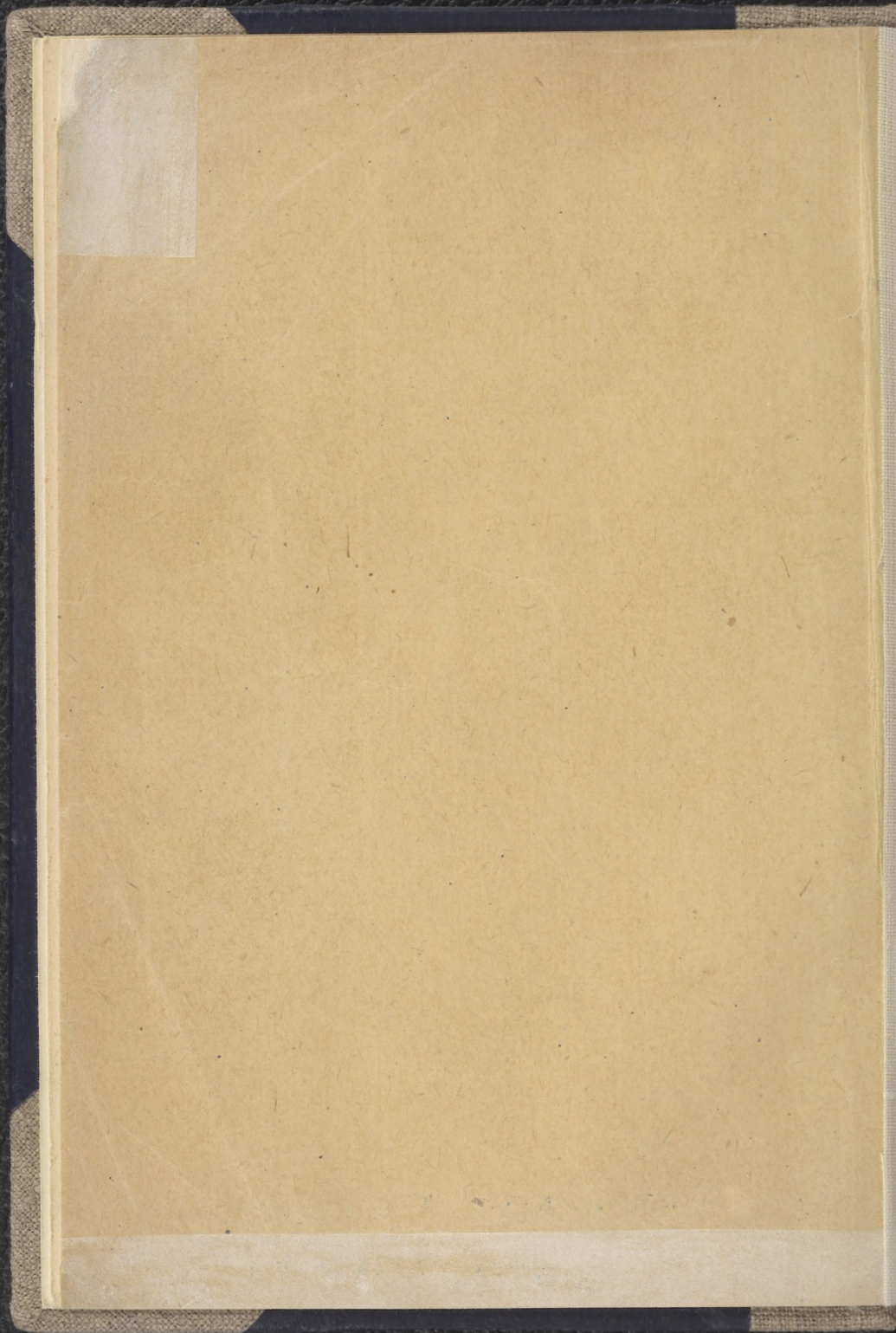


EDGAR WALLACE

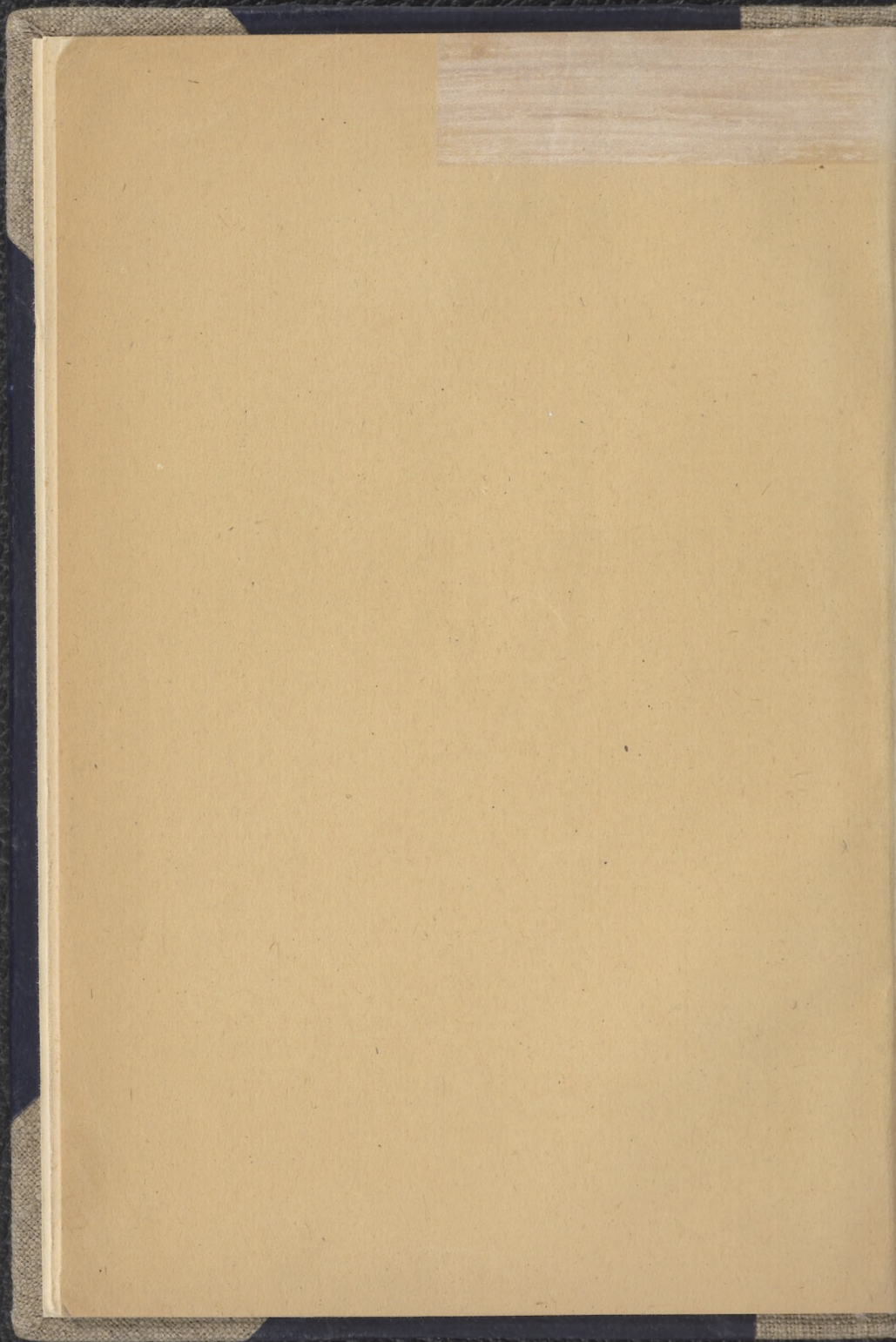
Powieści Kryminalne

Edgara Wallacea

czyta się jednym tchem.



EDGAR WALLACE  
GABINET Nr. 13  
POWIEŚĆ





EDGAR WALLACE

# GABINET Nr. 13

(ROOM 13)

POWIEŚĆ

WYDAWNICTWO J. KUBICKIEGO  
W WARSZAWIE

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001014352575



II. 1.220.829



1972 k 2942/58

## ROZDZIAŁ I

Nad ponurym portalem kamiennym widniały wyrzeźbione słowa:

PARCERE SUBJECTIS.

W dni chłodne Johnny Gray tłumaczył napis ten żargonem swych towarzyszków jako: „Kłatka na ptaszki“. W każdym razie tłumaczenie „Oszczędzać zwyciężonych“ nie miało zupełnie sensu, gdyż nie był on ani zwyciężony, ani oszczędzany.

Codziennie on i Lal Morgon, wprężeni w ciężką taczkę ręczną, pchali swe brzemię pod stromy stok, codziennie patrzeli roztargnionym wzrokiem, jak rudobrody wartownik wkładał klucz do potężnego, błyszczącego zamka i otwierał bramę. Potem mały pochód z ubrojonym dozorcą z przodu i uzbrojonym dozorcą z tyłu przechodził, i wrota zamykały się znowu.

O czwartej wracał znów pod bramę więzienną i czekał, aż taczki zostaną wpuszczone.

Znali każdy budynek aż do obrzydzenia. Nędzne „sale“, wysmarowane smołą przeciw burzom okolic Dartmoor, niskie biuro, gazownia, wielka jak szopa pralnia, stara piekarnia, dziedziniec brukowany asfaltem, brzydka choć wystrojona kaplica, długie, wyszorowane ławki z podwyższonymi siedzeniami dla dozorców... i cmentarz, gdzie szczęśliwie wyzwoleni „dożywotni“ wypoczywali po trudach żywota.

Pewnego poranku wiosennego wyszedł z oddziałem roboczym za bramę więzienną. Budowali szopę, a Johnny przyjął na siebie godność i odpowiedzialność murarza. Lubił tę robotę, gdyż można było przy niej rozmawiać swobodnie, a Johnny Gray chciał się dowiedzieć od Lala Morgona czegoś o największym „drukarzu”.

— Tylko dziś nie za wiele gadać, — rzekł dozorca i zasiadł na stosie cegieł, przykrytym workiem.

— Nie, sir, — odparł Lal.

Był to chudy „dożywotni” w wieku około pięćdziesięciu lat, który miał tylko jedną ambicję: żyć jeszcze dość długo, aby sobie zasłużyć na nową karę więzienia.

— Ale nie przez jakieś tam włamanie, Gray, — rzekł, kładąc cegłę na właściwe miejsce; — ani przez strzelanie, jak stary Legge wlaźł do więzienia; ani przez szwindel ze Spider King’iem, jak ty na swoje zarobiłeś.

— Ja swoich trzech lat nie dostałem przez szwindelze Spider King’iem, — odparł Johnny spokojnie. — Nie wiedziałem, że Spider King był przemycony, kiedy go brałem na tor, nie wiedziałem, że to był zupełnie inny koń. Podstawili Spider King’a, żeby mię wpakować. Nie skarzę się na to.

— Wiem, że jesteś niewinny — jak wszyscy tutaj, — rzekł Lal pobłażliwie. — Jestem w tej klatce jedynym winnym. Dyrektor też to mówi. „Morgon”, powiada, „rad jestem, że mam przynajmniej jednego winnego, który nie jest ofiarą intryg lub okoliczności, jak wszyscy inni w tym zakładzie”, powiada.

Johnny nie odezwał się więcej na ten temat. Nie miał powodu. Fakt ten był ponad wszelkim sporem. Był on najdokładniej poinformowany o wielkich oszustwach na placach wyścigowych i pozostawał w związku z ludźmi, którzy zakładali się o przemycane konie. Przyjął zasądzoną mu za to karę trzech lat więzienia bez szemrania,

bez skargi. Nie dlatego, aby popełnił przestępstwo, o które go oskarżono, nie, miał inną poważną przyczynę.

— Jeżeli zwalili na ciebie winę, to dlatego, że jesteś głupcem, — rzekł stary Lal. — Poto są głupcy na świecie, żeby ich zasypywać. Co powiedział na to stary Kane?

— Nie widziałem mr. Kane'a, — odparł Johnny krótko.

— I on był z pewnością zdania, że jesteś głupcem, — rzekł Lal z satysfakcją. — Podaj mi cegłę, Gray, i zamknij buzię! Idzie długonosy oprawca.

„Długonosy oprawca“ nie był gorszy, niż jakikolwiek inny dozorca. Przywłókł się ze swoim kijem, którego rączka wystawała z kieszeni, a rzemyk na dłoń chybotął się przy niej.

— Nie gadać tyle, — rzekł automatycznie.

— Poprosiłem o cegłę, sir, — rzekł Lal pokornie. — Te cegły nie są tak dobre, jak poprzedni transport.

— Już to zauważyłem, — rzekł dozorca, oglądając bawdawczo cegłę niezadowolonym wzrokiem znawcy.

— Myślę, że pan to zauważył, sir, — przytaknął pochlebca z prawdziwym wyrazem podziwu i szacunku. A gdy się dozorca oddalił, Lal rzekł spokojnie:

— Ten krótkowzroczny nochal nie potrafi odróżnić cegły od pieca gazowego. To ten chłop, którego stary Legge przekupił, kiedy tu siedział — co drugi dzień dostawał prywatne listy. Ale stary Legge ma pieniądze. On i Piotr Kane rozpruli stalową kasę na „Orsonic'a“ i ulotnili się z milionem dolarów. Piotra nie złapali, ale Legge był lekkomyślny. Zastrzelił „policaję“ — i dostał dożywotnie więzienie.

Johnny słyszał już ze sto razy historję Legge'a, ale w wieku, w jakim znajdował się Lal Morgon, każda historja, którą opowiadał, była nowa.

— Dlatego nienawidzi Piotra, — ciągnął gadatliwy murarz. — Dlatego on i młody Legge dostaną jeszcze

Kane'a w swoje łapy. A młody Legge to sprytny chłop! Gadaj co chcesz: w trzydziestym roku życia największy fałszerz pieniędzy na świecie! A nie są to zwyczajne banknoty. Najlepsi eksperci otwierają gęby, kiedy widzą pieniądze młodego Legge'a — nie mogą ich odróżnić od prawdziwych szmat Banku Angielskiego. A policja i tajni od lat depczą mu po piętach — i nie mogą go złapać!

Dzień był gorący i Lal zdjął kurtkę w czerwone i niebieskie pasy. Nosił jak i inni robotnicy poplamione żółte spodnie ze słabym odciskiem pieczęci więziennej. Na łydkach miał żółte getry. Koszula jego była z grubej bawełny, biała z wąskimi niebieskimi paskami, a na głowie nosił czapczkę, ozdobioną tajemniczymi literami, oznaczającymi daty jego wyroków.

— Nie spotkałeś się nigdy z młodym Jeffem? — zapytał Lal, wyglądając starannie zaprawę. Pytanie jego brzmiało raczej, jak stwierdzenie faktu.

— Widziałem go — ale nie poznałem go nigdy, — brzmiała ponura odpowiedź Johna, a coś w jego głosie zwróciło uwagę starego więźnia.

— On mię „wkopał“, — rzekł Johnny, a Lal wyraził swe zdumienie przez kiwnięcie głową, które śmiesznie podobne było do ukłonu.

— Nie wiem dlaczego, ale wiem, że on mię „wkopał“, — rzekł Johnny. — To on urządził cały szwindel, skłonił mię do wprowadzenia konia na tor, a potem „zasypał mię“. Aż do tego czasu nie wiedziałem, że rzekomy Spider King był zrecznie podstawionym Boy Sounders'em.

— „Sypanie“ to brzydka rzecz, — rzekł Lal, który wydawał się zmieszany i zakłopotany. — I do tego syn Emanuela Legge'a! Dlaczego to zrobił — czy nabrałeś go z forsa? Johnny potrząsnął głową.

— Nie wiem. Jeżeli to prawda, że on nienawidzi Piotra Kane'a, to może to zrobił przez zemstę, bo wie, że ja Piotra bardzo lubię i... tak, że ja Piotra bardzo lubię. Kane ostrzegał mię nawet przed zadawaniem się z szajką, która ze mną na wyścigach...

— *Przestańcie tam nareszcie gadać!*

Przez pewien czas pracowali w milczeniu. Potem:

— Oprawca każe jeszcze kogoś w tych dniach powiesić, — rzekł Lal spokojnie. — To ten chłop, któremu mały Lew Morse zawdzięcza chłostę — podobno go u kowala omal nie zabił śrubociągiem. Szkoda! Lew był już po kieliszku, a mówił nieraz, że wolałby być martwy niż trzeźwy.

O godzinie czwartej oddział roboczy wyruszył zpowrotem po wąskiej uliczce w stronę wrót więziennych.

#### PARCERE SUBJECTIS.

Johnny spojrzał w górę i kiwnął głową w stronę szyderczych słów. Zdawało mu się, jakoby napis z portalu odpowiedział na jego pozdrowienie. O pół do piątej wszedł do swej samotnej celi, żółte drzwi zamknęły się za nim z metalicznym dźwiękiem.

Była to duża, wysoka cela, a barwa złożonych pleców nadawała jej pozoru hulaszczey wesołości. Na deseczce w jednym kącie widniała fotografia foksterjera, który z pytającym wyrazem zwracał do niego śliczną główkę.

Johnny napełnił kubek wodą i wypił duszkiem, podczas gdy spojrzenie jego spoczywało na zakratowanym oknie. Za chwilę podadzą mu herbatę, a potem na przeciąg osiemnastu i pół godzin na drzwi założony będzie zamek. Przez osiemnaście i pół godzin musiał spędzać czas, jak umiał. Póki było jasno, mógł czytać — tom opowiadań podróżniczych leżał na gzymsie, który służył za stół. Mógł też pisać na swojej tabliczce, albo rysować konie i psy, lub

rozwiązywać nieskończenie długie zadania rachunkowe, albo pisać wiersze... albo myśleć!

To było najgorsze zajęcie. Przeszedł przez celę i zdjął fotografię. Brzeg był wskutek częstego dotykania zupełnie miękki; z półuśmiechem spozjrzał terjerowi w wielkie oczy.

— Szkoda, że nie umiesz pisać, stary Spotku, — rzekł.

Inni umieli pisać i robili to, pomyślał, odstawiając fotografię na miejsce. Ale Piotr Kane prawie nigdy nie wspominał o Marney, a Marney od... długiego czasu nie pisała już. Nie oznaczało to nic dobrego, było to bardzo znamienne, ponieważ nawet decydujące. Krótka uwaga, „Marney jest zdrowa“, albo „Marney dziękuje za pamięć“, to było wszystko.

W tych krótkich zdaniach widniała jasno cała historia, historia miłości Piotra do córki i jego postanowienie, że nie poślubi ona człowieka, na którym ciąży plama więzienia. Ubóstwienie córki było u Piotra prawie manją — jej szczęście i jej przyszłość stały zawsze na pierwszym miejscu i musiały zawsze stać na pierwszym miejscu. Piotr lubił go — Johnny czuł to. Życzliwość, jaką mu okazywał, była życzliwością ojca dla dorosłego syna. Gdyby nieszczęsna głupota nie wpędziła go do więzienia, Piotr dałby mu Marney, tak jak ona sama gotowa była dać mu swoje serce.

— Tak, tak, — rzekł Johnny, pogrążony w myślach.

Potem nadeszła herbata, ostatnie zamknięcie drzwi, głęboka cisza... i znowu myśli.

Dlaczego młody Legge zwabił go do pułapki? Widział go raz tylko w życiu; nie poznali się nigdy. Przypadek to był tylko, że widział raz młodego fałszerza pieniędzy. Nie mógł on przypuszczać, że człowiek, którego „wkopał“, znał go, gdyż Jeff Legge był osobą iluzoryczną. Nie widywano go nigdy w zwykłych miejscach schadzek, gdzie „świat przestępców“ spotyka się, aby się przechwalać, układać nowe plany, albo rozkoszować się winem lub miłością.



Klucz zgrytnął w zamku i Johnny podniósł się. Zapomniał, że był to wieczór, w którym odwiedzał go kapelan więzienny.

— Siadajcie, Gray. — Drzwi zamknęły się za duchownym, który usiadł na łóżku Johna.

Dziwnym zbiegiem okoliczności podjął on nic rozmyślań Johna w miejscu, w którym ją przerwał swem wejściem.

— Chciałbym usłyszeć wasze prawdziwe zdanie o tym Legge'u... syna mam na myśli. Nie na wiele się zda rozmyślać dużo o rzeczywistych czy urojonych krzywdach, a wy zbliżacie się już do kresu swej kary. Będziecie mieli sposobność do ujawnienia swej urazy. Ale, Gray, nie chciałbym zobaczyć was tu znowu.

John Gray uśmiechnął się.

— *Tutaj* mnie pan już nie zobaczy! — rzekł ze znaczącym akcentem. — Co do Jeffa Legge, to wiem o nim mało, choć gorliwie o nim myślałem i słuchałem.

Kapelan w zamyśleniu potrząsnął głową.

— Ja o nim mało słyszałem; nazywają go Wielkim Drukarzem, prawda? Że Europa zarzucona jest fałszywymi pieniędzmi, o tem oczywiście wiem; wiem też, że policji nie udało się dotychczas schwytać człowieka, który je puszcza w obieg. Czy to jest Jeff Legge?

Johnny nie odpowiedział, a kapelan uśmiechnął się z lekkim niezadowoleniem.

— Nie będziesz zdradzał — jedenaste przykazanie, prawda? — zapytał dobrodusznie. — Obawiam się, że byłem niedyskretny. Kiedy kończy się wasza kara?

— Za sześć miesięcy, — odpowiedział Johnny, — nie będę się martwił.

— Co zrobicie? Czy macie pieniądze?

Wargi więźnia zadrgały.

— Tak, mam trzy tysiące rocznie, — rzekł ze spokojem. — Okoliczność ta z pewnych względów nie została ujawniona na śiedztwie. Nie, padre, pieniędzy mi nie brak. Mam zamiar podróżować. W każdym razie nie będę usiłował zadawać kłamu swojej niechwalebnej przeszłości.

— To znaczy, że nie macie zamiaru zmienić nazwiska, — rzekł kapelan. — Well, z trzema tysiącami rocznie nie wyobrażam sobie, żebyście tu powrócili. — Nagle przypomniał sobie coś. Sięgnął do kieszeni i wyjął list. — Wicedyrektor dał mi to dla was. Byłbym zapomniał. Nadszedł dziś rano.

List, jak wszystkie listy, które otrzymywali więźniowie, był otwarty, i Johnny rzucił obojętne spojrzenie na kopertę. Nie był to list od jego adwokata, jak się spodziewał. Widniało na nim śmiałe pismo Piotra Kane — pierwszy list, jaki John dostał od niego od sześciu miesięcy. Zaczekał, aż drzwi zamknęły się za duchownym, i potem dopiero wyjął list z koperty. Było to tylko kilka wierszy:

*Drogi Johnny, mam nadzieję, że wiadomość, jaką Ci mam do zakomunikowania, nie przejmie Cię zbytnio. Marney wychodzi za majora Floyda z Toronto. Wiem, że serce Twoje jest dość wielkie i dobre, aby jej życzyć szczęścia. Człowiek, za którego wychodzi, jest rzeczywiście dzielnym chłopcem, który ją uszczęśliwi.*

Johnny położył list na gzymsie i przez dziesięć minut przechadzał się po celi z rękoma założonemi na grzbiecie. Marney wychodzi za mąż! Twarz jego była blada i skupiona, wzrok ponuro zasępiiony. Zatrzymał się i drżącymi dłońmi napełnił kubek wodą; potem podniósł go w stronę okna, wychodzącego na wschód.

— Za twoje szczęście, Marney! — rzekł głosem ochryplym i wchylił kubek.

## ROZDZIAŁ II.

W dwa dni później Johnny Gray został wezwany do gabinetu dyrektora, aby usłyszeć ważną wiadomość.

— Gray, mam dla was dobrą nowinę. Jesteście wolny. W tej chwili dostałem rozkaz zwolnienia.

Johnny pochylił głowę.

— Dziękuję panu, sir, — rzekł.

Dozorca zaprowadził go do umywalni, gdzie Johnny zdjął ubranie więzienne. Potem, owinięty pledem, przeszedł do drugiego pokoju, gdzie czekało na niego cywilne ubranie. Ubrał się z dziwnym uczuciem i powrócił do swojej celi. Dozorca przyniósł mu przyrządy do golenia i lustro, aby mógł uzupełnić swą toaletę.

Reszta dnia należała do niego. Był człowiekiem uprzywilejowanym i mógł spacerować w swym niezwykłym stroju po więzieniu, stając się przedmiotem zazdrości dla ludzi, których poznał i którymi nauczył się gardzić; owych napół obłąkanych, którzy jak długi rok szeptali mu do ucha swe szalone historie.

Kiedy tak stał beczynnym w hall'u, drzwi otworzyły się gwałtownie i wbiegła gromada ludzi. Pośrodku nich krzyczało i wyło coś, co nie wyglądało ani jak człowiek, ani jak zwierzę. Twarz była pokrwawiona, a dozorczy z trudnością usiłowali powstrzymać tłukące dokoła ręce.

Johnny obserwował straszliwą grupę, która zbliżała się do cel karnych.

— Fenner, — szepnął mu ktoś. — Pobił dozorcę, ale nie mogą mu dać znowu chłosty.

— Fenner to ten dwunastoletni, który odsiaduje właśnie ostatnie dni? — zapytał Johnny, który przypomniał sobie więźnia. — Zdaje się, że jutro ma być wolny!

— To on, — rzekł rozmówca Gray'a, jeden z więźniów, zamiatających hall. — Wykręciłby się dziewięcioma latami, ale stary Legge zasypał go. Zawsze ten stary, co? Do jutra tylko mogliby go chłostać, a komisarze nadzorczy nie przyjdą przed upływem tygodnia.

Johnny przypominał sobie dobrze tę sprawę. W obecności Legge'a człowiek ten doznał brutalnej obelgi czynnej ze strony jednego z dozorców, który został potem zwolniony ze służby. W rozpacz odpowiedzią nieszczęsny Fenner na uderzenie uderzeniem i został poddany przesłuchaniu. Świadeństwo Legge'a mogło go uwolnić od kary, która go spotkała, ale Legge był nazbyt zaprzyjaźniony z dozorcami, aby zdradzić „oprawcę“. Spotkała więc Fennera chłosta, której teraz już miał uniknąć.

Ostatniej nocy w celi nie mógł Johnny spać. Myśli o Marney nie opuszczały go. Ani przez chwilę nie robił jej wyrzutów, nie czuł też żalu do jej ojca. Słuszne było, że Piotr Kane dbał o dobro córki. Ustawiczna troska o los Marney stała się prawie zmorem starego Kane'a, nie opuszczała go nigdy. Johnny domyślał się, że od poznania Kandyjczyka Piotr robił wszystko, co w jego mocy, aby doprowadzić do małżeństwa.

Johnny Gray wszedł po raz ostatni pod stromy stok. Klucz przekręcił się w zamku, i Johnny znalazł się za bramą. wolny, Rudobrody dozorca wyciągnął reke.

— Szczęśliwej drogi, — mruknął. — Nie wracajcie więcej „przez Alpy“.

— Zerwałem już z alpinizmem, — rzekł Johnny.

Pożegnał się już z dyrektorem, a jedyne, co przypominało mu jeszcze o stosunkach z ponurem więzieniem, był to dozorca, który siedł obok niego na stację. Do pociągu było jeszcze trochę czasu i Johnny spróbował zasięgnąć wiadomości z innego źródła.

— Nie, nie znam Jeffa Legge, — rzekł dozorca, potrząsając głową. — Starego znałem: siedział tu doniedawna, przed rokiem wyszedł — i wyście tu przecież wtedy byli, Gray?

Johnny skinął głową.

— Więc mr. Jeff Legge nigdy nie przechodził „przez Alpy“? — zapytał z gorzkim uśmiechem.

— Nie, nie w tem więzieniu. O ile sobie przypominam, nie był też w Parkhurst ani w Portland. Byłem w obu tych miejscach. Powiadają, że on jest mądry. To znaczy, że kiedyś wpadnie jednak. Dowidzenia, Gray, trzymajcie się tego!

Johnny uściśnął wyciągniętą dłoń dozorca, a gdy siedział w wagonie, wyciągnął z kieszeni jedwabną chusteczkę i starł z ręki ostatni ślad zetknięcia z więzieniem.

Kiedy popołudniu przybył na stację Paddington, służący czekał na niego, a mały foksterjer ze zwisającymi uszami szarpał się na smyczy i powitał Johna głośnem ujadaniem, zanim go jeszcze jego pan zobaczył. W następnej chwili pies wił się w jego objęciach, lizał go po twarzy, uszach i włosach, dając w ten sposób wyraz swej radości z ponownego spotkania. W oczach Johna, gdy spuszczał psa na ziemię, stały łzy.

— Sporo listów jest dla pana, sir. Czy będzie pan jadł w domu?

Nieźródny Parker witał swego pana jak po krótkim pobycie w Monte Carlo, nie okazując najmniejszego wzruszenia.

— Tak, będę jadł w domu, — rzekł Johnny.

Wsiadł do taksometru, który Parker wynajął, a Spot wskoczył za nim.

— Nie ma pan bagażu, sir? — zapytał Parker poważnie przez otwarte okno.

— Nie mam bagażu, — odparł Johnny równie poważnie.

— Możesz wrócić ze mną, Parker.

Służący zawahał się.

— Pozwoliłbym sobie w ten sposób na wielką swobodę, — rzekł.

— Nie większą, niżeli ja sobie sam ze sobą pozwalałem przez ostatni rok i dziewięć miesięcy.

Kiedy taksówka wjechała na ponurą Chapel Street, Parker zapytał śmiało:

— Spodziewam się, sir, że nie ma pan zbyt złego czasu za sobą.

Johnny uśmiechnął się.

— Nie było to miłe, Parker. Więzienia rzadko bywają miłe.

— Wierzę, sir, — zgodził się Parker i dodał niepotrzebnie:

— Nigdy jeszcze nie byłem w więzieniu, sir.

Mieszkanie Johna znajdowało się na Queen's Gate, a Johnny Gray na widok swego cichego, elegancko urządzonego gabinetu zaczerpnął głęboko powietrza.

— Jesteś głupcem, — rzekł głośno do siebie.

— Tak jest, sir, — potwierdził Parker posłusznie.

Tego wieczora wielu ludzi odwiedziło tajemnie mieszkanie na Queen's Gate, a gdy Johnny przyjął pierwszego z nich, zawołał Parkera do swej małej jadalni.

— Parker, słyszałem, że podczas mojej nieobecności w kraju nawet dobrze postawieni ludzie nabrali zwyczaju przyglądania się obrazom kinematograficznym?

— Well, sir, ja sam nawet lubię te obrazy, — potwierdził Parker.

— W takim razie możesz sobie wyszukać przedstawienie, które trwa do jedenastej, — rzekł Johnny.

— Sądzi pan, sir?

— Że nie będę cię dziś wieczorem potrzebował.

Parker zrobił kwaśną minę, ale był dobrym służącym.

— Dziękuję, sir, — rzekł i wyszedł, zapytując siebie samego w duchu, jakie to szalone plany może pan jego mieć znowu.

O pół do jedenastej pożegnał się ostatni z gości.

— Odwiedzę Piotra jutro, — rzekł Johnny, rzucając niedopałek papierosa do kominka w hall'u. — Nie wie pan, kiedy to małżeństwo ma dojść do skutku?

— Nie, kapitanie. Bardzo mało znam Piotra.

— Kim jest narzeczony?

— Bardzo elegancki pan, w każdym razie. — Piotr to szczywany zuch i zna się na rzeczy. Jakiś major armji kanadyjskiej, jak słyszałem, bardzo dzielny człowiek. Piotr łatwiej złapie gawrona, niż kto inny muchę...

— Piotr nigdy na gawrony nie polował, — rzekł Johnny ostro.

— Nie wiem, — rzekł gość. — Co minuta ktoś się rodzi.

— Ale długo trwa, zanim dorośnie, a kobiety chwytają pierwsze, — rzekł Johnny wesoło.

Kiedy Parker powrócił o kwadrans na dwunastą, zastał swego pana przed kominkiem, pełnym spalonych papierów.

Nazajutrz popołudniu, zaraz po lunchu, udał się Johnny do Horsham, a ktokolwiek widziałby jego atletyczną postać, idącą wzdłuż Horsham Road, nie mógłby przypuścić, że

jeszcze przed niespełną czterdziestu ośmiu godzinami John Gray był mieszkańcem celi więziennej.

Przyszedł, aby stoczyć ostatnią rozpaczliwą walkę o swoje szczęście. Jak się ta walka skończy, jakie argumenty wytoczy — tego John nie wiedział. Istniał jeden, tylko jeden, ale tego nie mógł użyć.

Kiedy skręcił na Down Road, ujrzał dwie wielkie limuzyny, stojące jedna za drugą, i zapytał siebie samego, co to może znaczyć.

Posiadłość Manor Hill znajdowała się na uboczu. Był to solidny, murowany dom, którego ściany obrośnięte były zielenią, co mu nadawało wygląd wesoly. Johnny ominął główne wejście i wszedł na boczną ścieżkę, która, jak wiedział, prowadziła na murawę za domem, gdzie Piotr lubił się o tej porze dnia wygrzewać.

Kiedy stanął na wolnem miejscu, zatrzymał się. Zgrabna pokojówka rozmawiała ze starszym mężczyzną, ubranym w liberję kamerdynera. Pomarszczona jego twarz wyrażała zmieszanie, a głowa pochylona była do słuchania, choć głuchy nawet nie mógłby nie słyszeć, co mówiono.

— Nie wiem, w jakich domach pan bywał i gdzie pan służył, ale jedno panu powiadam: jeżeli pana jeszcze raz przyłapię w swoim pokoju na szperaniu w moich rzeczach, powiem o tem mr. Kane'owi. Wypraszam to sobie, mr. Ford!

— Dobrze, miss, — rzekł służący głosem zachrypłym. Johnny wiedział, że to nie zdenerwowanie wywołało zachrypłość jego głosu. Barney Ford mówił od dzieciństwa ochryple — prawdopodobnie już w kołysce ochryple płakał.

— Jeżeli pan jest włamywaczem i nie może się wyzbyć dawnych przyzwyczajzeń, w takim razie rozumiem wszystko, — ciągnęła dziewczyna gniewnie, — ale powinien pan być uczciwym człowiekiem! Nie życzę sobie tego potajemnego szperania i wachania, rozumie pan? Nie życzę sobie!



— Dobrze, miss, — rzekł zachrypnięty Barney.

Johna Gray'a bawiła ta scena. Barney'a znał dobrze. Opuścił on ciemne ścieżki życia, gdy Piotr Kane uznał za właściwe porzucić swój niebezpieczny zawód. Eks-więzień, eks-włamywacz i eks-bokser naprawił poniekąd swą ponurą przeszłość przez przywiązanie do człowieka, którego chleb jadł i w którego służbie chciał pozostać, choć nigdy gorszy kamerdyner nie nosił liberji, niż Barney.

Dziewczyna była ładna, miała ciemnoblond włosy i smukłą postać. W tej chwili twarz jej błyszczała od gniewu, a z ciemnych oczu strzelały błyskawice. Barney miał niewątpliwie przyzwyczajenie szperania, które pozostało mu jako dziedzictwo grzesznych dni. Reszta służby z tego samego powodu opuściła dom Kane'a, a Piotr kłął i groził, nie mogąc jednak naprawić swego sługi.

Dziewczyna nie widziała Johna, odwróciła się i szybko znikła w domu; stary sługa spoglądał za nią nieruchomo.

— Rozgniewaliście ją, — rzekł Johnny, podchodząc do niego.

Barney Ford odwrócił się i zdębiał.

— Wielki Boże, Johnny, kiedy pan wyszedł z kolegum? Gość uśmiechnął się do siebie.

— Wczoraj skończył się mój termin, — rzekł. — Co porabia Piotr?

Sługa sapał jeszcze przez chwilę, zanim odpowiedział. Wzrok jego utkwiony był ciągle w Gray'u.

— Jak długo był pan tutaj? — zapytał wreszcie.

— Przyszedłem właśnie na koniec rozmowy, — rzekł Johnny ubawiony. — Barney, nie poprawiliście się.

Barney Ford zrobił minę, wyrażającą coś jakby wzgardę.

— Uważają cię za łotra, nawet gdy nim nie jesteś, — rzekł. — Co ona wie o życiu? Nie widział pan Piotra? Jest w domu; powiem mu zaraz. *Jemu się dobrze wiedzie.*

Zwarjowany zupełnie dla córki. Ten człowiek całuje ziemię, po której ona stąpa. To rzecz nienaturalna tak kochać dzieci. Ja tego nigdy nie robiłem. — Potrząsnął głową. — Dzisiaj jest wiele pieśzcot, a mało ciągów. Jeśli szcędzisz różgi, psujesz dziecko, powiada stary, dobry poeta.

John Gray odwrócił głowę na dźwięk kroków na kamiennych schodach. Był to Piotr z twarzą rozpromienioną, a jednak zakłopotaną. Mimo siwych włosów i sześćdziiesiątki, trzymał się jak świeca. Nosił poranne ubranie i innowację — kamizelkę koloru perłowego. Zawahał się przez chwilę, uśmiech znikł z jego twarzy, zmarszczył czoło, potem pobiegł naprzeciw gościowi z wyciągniętą ręką.

— Well, Johnny, mój chłopcze, ciężkie czasy masz za sobą?

Ręka jego spadła na ramię młodzieńca, a w głosie jego brzmiała jak dawniej życzliwość i duma.

— Dosyć kiepskie, — rzekł Johnny; — ale wszelkie współczucie dla mnie jest zbyteczne. Ja osobiście oddaję Dartmoorowi pierwszeństwo przed Parkhurstem — cięższa tam jest robota i mniej głupców.

Piotr ujął go pod ramię i poprowadził do krzesła pod wielkim parasolem japońskim, wbitym w murawę. W zachowaniu jego było coś, jakieś zmieszanie, którego przybysz nie umiał sobie wytłumaczyć.

— Czy... spotkałeś tam... kogoś, kogo ja znam, Johnny?

— Legge'a, — odparł Gray krótko i spojrział Piotrowi w oczy.

— O nim właśnie myślałem. Co porabia?

Pytanie brzmiało obojętnie, ale Johnny nie dał się oszukać. Piotr słuchał z napięciem.

— Wyszedł od sześciu miesięcy — nie wiedziałeś o tem?

Twarz Kane'a spochmurniała.

— Od sześciu miesięcy? Jesteś tego pewien?

Johnny skinął głową.

— Nie wiedziałem.

— Myślałem, że słyszałeś o nim, — rzekł Johnny spokojnie. — Nienawidzi cię!

Słaby uśmiech Piotra stał się szerszy.

— Wiem o tem; czy miałaś sposobność rozmawiać z nim?

— Bardzo często. Był w pralni i przekupił dwóch dozorców, tak że mógł robić, co chciał. On cię nienawidzi, Piotrze. Powiada, że ty go wpakowałeś do kozy.

— To kłamstwo, — rzekł Piotr spokojnie. — Najgorszego swego wroga nie wpakowałbym do kozy. Sam się wpakowałem. Johnny, policja uchodzi za przebiegłą, ale w rzeczywistości co drugi przestępca sam się aresztuje. Przestępcy nie są mądrzy. Noszą rękawiczki, żeby nie pozostawiać odcisków palców, a potem wpisują swoje nazwisko do książki hotelowej. Legge i ja wylamaliśmy kasę ogniotrwałą na „Orsonic'u“ i uciekliśmy ze stu dwudziestoma tysiącami funtów w amerykańskiej walucie — to był mój ostatni interes. Dziecinną zabawką było uciec, ale Emanuel zaczął się przechwalać, jaki to on jest sprytny zuch. Pił też za dużo. Uczciwy człowiek może pić i obudzić się we własnym łóżku. Ale złodziej, który pije, mówi dzieńdobry dozorczy więzienia.

Urwał nagle i dłoń jego spadła znowu na ramię młodzieńca.

— Johnny, nie jesteś przecież smutny, czy też...?

Johnny nie odpowiedział.

— Jesteś?

Teraz musiała się rozpocząć walka. John Gray szukał w sobie siły do swego rozpaczliwego kroku.

— Ze względu na Marney? Nie, tylko —

— Wierz mi, stary, musiałem to zrobić. — Głos Piotra był natarczywy i błagalny. — Wiesz, czem ona dla mnie jest. Dość cię lubilem, aby myśleć o tobie, ale kiedy cię zabrali, zastanowiłem się poważnie. Zrujnowałoby mnie to, gdyby ona potem została twoją żoną. Kiedy Marney była jeszcze zupełnie maleńkim dzieckiem, nie mogłem znieść jej płaczu. Zrozum, czemu to było dla niej. I tak było już dość źle. A potem przyszedł ten chłopak — dobry, uczciwy, czysty, odważny chłopak — gentleman. Będzie ci się podobał. To człowiek, którego każdy musi lubić. A ona go kocha, Johnny.

Zapadło milczenie.

— Nie mam nic przeciwko niemu. Toby było szaleństwo. Tylko, Piotrze, zanim ona go poślubi, chciałbym —

— Zanim go poślubi? — Głos Piotra Kane drżał. — Johnny, czy Barney nic ci nie mówił? Dziś rano odbył się ślub.

### ROZDZIAŁ III.

— Ślub?

Johnny powtórzył to słowo boleśnie:

Marney wyszła zamaż...! To było nie do wiary, nie do zrozumienia. Przez chwilę miał uczucie, jakby podwaliny jego egzystencji rozsypały się nagle w pył, a cały gmach jego życia runął, jak zburzony dom.

— Dziś rano odbył się ślub, Johnny. On ci się napewno będzie podobał. To nie jeden z nas, mój stary. On jest porządny, jak... well, rozumiesz przecież, Johnny? Przez wszystkie te lata myślałem o niej, pracowałem dla niej. Podłościąby było z mojej strony, gdybym naraził jej przyszłość na szwank.

Piotr Kane starał się usprawiedliwić, dłoń jego objęła znowu ramię młodzieńca, a na twarzy wykwitło zakłopotanie lęku i troski, że zranił tego człowieka nieuleczalnie.

— Powiniennem być depeszować...

— Toby niczego nie zmieniło, — rzekł Piotr Kane prawie twardo. — Nic nie można zmienić, Johnny, nic. To się musiało stać. Gdybyś nawet był skazany niewinnie — nie twierdzę, jakoby tak nie było — i takbym nie mógł dopuścić, aby wspomnienie więzienia zawisło groźbą nad jej głową. Nawet niepewności nie potrafiłbym znieść. Johnny, przez całe swe życie — z wyjątkiem ostatnich piętnastu lat — byłem złodziejem, i dlatego, że jestem, czem jestem, mam dalszy wzrok, niżeli inni ludzie. Ale ona o tem nie wie. Craig jest tu dzisiaj —

— Craig — ze Scotland Yardu?

Piotr skinął głową, a w oczach jego błysnął przelotny śmieszek.

— Jesteśmy przyjaciółmi; od wielu lat już. I wiesz, co on dziś rano powiedział? „Piotrze,“ powiedział, „dobrze zrobiłeś, że wydałeś dziewczynę uczciwie zamąż“, a ja wiem, że on miał rację.

Johnny zagłębił się w fotel trzciny i przesłonił oczy ręką, jakby go raziło światło słoneczne.

— Nie chcę być zbyt przeczulony, — rzekł wyciągając rękę i ujmując ramię Kane'a. — Nie obawiaj się powtórnej zemsty, Piotrze. Zdaje się, że dość będziesz miał do roboty z Emanuelem Legge'm —

Zamilkł nagle. Niezręczny kamerdyner zjawił się niepostrzeżenie.

— Piotrze, — szepnął ochryplym głosem, — on przyszedł. Czy chcesz go widzieć?

— Kto?

— Emanuel Legge — ohydniejszy, niż kiedykolwiek.

Twarz Piotra Kane zdrętwiała jak maska.

— Gdzie jest miss Marney — mrs. Floyd?

— Ubiera strój weselny i klejnoty dla fotografa, — rzekł Barney. — Zdjęła już wszystko, ale fotograf nadszedł właśnie i ustawił swój kram w przedniej części ogrodu. Powiadam do Marney —

— Jesteś stary gaduła, — rzekł Piotr ponuro. — Wpuść Emanuela. Czy chcesz go widzieć, Johnny?

John Gray wstał.

— Nie, — rzekł. — Przejdę się po twoim tak zwanym ogrodzie różanym. Nieradbym widzieć niczego, co mi przypomina „padół męki“, dziękuję.

Johnny znikł właśnie przez otwór w żywopłocie bukowym w dolnym krańcu murawy, gdy Barney powrócił z gościem.

Mr. Emanuel Legge był człowiekiem mniej niż średniego wzrostu, o szczupłej budowie, chudej twarzy i siwawych włosach. Na nosie miał rogowe okulary. Przez chwilę stał cicho, obserwując z zaciśniętymi wargami plac boju. Nosił brudne ubranie, stalowy łańcuszek do zegarka i, jakby dla podkreślenia ubóstwa jego fałdzistego ubrania, wyraźnie nowe buty o jaskrawo żółtej barwie. Czekał z kapeluszem w ręku, a wzrok jego przesuwiał się wolno po posiadłości wroga, aż spoczął na panu domu.

Piotr Kane przerwał pierwszy niesamowitą ciszę.

— Well, to ty, Emanuelu? Podejdź bliżej i siadaj.

Legge w milczeniu podszedł do gospodarza.

— Piękna posiadłość, Piotrze. Wszystko w najlepszym gatunku, co? Napewno! Masz też jeszcze, widzę, starego Barney'a. Czy i on się nawrócił? Tak się to przecież nazywa, prawda — „nawrócił“?

Głos miał cienki, skargliwy. Z oczu jego, bladoniebieskich i połyskujących, szło do Piotra zimne spojrzenie.

— Nie kradnie już, jeżeli to masz na myśli, — rzekł Piotr krótko, a twarz gościa przeciągnęła się boleśnie.

— Nie powinieneś używać tego słowa; to brzmi trywjalnie —

— Daj mi swój kapelusz. — Piotr wyciągnął rękę, ale Legge cofnął swoją.

— Nie, dziękuję. Obiecałem pewnemu młodemu przyjacielowi, że podczas pobytu u ciebie nie pozwolę sobie nic zabrać. Jak dawno tu mieszkasz, Piotrze?

— Około czternastu lat.

Piotr usiadł, a nieproszony gość poszedł za jego przykładem, lawirując krzesłem w ten sposób, by siedzieć nawprost gospodarza.

— Ach! — rzekł w zamysleniu. — Bardzo wygodne życie, obfite jadlo, można wychodzić i wracać, kiedy się

człowiekowi podoba. Takie czternaście lat podobalyby mi się. Lepiej, niż gdy się codzień o czwartej klucz w zamku za człowiekiem przekręca. Princetown jest ciągle tem samym starem gniazdem; — och, zapomniałem, że ty tam nigdy nie byłeś.

— Przejeżdżałem autem, — rzekł Piotr chłodno i z namysłem, gdyż zanim wargi gościa skrzywiły się do mrukliwego okrzyku, wiedział, że dotknął jego bolesnego miejsca.

— Och, przejeżdżałeś autem! — zaśmiał się Legge szyderczo. — Szkoda, że nie wiedziałem; wywiesiłbym u siebie chorągwie! Ustrojonoby Princetown na ten dzień uroczyście, Piotrze. Przejeżdżałeś autem! — Niemal wypływał z siebie te słowa.

— Cygarko?

Emanuel Legge odmówił ruchem ręki.

— Nie, dziękuję. Odzwyczailem się — tak bywa w ciągu piętnastu lat. Można się też przez ten czas do niejednego przyzwyczaić. Piętnaście lat to spory kawał życia.

Więc Emanuel przyszedł, aby siać nieszczęście, i wybrał na to ten dzień. Piotr przyjął wyzwanie.

— Człowiek, którego zastrzeliłeś, zadowolniłby się mniejszym okresem czasu — umarł po dwóch latach, — rzekł krótko, a w oczach Legge'a wybuchła cała hamowana wściekłość i nienawiść.

— Mam nadzieję, że jest w piekle, — syknął, — przekłety pies! — Z trudnością zapanował nad sobą. — Naprawdę, dobrze ci się powodziło, Piotrze? Ładny dom, nie za byle co go pewnie kupiłeś. Służba i tak dalej i przejażdżki autem po kraju! Wiedziałeś, jak żyć!

— Przyznaję.

Dłonie małego człowieka drżały, a wąskie wargi zaciśkały się kurczowo.

— Zostawia się towarzysza na łasce losu, a samemu zmyka się, hę? Każdy jest sobie samemu najbliższy —



wszyscy już

well, to prawo natury, prawda? A kiedy się myśli, że on mógłby zacząć paplać, posyła się słówko na miejsce, gdzie się tą sprawą zajmują, puszcza się parę setek i bywaj zdrów, bratku! — Zamilkł, ale nie doczekał się odpowiedzi. — Tak się zrobiło, co, Piotrze?

Kane wzruszył obojętnie ramionami. — Nie wiem — nigdy nie jestem zbyt stary, aby się douczać.

— Ale tak się przecież jednak zrobiło? — powtórzył gość, ukazując zęby w uśmiechu. — W ten sposób można uniknąć klatki, co?

Piotr rzucił okiem na swego prześladowcę, ale nazewnątrz pozostał spokojny.

— Nie chcę się z tobą spierać, — rzekł.

— I nie możesz, — odparł Legge. — Jestem logiczny. — Rozejrzył się dokoła. — Ten dom kosztował ładne pieniądze. Ile wynosi połowa dwustu tysięcy? Kiepski ze mnie rachmistrz! — Piotr nie odpowiedział. — Sto tysięcy, prawda? Dostałem sześćdziesiąt — jesteś mi jeszcze winien czterdzieści tysięcy.

— Jeżeli masz na myśli sprawę z okrętem, to przyniosła nam ona niecałe sto dwadzieścia tysięcy funtów. Dostałem sześćdziesiąt tysięcy, zatem więcej, niżeli wynosił twój udział. Wpłaciłem je do banku w dniu, w którym udałeś się w podróż.

Usta Legge'a okolił sceptyczny uśmiezek.

— Gazety pisały: milion dolarów, — mruknął.

— Nie wierzysz chyba w to, co piszą gazety, co? Emanuelu, stajesz się dziecinny. — Potem nagle: — Chcesz mi może wpakować władze na kark?

— Wymuszenie? — Emanuel zdawał się oburzony. — Ma się jeszcze poczucie honoru między — przyjaciółmi, Piotrze. Żądam tylko tego, co słuszne i sprawiedliwe.

Piotr roześmiał się z zadowoleniem.

— Śmieszne, co? Możesz sobie na to pozwolić, żeby się śmiać ze starego, biednego głupca, który przesiedział piętnaście lat w klatce.

— Właściciel Manor Hillu rzekł zimno:

— Gdybyś przesiedział pięćdziesiąt lat w piekle, śmiałbym się także.

Emanuel dał się porwać uczuciom. To było zawsze jego słabością. I teraz wyszła ona najaw.

— Śmiałbyś się? Naprawdę? Masz córkę, tak? Młodą? Wyszła dziś zamaż, prawda?

— Tak.

— Małżeństwo dla pieniędzy — ładny chłopak?

— Tak. Poślubiła dzielnego człowieka.

— A on nie wie, kim ty jesteś, Piotrze? — Emanuel zadał to pytanie tonem obojętnym, a Piotr skierował na niego stalowe spojrzenie.

— Nie. Co chcesz przez to powiedzieć? Czy spodziewasz się otrzymać w ten sposób czterdzieści tysięcy?

— Ja mam syna. Tyś nigdy nie siedział w ponurej celi, gdzie mgła wisi na ścianach, i myślał, myślał, aż serce boleć poczynęło w piersi? Można zawładnąć ludźmi przez ich dzieci. — Urwał. — Mógłbym cię w ten sposób dostać w ręce.

Olbrzymia postać Piotra wyprostowała się nagle przed nim groźnie.

— W dniu, w którym mię serce boleć pocznie w piersi, — rzekł Kane wolno, — w tym dniu twoje przestanie bić! Jesteś starym człowiekiem i boisz się śmierci! Czytam to w twoich oczach. Nie obawiam się niczego. Zabiłbym cię.

Głos i wyraz były tak dzikie, że Legge wcisnął się głębiej w krzesło.

— POCO ta cała gadanina o zabiciu? Żądam tylko tego, co mi się słusznie należy. Szalejesz za nią, Piotrze, prawda? Założyłbym się. Powiadają, że zawróciła ci zupełnie głowę. Ładna jest? Pewnie jest podobna do ciebie. Młody Johnny Gray był w niej także zakochany. Piotrze, przez nią zmuszę cię —

Do tego tylko miejsca doszedł; żelazna dłoń chwyciła go za kołnierz i ściągnęła z krzesła.

Piotr nie mówił ani słowa; ciągnął za sobą skuloną postać, jakby nie miała ona wagi, ani niezdolna była do oporu, i szedł wąską ścieżką wzdłuż domu, przez ogród i bramę na ulicę. Jeden rzut ramienia, i Emanuel Legge wyleciał zataczając się na zakurzoną szosę.

— Nie wracaj tu, Emanuelu, — rzekł Piotr i zawrócił, nie czekając na odpowiedź.

\* \* \*

John Gray oddalił się o tyle, że nie mógł widzieć ani słyszeć dwu mężczyzn. Ani nie interesowały go sprawy Legge'a, ani nie zależało mu na odnawianiu więziennej znajomości.

Ponizej żywopłotu bukowego leżały trzy niskie tarasy, jaśniejące barwnymi i wonnymi kwiatami. Nieco niżej łąka o łagodnym stoku wiodła na brzeg rzeki. Piotr umiał wybrać swoją posiadłość wiejską. Wielki cedr libański stał na skraju ogrodu; na prawo widniały gęste krzewy o purpurowem i fioletowem kwieciu.

Johnny siadł na marmurowej ławce, rozkoszując się samotnością, którą dzielił tylko z gadatliwym drozdem i skowronkiem, nucącym z niewidzialnej dali błękitu swoją piosenkę.

Marney wyszła zamaż. Na tem zaczynało się i kończyło dla niego wszystko. Ale była szczęśliwa. Czuł, iż tylko

prawdziwie ludzka próżność pozwalała mu wątpić, że Marney mogła zaznać szczęścia z innym niżeli on mężczyzną.

Jaka ona była miła! Potem doszedł go głos, ostry głos, pełen nienawiści. Był to głos Legge'a, który miotał swoje groźby przeciw dziewczynie, a krew Johna zastygła z przerażenia. To było wrażliwe miejsce w zbroi Piotra Kane; rysa, przez którą można go było dosięgnąć i zranić.

Johnny zerwał się i wbiegł po szerokich stopniach tarasu. Prócz Barney'a, który nakrywał do stołu, w ogrodzie nie widać było nikogo. Kane i jego gość znikli. Johnny szedł przez trawnik, gdy nagle zajaśniało coś za otwartym oknem jednego z pokojów. Poznał zarysy zgrabnej postaci. Dziewczyna w białej sukni ślubnej wyciągnęła do niego rękę. Piękność jej była tak nieziemsko delikatna, że Johnny nie poznał jej w pierwszej chwili.

— Johnny!

Postać wojskowego znajdowała się obok niej, za nią stał Piotr Kane, ale nie miał oczu dla nikogo, tylko dla Marney. Podbiegła do niego i pochwyciła obie jego ręce.

— Och, Johnny... Johnny!

Potem wzrok jego padł na uśmiechniętą twarz młodego małżonka, doskonałego człowieka, któremu Piotr powierzył swoją ukochaną córkę. Na chwilę spotkały się ich spojrzenia. Ani drgnienie powieki nie zdradziło, co się działo w umyśle Johnny Gray'a.

Mężem kobiety, którą kochał, był Jeff Legge, lotr i fałszerz pieniędzy, który sprzysiągł się ze swym ojcem, aby złamać serce Piotra Kane.

## ROZDZIAŁ IV.

Czy dał coś poznać po sobie? Przez chwilę zadawał sobie to pytanie. Wola jego była wyćwiczona w tym kierunku, by nie zdradzać nic z tego, co czuł. Burza wściekłych namiętności szalała w jego duszy, twarz człowieka, który stał przed nim, wydała mu się zmieniona i zniekształcona, przez członki jego przeniknęło pragnienie rzucenia się na niego, ale zewnętrznie pozostał nieruchomy. Niemożliwością byłoby dla widza orzec, czy Johnny zbladł, gdyż w Dartmoor słońce i wiatr opaliły jego twarz na kolor mahoni. Straszliwy cios, jaki go spotkał, był tak silny, że przez chwilę nie mógł się odezwać ani poruszyć.

„Major Floyd“ był to Jeff Legge! Z szybkością błyskawicy przejrzał John Gray szatański plan. To była zemsta Emanuela — wydać córkę Piotra Kane'a za swego nikczemnego syna.

Jeff obserwował go bacznie, ale nic nie zdradziło, że Johnny poznał go. Cała ta scena trwała ułamek sekundy. Johnny skierował znowu spojrzenie na Marney i uśmiechnął się mechanicznie. A ona jakby zapomniała o swem otoczeniu. Że młody małżonek, stojący obok niej, obserwował ją z zadowoleniem, że Piotr spoglądał ponuro i z zakłopotaniem, że nawet stary Barney stał z wylupionemi oczyma, wszystko to nic nie znaczyło.

— Johnny, biedny Johnny! Nie czuje pan przecież do mnie nienawiści?

Johnny uśmiechnął się i poklepał dłoń, leżącą w jego dłoni.

— Jest pani szczęśliwa? — zapytał głosem ścisłym.

— Tak, o tak, wyszłam szczęśliwie zamąż — to pan ma przecież na myśli, prawda? Jestem bardzo szczęśliwa... Johnny, czy to było straszne? Myślałam o panu ciągle, ciągle. Chociaż nie pisałam... po tem, jak... Czy uważa mię pan za potwora...? Wiem, że byłam nim. Johnny, czy to pana nie dotknęło?

Johnny potrząsnął głową.

— W Dartmoor można być wszystkim, tylko nie sentymentalnym. Czy pani jest szczęśliwa?

Nie mogła mu spojrzeć w oczy.

— Stawia mi pan to pytanie po raz drugi w ciągu jednej minuty! Czy to nie brzydko z mojej strony, jeśli mówię „tak“? Chce pan poznać Jeffrey'a?

— Ależ oczywiście.

Podszedł do Jeffa Legge, który ani na chwilę nie spuszczał go z oka.

— Pozwól, że ci przedstawię kapitana Gray'a, mego starego przyjaciela, — rzekła Marney niepewnym głosem.

Zimna dłoń Legge'a uściśniła dłoń Johna.

— Rad jestem poznać pana, kapitanie Gray.

Czy został poznany? Najprawdopodobniej nie, gdyż zwrócona do niego twarz jaśniała uprzejmym uśmiechem.

— Wraca pan właśnie z Afryki Wschodniej, prawda? Polował pan?

— Nie, nie polowałem, — rzekł Johnny.

— Jest tam przecież wiele lwów? — zapytał Jeff.

Wargi eks-więźnia zadrgały.

— W okolicy, w której ja mieszkałem, lwy są niezwykle oswojone, — rzekł sucho.

— Marney, kochana moja, widzę, iż rada jesteś, że mr. Gray jest na twojem weselu? To bardzo ładnie z pańskiej strony, mr. Gray, że pan przybył. Żona moja często pana wspominała.

Objął dziewczynę ramieniem, nie spuszczać wzroku z twarzy Johna. Chciał obydwójgu zadać ból. Marney stała nieruchomo, nie stawiając oporu, ani nie poddając się, blada, przejęta, bez tchu. Wiedziała wszystko! Pewność ta uderzyła w Johna jak grom. Wiedziała, że człowiek ten był łotrem i kłamcą. Wiedziała, jakiego podstępu dopuszczono się wobec jej ojca!

— Jesteś szczęśliwa, kochanie?

— Bardzo — o, bardzo szczęśliwa.

Głos jej odmówił posłuszeństwa, a Johnny uczuł straszliwy ból. Musiał staczać walkę z sobą, aby się pohamować. Tym razem Piotr uratował sytuację.

— Johnny, to najlepszy chłopak pod słońcem! Musisz go poznać bliżej. Pragnę, abyś się, jak ja, przekonał, że jest to dla Marney najlepszy mąż na świecie.

Jeff Legge uśmiechnął się lekko.

— Mr. Kane, wprawia mię pan w zakłopotanie. Daleko mi do tego, aby być dla niej odpowiednim mężem — jestem tylko nędznym brutalem, który nie zasłużył na swe ogromne szczęście.

Pochylił się i ucałował śmiertelnie bladą dziewczynę. Johnny nie spuszczał go z oka.

— Szczęśliwa jesteś, co? Wierzę, wierzę, że jesteś szczęśliwa, trzpiotko, — chichotał Kane.

Marney wyrwała się z objęć męża.

— Zdaje się, ojczu, że Johna wcale to nie bawi. — Głos jej drżał. Człowiek z Dartmoor wiedział, że była bliska łez.

— Ja nie tak łatwo tracę humor. — John Gray zapanował znowu nad swoim głosem. — Rzeczywiście, szczęście ludzi

młodych — ja sam czuję się tak stary — raduje mię bardzo. Pan jest Kanadyjczykiem, majorze Floyd?

— Tak, kanadyjskim Francuzem, choć tego moje nazwisko nie zdradza. Przodkowie moi osiedlili się tam w sześćdziesiątych latach — w Alberta i Saskatchewan, na długo przedtem, zanim zaprowadzono tam koleje żelazne. Powinien pan przyjechać do Kanady. Spodobałaby się panu więcej, niżeli okolica, w której pan był.

— Jestem tego pewien.

Piotr oddalił się z córką.

— W Kanadzie niema lwów, ani dzikich, ani oswojonych, — rzekł Jeff, spoglądając na niego z pod przykniętych powiek.

Gray zapalił papierosa. Był teraz spokojny, spokojną miał rękę, spokojne nerwy.

— Odczuwałbym brak lwów, — rzekł chłodno, a po chwili ciągnął: — Niech mi pan wybaczy śmiałość, majorze Floyd, poślubił pan bardzo ładną panienkę.

— Najlepsze, co można znaleźć na świecie.

— Ja byłbym zrobił daleką drogę, aby jej usłużyć — daleką drogę. Nawet zpowrotem do lwów.

Spojrzenia ich spotkały się. W oczach młodego małżonka leżało wyzwanie; w oczach Johna Gray'a zimny mord. Jeff Legge spuścił wzrok, przejął go dreszcz.

— Przypuszczam, że lubi pan polowanie? — zapytał.

— Ach, nie, powiedział pan przecież, że pan nie poluje. Nie rozumiem, dlaczego człowiek pańskiego — hm — charakteru wyruszył na obczyznę.

— Zostałem wysłany, — rzekł Johnny, akcentując każde słowo. — Ktoś miał powód do wysłania mnie — chciano się mnie pozbyć. Byłbym i tak wyjechał, ale ten człowiek przyśpieszył sprawę.

— Czy pan wie, kto to był?



Pozór z Afryką Wschodnią porzucono rychło. Jeff mógł to spokojnie uczynić, gdyż wiedział, że powód zniknięcia Johna Gray'a nie był tajemnicą.

— Nie znam tego człowieka. Był dla mnie zupełnie obcy. Bardzo mało ludzi zna go osobiście. W jego — w naszych — kołach ani pół tuzina ludzi nie poznałoby go. Tylko jeden człowiek z policji zna go —

— Kto? — przerwał Jeff szybko.

— Niejaki Reeder. Słyszałem o tem w więzieniu — wiedział pan oczywiście, że wracam z Dartmoor?

Jeff skinął głową z uśmiechem.

— To ten człowiek, którego nazywają Wielkim Nieznajomym, — rzekł, starając się złagodzić ton wzgardy w swoim głosie. — Słyszałem o nim w klubie. To bardzo ograniczony człowiek w średnim wieku, mieszka w Peckham. Nie jest więc tak bardzo nieznany, jak *pański* tajemniczy człowiek!

— Bardzo możliwe, — odparł Johnny. — Więźniowie przypisują zazwyczaj swym bohaterom i swym wrogom najrozmaitsze niezwykle dary i zdolności. W Dartmoor powiadają, że Reeder wie wszystko. Rząd dał mu nieograniczone pełnomocnictwa, aby wynaleźć Wielkiego Drukarza —

— I znalazł go? — zapytał Jeff niewinnym tonem.

— Znajdzie go, — rzekł Johnny. — Wcześniej czy później ktoś zacznie gadać.

— Chciałbym być przy tem i posłuchać, — rzucił Jeff Legge, a fałszywy uśmiech ukazał jego białe zęby.

## ROZDZIAŁ V.

Johnny siadł sam w rogu marmurowej ławki w dolnej części ogrodu, skąd mógł gości, zebranych na murawie, wprawdzie nie widzieć, ale słyszeć. Musiał myśleć i to szybko. Marney wie! Ale Marney nie powiedziała nic, a Johnny domyślał się, dlaczego.

Kiedy Jeff Legge powiedział jej to? Prawdopodobnie w drodze powrotnej z kościoła. Nie chciała powiedzieć tego Piotrowi — Piotrowi, który sądził, że zabezpieczył jej los na zawsze, i nie wątpił w jej szczęście. Co powiedział jej Jeff? Johnny przypuszczał, że niewiele. Może dał jej tylko do zrozumienia, że czarujący major Floyd, za którego wyszła, nie jest tym majorem Floydem, z którym miała żyć.

Johnny był teraz chłodny — nie, raczej zimny jak lód. Musiał być pewien, absolutnie pewien, aby nie mieć najmniejszych wątpliwości. Jeff Legge i ten major Floyd mogli być tylko bardzo podobni. Widział nikczemnika tylko jeden raz i to zdaleka.

Usłyszał szmer sukni kobiecej i obejrzał się szybko. Była to dziewczyna, która karcila pierw Barney'a.

— Mr. Kane pyta, czy zechce pan sfotografować się wspólnie z grupą gości, kapitanie Gray, — rzekła.

Johnny nie odpowiedział odrazu. Spojrzenie jego badało ją z zainteresowaniem.

— Proszę mu powiedzieć, że wolę nie brać w tem udziału, a potem wrócić do mnie, panienko.

— Mam tu wrócić, sir? — zapytała pokojówka zdumiona.

— Tak, chciałbym z panią pomówić, — rzekł Johnny z uśmiechem. — Niech się pani ulituje nad smutnym gościem, z którym nikt nie chce mówić.

Pokojówka wahała się, Johnny widział jej niezdecydowanie.

— Nie wiem, czy mr. Kane zgodzi się na to, — rzekła, a uśmiech zaigrał w kącikach jej ust. — Dobrze, wróć.

Dopiero po dziesięciu minutach, gdy fotograf prawdopodobnie zakończył już swe dzieło, a goście powrócili do domu, zjawiła się znowu, z twarzą cnotliwą, ale zaciekawioną.

— Niech pani siada, — rzekł Johnny. Odrzucił papierosa i odsunął się na koniec ławki.

— Może pan palić dalej, kapitanie Gray, — rzekła pokojówka.

— Jak długo pani jest tutaj? — zapytał Johnny.

— U mr. Kane'a? Około sześciu miesięcy, — odpowiedziała pokojówka.

— Dobre miejsce? — zapytał John obojętnym tonem.

— O tak, sir, bardzo dobre.

— Jak się pani nazywa?

— Na imię mi Lila. Dlaczego pan pyta o to?

— Sądzę, że my dwoje powinniśmy się bliżej poznać, Lilo, — rzekł Johnny, ujmując jej rękę, bez żadnego z jej strony sprzeciwu.

W rzeczywistości bawiło ją to, ale udawała, że jest zaskoczona.

— Nie wiedziałam, że pan jest tak zalotny, mr. Gray — pan jest przecież kapitanem, prawda?

— Kapitan to tylko tytuł honorowy, Lilo, — rzekł Johnny. — Będzie pani pewnie odczuwała brak swej młodej pani?

— Tak, będę odczuwała jej brak, — odparła Lila.

— Ładna panienska, co? — rzekł Johnny żartobliwie.

— I bardzo ładny mąż, — dodała Lila ostro.

— Tak pani sądzi?

— Tak, uważam, że to bardzo przystojny mężczyzna.

Niewiele wiem o nim.

— Wygląda niezłe, prawda?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Owszem.

— I bardzo jest zakochany w miss Kane. Ten chłopak ją ubóstwia, — rzekł Johnny. — Naprawdę, nie widziałem jeszcze mężczyzny, tak zakochanego w żonie.

Pokojówka stłumiła westchnienie.

— O, tak, przypuszczam, — rzekła niecierpliwie. — Czy życzy pan sobie jeszcze czegoś ode mnie, kapitanie Gray? Jestem dziś bardzo zajęta.

— Niech pani nie ucieka, — rzekł Johnny tonem jak najuprzejmiejszym. — Śluby nastrajają mnie zwykle romantycznie. — Podjął znowu rozmowę w miejscu, w którym ją przerwał. — Major nie będzie teraz z pewnością przez wiele lat spoglądał na inne dziewczyny, — rzekł. — Zakochany jest po uszy! i jakżeby mogło być inaczej? Myślę, — rzekł z zastanowieniem, — że jest on mężczyzną, który ma już za sobą wiele przygód miłosnych. — Lila wzruszyła ramionami. — Z dziewczętami, które można dowoli brać i porzucać.

Ciemny rumieniec oblał teraz jej twarz, a oczy zabłyśły dziwnie.

— Nie wiem nic o majorze Floydzie, — rzekła krótko i chciała wstać, ale ręka jego chwyciła ją za ramię.

— Niech pani nie ucieka, Lilo.

— Nie pozostanę tutaj, — rzekła z nagłą gwałtownością.

— Szkoda mi słów do mówienia o majorze Floydzie, czy o kimkolwiek innym. Jeśli pan chce, abym z panem gawędziła —

— Chcę z panią pogadać o miodowych miesiącach. Czy wyobraża sobie pani tych dwoje w altance różanej nad Lago di Como? Czy może pani pomyśleć, że zapomni on o całej przeszłości, o wszystkich dawnych szaleństwach, wszystkich poprzednich dziewczętach? —

Lila wyrwała ramię i wstała. Twarz jej była śmiertelnie biała.

— Do czego pan pije, Gray? — zapytała, a w głosie jej nie było już ani cienia szacunku ani cnotliwości.

— Do pani, miss Lilo Sain, — rzekł Johnny, — a gdyby pani próbowała uciec, uduszę panią!

— Podobno pan jest gentlemanem, — rzekła Lila.

— Podobno jestem Johnny Gray z Dartmoor. Niech pani siada. O co idzie, Lilo?

— Nie rozumiem, o czym pan mówi.

— O co idzie? — zapytał John Gray spokojnie. — Jeff Legge umieścił panią tutaj, żeby pani śledziła dom i informowała go stale o wszystkim.

— Nie znam Jeffa Legge, — wyjąkała Lila.

— Kłamie pani, — rzekł Johnny twardo. — Znam panią, Lilo. Włóczy się pani z Jeffem i za liche pieniądze zdradza mu wszystko, co usłyszy. Widywałem panią dość często. Kim jest major Floyd?

— Niech pan jego samego zapyta! — odpowiedziała Lila przekornie.

— Kim jest major Floyd?

Chwycił ją silniej za ramię.

— Pan wie, — rzekła ponuro. — To jest Jeff Legge.

— Teraz niech pani posłucha, Lilo. Proszę do mnie. — Palce jego, których uścisk był zluźniony, zacisnęły się znowu. — Jeżeli pójdzie pani do Jeffa i powie mu słówko, wydam was obydwój — rozumie mnie pani? Zaprowadzę Jeffa tam, gdzie go chcę mieć — w Dartmoor jest jeszcze napewno wolna cela. To panią zaboli, prawda? Zależy pani na Jeffie?

Lila nie odpowiedziała.

— Zaprowadzę go tam, gdzie go chcę mieć, — powtórzył Johnny wolno i z namysłem, — jeśli pani nie zrobi tego, co powiem.

— Próbuje pan wymuszenia? — zapytała Lila, a wargi jej wydęły się drwiąco.

— Wymuszenie nie ma dla mnie znaczenia, — rzekł Johnny. — Ale powiadam pani, pójdę do Reedera i wyśpiewam wszystko, jeśli nie stanie się, jak ja chcę.

— Czego pan żąda? — zapytała Lila.

— Chcę wiedzieć, dokąd się oni udają i gdzie się zatrzymują. Chcę znać ich plany na przyszłość. Czy pani jest jego żoną?

Jedno spojrzenie na jej twarz dało mu odpowiedź.

— Nie? Well, Lilo, może jeszcze do tego dojść. Czy nie sprzykrzyła się pani już ta brudna robota dla niego.

— Może tak, a może nie, — odparła przekornie. — W każdym razie nie może pan mu teraz nic zrobić, Johnny Gray. Ma pańską dziewczynę, a choćby pan gadał, jak tuzin srok, nie cofnie pan już tego, co stary mąż boży zrobił dziś rano! Jeff jest dla pana za sprytny. Położy pana, Gray —

— Jeżeli się czegoś dowie, — odparł Johnny spokojnie. — Ale jeżeli on się dowie, dowie się i Reeder. Zrozumiała pani?

— Co pan zamierza zrobić? — zapytała Lila po chwili milczenia.

— Mały żarcik w moim guście, — wycodził Johnny przez zęby. — Naprawdę doskonały żarcik! Piotrowi nie mogę nic powiedzieć, bo zabiłby pani chłopca, a ja mam poważne powody, dla których nie chcę, aby Piotr skończył na szubienicy. A *pani* nie może nic powiedzieć Jeffowi, bo wtedy byłby sąd przysięgłych, a gdy Jeff wyjdzie z więzienia, pani będzie starą kobietą. Kiepski widok, co? Teraz niech mi pani powie wszystko, co pani ma do powiedzenia, i niech pani mówi wolno, bo ja nie umiem stenografować.

Johnny wyciągnął notes z kieszeni i począł pisać szybko, słuchając niechętnego, opornego opowiadania dziewczyny.

— Teraz może pani pójść, moje dziecko, — rzekł, gdy Lila skończyła. Dziewczyna wstała. Z oczu jej biła wściekłość.

— Jeżeli pan „zasypie“, Johnny Gray, zabiję pana. Nigdy nie byłam za tem małżeństwem — to zrozumiałe. Wiedziałam, że na żądanie starego Legge'a ma się Jeff ożenić z córką Piotra Kane, aby stary nasycił swoją zemstę. Ale Jeff był dla mnie dobry; i w dniu, w którym policja przyjdzie do Legge'a, ja przyjdę do pana i zastrzelę pana, Johnny Gray, przysięgam na Boga!

— Zrobione! — rzekł Johnny krótko.

Zaczekał, aż Lila znikła w otworze żywopłotu, potem podszedł do innego otworu i zatrzymał się. Przed nim stał Piotr Kane. Wąski krzak bukowy zasłaniał go, z twarzy Piotra nie można było nic wyczytać.

## ROZDZIAŁ VI.

— Ej, Johnny! Widzę, że się pocieszasz?

Johnny roześmiał się.

— Masz na myśli tę dziewczynę? Ładna jest, prawda?

— Bardzo ładna, — odparł Piotr.

Czy słyszał ich rozmowę? Było to dla Johna najważniejsze pytanie. Ławka marmurowa oddalona była zaledwie o trzy kroki od miejsca, w którym stał Piotr Kane. Jeżeli znajdował się tam przez dłuższy czas —

— Czy długo na mnie czekałeś, Piotrze? — zapytał Johnny.

— Nie, nadszedłem właśnie, kiedy się zęgnąłeś z Lilą — bardzo ładna dziewczyna, Johnny — niezwykle ładna dziewczyna. Zdaje się, że nie widziałem nigdy ładniejszej. O czym to rozmawialiście?

— O pogodzie, ptaszkach i prawdziwej miłości, — rzekł Johnny, podczas gdy Kane ujął go pod ramię i poprowadził przez murawę.

— Same zmienne, nietrwale rzeczy, hę? — rzekł Piotr z lekkim uśmiechem. — Chodź coś zjeść, Johnny. Goście rozejdą się zaraz. Marney przebiera się właśnie. Co sądzisz o moim zięciu?

Humor miał niezmienny.



Kiedy weszli do wielkiego salonu i Piotr objął zięcia ramieniem, Johnny odetchnął z ulgą. Dzięki Bogu, nie wiedział nic! Na myśl, co by się mogło stać, gdyby Piotr usłyszał ich rozmowę, zimny pot wystąpił Johnowi na czoło.

Trzydzieści sześć osób zasiadło w jadalni do stołu, a Marney, która siedziała na pierwszym miejscu, wbrew zwyczajowi nosiła już podróżny strój. John rzucił jej przy wejściu krótkie spojrzenie, ale ona odwróciła głowę. Ojciec siedział po jej lewej ręce, obok niego duchowny, który dawał ślub. Potem jakaś przyjaciółka, następnie mężczyzna, obok którego wyznaczono miejsce Johnowi.

Natychmiast poznał tę twarz.

— Nie było pana, Johnny? — Starszy inspektor policji kryminalnej Craig rzucił to pytanie głosem tak starannie stłumionym, że nie dotarło ono dalej, jak do człowieka, dla którego było przeznaczone.

Szmer ogólnej rozmowy, gwarne śmiechy przy stole weselnym przyczyniały się do tego, że nikt im w rozmowie nie przeszkadzał.

Kiedy stary Barney pochylił się, aby podać miskę, Craig rzucił na sąsiada przelotne spojrzenie.

— Piotr ma jeszcze ciągle starego Barney'a — zawsze uczciwy, Barney?

— Taka już moja natura, — rzekł Barney głosem stłumionym. — Nie stosunki z policją utrzymują mnie na prawej drodze.

Twarde rysy detektywa złagodniały.

— Wielu innych ludzi mogłoby to także powiedzieć, Barney, — odparł, a gdy sługa podszedł do następnego gościa, ciągnął: — To dzielny człowiek. Barney nigdy nie był zły. Zdaje się, że raz tylko siedział — a i to nie przy-

darzyłoby mu się, gdyby posiadał wyobraźnię Piotra, Johnny.

— Wyobraźnię Piotra?

— Nie mówię o jego obecnej wyobraźni, mam na myśli to, czem on był przed czternastu-piętnastu laty. Był on najprzebieglejszy z nich wszystkich. Jak wspaniale szkicował swoje plany wojenne! Jak mistrzowsko przygotowywał sobie odwrót! Najdoskonalsze alibi, pozostające z sobą w takiej zgodności, że musiałby, gdybyśmy go nakryli, nietylko zostać zwolniony, ale nawet dostać jeszcze jakąś zapomogę z kasy ubogich! Ambicją każdego młodego urzędnika było schwytać go, wynaleźć w jego planach jakiś błąd, jakąś lukę. Ale on nie miał potrzeby obawiać się mądrych ani głupich.

— Zaczerwieniłby się, gdyby to słyszał, — rzekł Johnny sucho.

— Ale tak jest, Johnny! Te przebiegłe listy, które pisał, poto tylko, aby nas zwieść. Listami osiągał wszystko — powodował spotkania, ściągał ludzi na miejsce, gdzie ich chciał mieć i gdzie obecność ich mogła być dla niego pożyteczna. Przypominam sobie, jak kazał memu szefowi przyjść punktualnie dziesięć minut po dziewiątej do Charing Cross, gdzie mu się dał poznać i zmusił go do złożenia świadectwa jego alibi! — Craig zaśmiał się cicho przed siebie.

— Zdaje mi się, — rzekł Gray, — iż mogłoby się komuś wydać dziwnem, że pan i on jesteście tak dobrymi przyjaciółmi?

— Nietylko dziwnem, ale w najwyższym stopniu podejrzaniem! — mruknął detektyw. — Kieliszek wina, jeśli można? — zapytał nagle i chwycił butelkę.

— Nie dziękuję — pijam bardzo rzadko. W naszym zawodzie trzeba mieć trzeźwą głowę. Nie możemy sobie pozwolić na marzenia.

— My możemy sobie tylko na to pozwolić, — rzekł Craig. — Ale dlaczego mówi pan o „naszym zawodzie“, przyjacielu? Pan ma to już przecież za sobą?

Johnny spostrzegł, że Marney spojrzała na niego. Było to tylko jedno spojrzenie — ale w tem krótkim spojrzeniu dostrzegł wszystko, czego się obawiał — przerażenie, zmieszanie i bezradność. Zagryzł wargi i szybko odwrócił się do detektywa.

— Co słyhać w pańskim zawodzie?

— Cisza.

— Żałuję bardzo, — rzekł Johnny Gray współczująco. — Ale wszędzie tak jest, nieprawdaż?

— Jak się panu powodziło — na wsi? — zapytał Craig, a sąsiad jego uśmiechnął się.

— Wspaniale! W sypialni mojej brakowało wprawdzie tapet, ale usługa była znakomita.

Craig westchnął.

— Tak, człowiek uczy się, póki żyje, — rzekł melancholijnie. — Było to dla mnie bardzo, bardzo przykre, Johnny. To wielkie niepowodzenie, ale cóż pomoże uskarżać się teraz? Był pan jednym z tych, którzy mieli nieszczęście. Gdyby wszyscy ludzie, którzy zasługują na więzienie, siedzieli w więzieniu, — tak, wtedyby kwestji mieszkaniowej wogóle nie było. Było tam wiele gwiazd, jak słyszę, — ciągnął Craig. — Harry Becker i młody Lew Storing — tak, i stary Legge też pewnie siedział za pańskich czasów. I ten drugi zuch — jakże on się nazywa? Ten fałszerz pieniędzy — aha, Carper, prawda. Widział go pan?

— Tak, był raz zaprzężony ze mną do tego samego wózka.

— Ach! — rzekł Craig zachęcająco. — Założyłbym się, że słyszał pan niejedno. Rozmawiał pan z nim?

— Owszem.

Craig pochylił się do Johna, a głos jego stał się cichszy.

— Przypuśćmy, że opowiem panu, iż jest pan przez kogoś prześladowany, i przypuśćmy, że mam powód do domysłu, iż pański prześladowca jest człowiekiem, którego mi potrzeba, — czy w tych warunkach nie moglibyśmy wzajemnie wymienić swych tajemnic? — zapytał.

— Tak, moglibyśmy pogadać sobie i wysłaby z tego wspaniała muzyka. Ale nic więcej. Mówiąc otwarcie, Craig, nie mogę panu nic powiedzieć o Wielkim Drukarzu. Reeder powinienby właściwie wiedzieć wszystko o nim!

— Reeder! — zawołał Craig tonem pogardliwym. — Dy-letant! Nie znoszę całej tej gadaniny o ludziach z tajnej służby! Gdyby pozostawiono sprawę policji, Wielki Drukarz byłby już w naszym ręku — czy widział go pan już kiedy, Johnny?

— Nie, — rzekł Johnny niezgodnie z prawdą.

— Reeder, hę? — powtórzył zamyślony detektyw. — Pierw był pewien urzędnik, Golden, stary chłop, który przypuszczał, że potrafi złapać fałszerzy, siedząc w swoim gabinecie i myśląc intensywnie. Bądź co bądź, Reeder niewiele więcej jest wart. Widziałem go raz, ruchliwy człowiek na granicy starości!

Craig westchnął głęboko, pomknął smutnem spojrzeniem po kole biesiadników, potem rzekł cicho:

— W zupełnem zaufaniu, Johnny, znam dla pana łatwy sposób zarobienia „monkey'a” (500 funtów szt.).

Johnny nie uśmiechnął się.

— Jesteśmy przecież obaj ludźmi z towarzystwa, — ciągnął detektyw błagalnie.

— Tak, — rzekł Johnny Gray, — ale nie z tego samego towarzystwa, Craig.

Detektyw zrobił jeszcze ostatnią, rozpaczliwą próbę, choć wiedział, że z Gray'a równie trudno byłoby coś wydobyć, jak z Piotra samego.

— Bank of England płaci tysiąc funtów, za wiadomość, której mi potrzeba.

— Któż sobie łatwiej może na to pozwolić? — rzekł Johnny z zupełnem przekonaniem. — Niech pan zamilknie teraz, Craig, ktoś chce przemawiać.

Duchowny, który udzielił młodej parze ślubu, wygłosił budujące przemówienie. Gdy dotarł do stereotypowych słów końcowych, Craig, którego interesowały bardzo óżwiężne zdania, odwrócił się i spostrzegł, że sąsiad jego znikł. Później zauważył, że był on pochylony nad krzesłem Piotra, który gorliwie potakiwał głową. Następnie Johnny znikł za drzwiami.

Ktoś inny jeszcze obserwował go. Młody małżonek, którego palce igrały kieliszkiem, zauważył, jak Johnny wyszedł z pokoju, co obudziło jego zainteresowanie. Zamienił spojrzenie z ładną pokojówką i znacząco wskazał oczyma na drzwi. Na ten znak Lila wyszła za Johnem Gray. Nie było go w hall'u, więc wyszła na drogę, ale i tam nie znalazła ani śladu człowieka, którego szukała. Stał tam jednak ktoś inny, na czyje skinięcie zbliżyła się szybko.

— Powiedz Jeffowi, że muszę z nim mówić, zanim się uda w podróż poślubną, — mruknął Emanuel Legge, patrząc na nią przez okulary. — Rozmawiał z dziewczyną, poznałem to po jej twarzy. Co jej powiedział?

— Skąd ja to mogę wiedzieć? — oburzyła się Lila. — Pan i pański Jeff! Żałuję, że się wogóle wdałam w tę sprawę. A co teraz? Ten sprytny łajdak wie wszystko, Legge.

— Kto — Johnny Gray? On tu jest? Więc przybył na ślub?

Lila skinęła głową.

— Co to ma znaczyć — „wie wszystko“?

— Zna Jeffa — poznał go od pierwszego wejrzenia, — rzekła dziewczyna, a Emanuel Legge gwizdnął przeciągle.

— Powiedziałś Jeffowi, że jest poznany?

Twarde rysy Emanuela Legge skrzywiły się w napięciu.

— POCO pan mnie pyta? Nie zamieniłam z nim ani słowa. Jest tak zajęty dziewczyną. —

— Nie myśl o tem, — rzekł Legge z wymownym gestem.

— Opowiedz mi lepiej, co powiedział Johnny Gray.

— Powiem panu coś, co mnie ubawiło, — rzekła dziewczyna ponuro. — Powiedział, że mnie udusi, jeżeli będę gadać! A on ma parę bardzo fascynujących rąk. Nie chcę z nim zadzierać — niema sensu grozić mi, Emanuelu. Powiedziałam panu wszystko, co mówił. Zna Jeffa; musiał go widzieć, zanim przeszedł „przez Alpy“.

Emanuel Legge stał ze zmarszczonem czołem i zaciśniętymi wargami i myślał:

— Jeżeli przejrzy sprawę, będzie źle. Zakochany jest w dziewczynie i sprowadzi nieszczęście. Wywołaj prędko Jeffa.

— Jeżeli pan tu zostanie, Piotr zobaczy pana, — ostrzegła Lila. — Niech pan zejdzie w dół szosy i wejdzie na prywatną drogę. Ześlę Jeffa do dolnego ogrodu.

Legge skinął głową i odszedł szybko. Minęło sporo czasu, zanim Lila miała sposobność dać Jeffowi znak oczyma. Wyszedł za nią na murawę.

— Stary czeka w dolnym ogrodzie, — rzekła cicho. — Szybko.

— Co się stało? — zapytał Jeff zaniepokojony. Przechywał coś złego.

— On ci powie.

Jeff rozejrzał się dokoła i pobiegł na taras, gdzie zastał już ojca.

— Jeff, Gray poznał nas.

Młody Legge odetchnął głęboko.

— Mnie? — rzekł niedowierzająco. — Ani powieką nie drgnął, kiedyśmy się spotkali.

Emanuel skinął głową.

— Djabelnie zimną krew ma ten chłopak — to najniebezpieczniejszy łotr pod słońcem. Byłem z nim w „piekle“, znam jego opinię. Nie boi się niczego. Jeżeli powie Piotrowi — strzelaj pierwszy! Piotr napewno nie nosi przy sobie rewolweru, ale ma go niewątpliwie w pobliżu — a Piotr działa szybko. Będę cię krył; mam pod ręką dwóch zuchów, którzy czekają mego skinienia, a Johnny... well, on zostanie swoje.

Jeff gryzł w zamyśleniu paznogie.

— Co mam robić?

— Usuń dziewczynę — macie odjechać autem, co? Zawieź ją do hotelu Charlton. Macie tam pozostać tydzień — zrób z tego dzień. Jedź jutro do Szwajcarii i nie pozwól jej pisać. Z Piotrem ja się załatwię. Zapłaci.

— Za co?

— Żeby odzyskać córkę; czterdzieści tysięcy — może więcej.

Jeff Legge gwizdnął przed siebie.

— Z tej strony jeszcze na tę sprawę nia patrzałem. Nowy rodzaj wymuszenia.

— Nazwiesz to, jak mnie się spodoba! — syknął ojciec.

— Siedzisz w interesie do połowy i dostaniesz swoją część. *Sponiewierasz dziewczynę, rozumiesz? Sponiewierasz, Jeff... Piotr zapłaci.*

— Obiecałem Lili... — zaczął syn z wahaniem.

— Obiecuuj swojej ciotce! — wrzasnął Emanuel Legge.

— Lila! Ta dziewczka, i taki człowiek, jak ty — cóż wy macie wspólnego? Zakładasz przytułek dla upadłych dziewcząt? Dość!

— Co będzie z Gray'em?

— Nad Gray'em ja czuwam!



## ROZDZIAŁ VII.

Stary Legge powrócił do drogi i poszedł szybkim krokiem, aż dotarł do szosy. Dwaj mężczyźni siedzieli tam w cieniu krzaka i jedli chleb z serem. Na gwizdnięcie zerwali się szybko. Byli to wysocy, barczyści chłopi, których policzki od długiego czasu nie były w zetknięciu z brzytwą.

— Czy któryś z was zna Johna Gray'a? — zapytał Legge.

— Siedziałem z nim razem w klatce, — rzekł jeden ze zbirów, — to ten, co siedział za końskie sprawy?

Emanuel skinął głową.

— Jest w tym domu, prawdopodobnie pójdzie na dworzec i będzie pewnie szedł krótszą drogą, przez ścieżkę polną. Dla was to będzie zabawka. Połóżcie go — zrozumiano? Załatwcie się dobrze, choćby to było na szosie. Jeżeli nie będzie sam, upolujcie go w Londynie. Ale nie dajcie mu uciec.

Gdy Emanuel powrócił na swój punkt obserwacyjny, pierwsze auto ruszało właśnie. Jeff śpieszył się — i tak trzeba było.

Samochód wyjechał. Emanuel dojrzał twarz Jeffa i przerażone oblicze dziewczyny; zatarł ręce z zadowoleniem. Piotr stał na środku drogi i spoglądał za odjeżdżającym autem. Gdyby on wiedział! Uśmiech znikł z twarzy Emanuela. Piotr nie wiedział nic; nie powiedziano mu. Johnny takżeby jej nie puścił, gdyby wiedział wszystko. Może Lila kłamała. Takim kobietom nie można wierzyć; lubią sensację. Johnny

niebezpieczny. Te dwa wyrazy stopiły się w jedno wrażenie. Wtem ujrzał Gray'a. Stał z jedną ręką w kieszeni, kiwając drugą za odjeżdżającymi, którzy właśnie ukazali się na chwilę na drodze do Shoreham, i wyglądał tak niefrasobliwie, jakby wszystko to nic go nie obchodziło.

Teraz wyjechało drugie auto, do którego wsiadło kilku z gości. Jeśli Johnny był mądry, powinien pojechać teraz z całym towarzystwem do Londynu. Ale Johnny nie był mądry. Był tylko nędznym żóltodzióbkiem, jak wszyscy zwyczajni oszuści. Poszedł sam pieszo, przeciął szosę i wszedł na wąską ścieżkę polną.

Emanuel obejrzał się. Pomocnicy jego zauważyli wszystko i ruszyli w kierunku nie przeczuwającego nic pjechura.

Z szosy prowadziły dwie ścieżki, które spotykały się w polu. Johnny minął właśnie to miejsce, gdy usłyszał za sobą kroki. Rzucił za siebie okiem, ujrzał znajomą twarz i zastanowił się chwilę. Mógł uciekać i z łatwością pozostawić za sobą niezdarnych drabów. Uznał jednak za lepsze wyjść im naprzeciw, ujął oburącz swą łaskę z malakki i odwrócił się.

— Hej, Gray, — rzekł wyższy z napastników. — Dokąd tak śpieszno, u licha? Mam ci coś do powiedzenia, nędzny gaduło! To ty powiedziałeś dozorcycy, że odźwierny dostarczał mi tytoń!

Był to oczywiście wymysł tylko; miał przygotować napad. Obaj mieli w rękach giętkie laski trzciniowe z żelaznymi skówkami.

Pierwsze uderzenie chybiło Gray'a, który cofnął się o krok, potem nagle zabłysło w słońcu coś długiego i połyskliwego. Johnny trzymał przed sobą klingę szabli, której delikatne, śmiercionośne ostrze skierowane było na najbliższego z napastników. Na widok broni zbirowie zatrzymali się przerażeni.

— Łajdaku! — rzekł Johnny z wyrzutem. Ostra jak brzytwę klinga pomknęła od jednej twarzy do drugiej i dwaj napastnicy cofnęli się szybko jeden za drugim. Jeden z nich uczuł na twarzy coś wilgotnego i dotknął jej ręką. Kiedy ją odjął była mokra i czerwona.

— Weź to na pamiątkę, łajdaku! — rzekł Johnny, chowając klingę zpowrotem do laski, i spokojnie ruszył dalej.

Jego chłodna obojętność i rozwaga, jego niezwykle zwycięstwo uczyniły na napastnikach wrażenie.

— Zimny łotr, — rzekł człowiek z rozciętym policzkiem. Westchnienie wściekłości złagodziło jego surowy głos. — U licha, odpłacę mu za to!

Ale nie zdradził chęci gonienia Johna, a towarzyszy jego rad był z tego.

John Gray przyśpieszył kroku i po chwili dotarł do pierwszych domów miasta. Wsiadł do pierwszej spotkanej taksówki i przybył na dworzec akurat w chwili, gdy pociąg odjeżdżał. Omylił się; rozkład jazdy był tego właśnie dnia zmieniony, ale za pół godziny miał nadejść pociąg pośpieszny z Brighton, który zatrzymywał się tylko w Horsham.

Poszedł do pobliskiego hotelu, gdzie zabawił kwadrans w budce telefonicznej; wyszedł z niej z twarzą oblaną potem i rozmiękłym kołnierzykiem.

Kiedy wyszedł znowu na peron, nie ujrzał tam znajomej twarzy. Spodziewał się zastać Emanuela i nadzieja ta nie zawiodła go: kilka minut przed nadejściem pociągu z Brighton stary Legge zjawił się na peronie.

Oficjalnie było to ich pierwsze spotkanie od czasów dartmoorskich, to też twarz Legge'a zdradzała odpowiednią dozę zdumienia.

— Co? Przecież to Gray! Well, nie spodziewałbym się ciebie tu spotkać, stary! Well, to dopiero niespodzianka! Kiedy wyszedłeś?

— Daj pokój tej przyjacielskiej pogawędce, — rzekł Johnny krótko. — Jeżeli znajdziemy oddzielny przedział, mam z tobą parę słów do pogadania, Emanuelu.

— Byłeś na ślubie? — zapytał stary Legge podstępnie. — Ładna dziewczyna, co? dobrą partję zrobiła? Podobno jakiś milioner kanadyjski. Stary Piotr ma szczęście! Jeżeli spadnie ze skały, to napewno zleci na puch, już on ma takie szczęście.

Johnny nie odpowiedział. Kiedy pociąg zjechał i przedział pierwszej klasy zatrzymał się przed nim, otworzył drzwi, i Emanuel wskoczył pierwszy.

— Jeżeli potrzebujesz pieniędzy... — zaczął Legge.

— Nie potrzebuję, — rzekł Johnny krótko. — Potrzebuję tylko złego towarzystwa. A teraz słuchaj, Emanuelu, — pociąg wyjeżdżał wolno z dworca, gdy Johnny zaczął mówić, — chcę ci dać szansę.

Zdumienie, malujące się w szeroko rozwartych oczach Emanuela Legge, było bardzo przekonywujące, ale Johnny nie był w tej chwili skłonny do poddawania się jakimkolwiek przekonywującym dowodom.

— Nie rozumiem cię, Johnny, — zaczął Legge. — Co to ma znaczyć, że chcesz mi dać jakąś szansę? Pileś?

Johnny siadł naprzeciw Emanuela. Teraz pochylił się i położył dłoń na jego kolanie.

— Emanuelu, — rzekł życzliwym tonem, — odwiedź chłopaka od tej sprawy, a wszystko zostanie między nami. Nie patrz na mnie tak żałośnie, jak zraniona łania; nie mam czasu na żarty. Odwiedzisz Jeffa od tej sprawy i odeszlesz dziewczynę dziś wieczór — albo będę „sypał”. Zrozumiano?

— Rozumiem twoje słowa, Johnny Gray, ale co one mają oznaczać, jest dla mnie zagadką. — Emanuel Legge potrząsnął głową. — O jakim chłopaku ty mówisz? Mam tylko jednego syna, studjuje —

— Jaki z ciebie marny, stary łgarz! Mówię o Jeffie Legge, który ożenił się dzisiaj z córką Piotra. Przejrzałem twój plan, Emanuelu. Chcesz się zemścić na Piotrze. Dobrze, ale zrób to w inny sposób.

— Wyszła zamąż z własnej woli, — zaczął Legge. — Przeciw temu niema prawa, czyż nie tak, Johnny? Od pierwszego zaraz wejrzenia zakochała się w nim! Młodzi ludzie zakochani to widok, który uwesela serce, Johnny.

Jeśli spodziewał się, że wyprowadzi swego towarzysza z równowagi, to omylił się.

— On może dobrowolnie rozwiązać to małżeństwo, — rzekł Johnny spokojnie. — Słuchaj, Emanuelu Legge. Kiedy przyjedziesz do Londynu, pojedziesz wprost do Charlton Hotelu i pomówisz z synem otwarcie. Ponieważ jest człowiekiem rozsądnym, zrobi, co mu każesz —

— Co *ty* każesz, — poprawił Emanuel z uśmiechem. — A co będzie, jeśli tego nie zrobię, Johnny?

— Będę „sypał“, — rzekł Johnny, a uśmiech stał się szerszy.

— Oni wzięli ślub, mój stary. Nie możesz ich rozwieść. Możesz zamienić karego konia we wronego, ale nie zrobisz z mrs. Jeffrey Legge zpowrotem miss Marney Kane, żebyś był nie wiedzieć jak zęczny.

Johnny pochylił się naprzód.

— Mogę zrobić z mr. Jeffrey'a Legge więźnia w Dartmoor, — rzekł niemiłym tonem, — i mam ten zamiar.

— Z jakiego oskarżenia? — Emanuel wzniosł brwi.

— Pozwólże mi raz usłyszeć, jak ty śpiewasz, Gray,

— On jest Wielkim Drukarzem, — rzekł Johnny, a uśmiech począł wolno znikać z twarzy Legge'a. — Rząd wydał tysiące, aby go złapać. Najlepsi detektywi świata pracują nad zdemaskowaniem go, a ja mogę im służyć informacjami, których im potrzeba. Wiem, gdzie się jego towar robi, gdzie się drukuje. Znam przynajmniej czterech z jego pomocników. Myślisz, Emanuelu, że tajemnica Jeffa znana jest tylko tobie i jemu, ale mylisz się. Craig wie, że on jest Wielkim Drukarzem; powiedział mi to dziś przy lunchu. Potrzebuje tylko dowodu, a dowód ten ja mu mogę dostarczyć. Stary Reeder wie to także — uważasz go za głupca, ale on wie. Mógłbym mu szepnąć słówko, któreby go uczyniło najmądrzejszym człowiekiem na świecie.

Emanuel zwilżył zeschłe wargi.

— Dobry byłby z ciebie detektyw, Johnny, — rzekł zartem. Ale w głosie jego nie było zadowolenia. — Jakiby z ciebie był detektyw! Wyglądasz i mówisz jak gentleman. Złapaliby cię, nie namyślając się ani chwili! Ale na mnie to nie robi wrażenia, Johnny. Jestem za stary i za sprytny, aby się dać nabierać —

— Tu niema nabierania, — przerwał Johnny. — Twojego syna mam w rękę ot tak! — wyciągnął rękę i wolno zamknął dłoń. Przez pięć minut Emanuel Legge siedział wciśnięty w kąt wagonu i obserwował okolicę przez okno.

— Powiadasz, że masz mojego syna tak w rękę, Johnny? — zaczął przyjaźnie. — Well, widzę, że niema sensu chcieć cię oszukiwać. Fałszywe pieniądze to śmieszna rzecz — w Ameryce nazywają je „phoney”. Wiesz? Przypuszczam, bo dostałeś dobre wychowanie. Ale bywają dobre fałszyfikaty, Johnny. Patrz tu. Oto banknot. Prawdziwy, czy fałszywy?

Wyciągnął z kieszonki od kamizelki złożony kilkakrotnie kawałek papieru. Rozwinął go starannie i pokazał Johnowi

banknot pięciofuntowy. Potem wygładził go starannie między wielkim a wskazującym palcem. Oczy jego świeciły za potężnymi szklami okularów; duma niemal zmieniła rysy jego twarzy.

— Prawdziwy czy fałszywy, Johnny?

Choć dzień był jasny, gorący, bezchmurny, zapłonęły nagle cztery lampki elektryczne przedziału. Światło słoneczne klóciło się z nimi, rzucając cienie żarówek na białe ściany wagonu.

— Zaraz będzie tunel, — rzekł Emanuel. — Będziesz mógł dokładnie obejrzeć banknot — dotknij go ręką, Johnny! Prawdziwy papier; bankierzy łapią się na to...

Pociąg wjechał grzmiąc do ciemnego tunelu. Emanuel stał plecami do drzwi tunelu i trzymał w obu dłoniach rozpostarty banknot. — Ma tylko jeden błąd — znak wodny. Zdradzam swoją tajemnicę, co? Spójrz tu!

Wyciągnął ręce i trzymał banknot naprzeciw lampy. Chcąc go obejrzeć, musiał Gray stanąć za nim i patrzeć przez jego ramię. Grzmot pociągu w tunelu był ogłuszający.

— Spójrz na to „F”, — wołał Emanuel. — „F” w „Five” — trochę jest niewyraźnie wydrukowane...

Kiedy się Johnny schylił, Legge wymierzył mu ramieniem cios, w który włożył całą swą siłę i cały ciężar ciała. John Gray, nieprzygotowany na to, stracił równowagę. Zachwiał się, uderzył o drzwi wagonu, uczuł, że się one poddają i zrobił rozpaczliwą próbę odzyskania równowagi. Ale uderzenie było dobrze obliczone. Drzwi otworzyły się szeroko, Johnny wyleciał w czarną próżnię i uchwycił się ręką brzegu okna. Przez sekundę wisiał w ten sposób przy drzwiach, które chwiały się tam i zpowrotem. Potem pięść Legge'a spadła jak młot na jego palce, i Johnny runął w przepaść...

## ROZDZIAŁ VIII.

Padł na nasyp z piasku i wywinął koziołka. Ramię jego uderzyło o mur tunelu i omal nie doznało złamania, całe zaś ciało odbiło się od ściany zpowrotem ku pociagowi. Koło odrzuciło go znowu na ścianę, a po chwili, zasłaniając twarz rękoma, toczył się po żwirze nasypu, który darł jego ubranie na strzępy...

Żył. Pociąg przeszedł. Widział, jak czerwone latarki na ostatnim wagonie stopniowo zbliżały się do siebie. Ostrożnie poruszył najpierw jedną nogą, potem drugą; potem potoczył się pod ścianę i przez chwilę leżał nieruchomo na grzbiecie. Serce jego biło gwałtownie. Strach może człowieka zabić, przeszło mu przez myśl. Bicie serca stało się jeszcze silniejsze; zrobiło mu się mdło, ogarnęło go silne drżenie.

Lekarze robią w takich wypadkach zastrzyk z roztworu gumy arabskiej (myśli jego były dziwnie trzeźwe). Przypomniał sobie, że powiedział mu to lekarz z Dartmoor.

Ale gumy arabskiej nie możnaby tu dostać... Po dziesięciu minutach uniósł się na łokciu i usiadł z trudnością. Głowa chwiała mu się, ale nie bolała go; ramiona... dotknął ich ostrożnie. Bolały przy dotknięciu, ale kości były całe.

Robotnik kolejowy zdumiał się bardzo, gdy ujrzał młodego człowieka w poszarpanem, brudnem ubraniu, wynurzającego się chwiejnym krokiem z czeluści tunelu.



— Wypadłem z pociągu, — rzekł Johnny. — Czy mogę tu gdzieś znaleźć auto?

Robotnik, który skończył właśnie pracę, gotów był służyć za przewodnika. Johnny wdrapał się z trudem na strome wzgórze, obok którego biegła linja kolejowa, i z pomocą uczynnego robotnika przeszedł szerokie pole, sięgające aż do szosy. Na szczęście drogą jechał jakiś sportowiec, który powracał z wyścigów konnych w Gatwick i siedział sam w aucie.

Najpierw spojrział podejrzliwie na obdartą i potłuczoną postać, która go zatrzymała. Wreszcie jednak otworzył drzwiczki auta.

— Niech pan wsiada, — rzekł.

Johnny miał jeszcze słówko do powiedzenia robotnikowi kolejowemu.

— Oto pięć szylingów, — rzekł. — Dwa za pańską pomoc, a trzy za milczenie. Nie chciałbym, aby sprawa dostała się do prasy, rozumie pan? Prawdę mówiąc, zajrzałem trochę za głęboko do butelczyny.

Johnny dotknął niewątpliwie bratniej struny.

— Był pan włany? — zapytał robotnik. — Niech się pan nie obawia.

Człowiek, który go wioził do Londynu, nie był gadatliwy. Z wyjątkiem wyrażenia życzenia, że oby to *jemu* przydarzył się taki wypadek, zanim się zapoznał z wyścigami konnymi, oraz stwierdzenia faktu, że wszelkie wyścigi to oszustwo, a wszyscy dzokiejse są złodziejami, nie odzywał się prawie wcale, z czego Johnny był bardzo rad.

Gdy przybyli do pierwszego postoju dorożek automobilowych — było to w Sutton — Johnny uparł się, że wsiądzie.

— Zawiozę pana do domu, jeśli pan chce, — rzekł jego zgryźliwy zbawca.

Johnny Gray odmówił z podziękowaniem.

— Nazywam się Lawford, — rzekł sportowiec, który nagle stał się uprzejmy. — Zdaje mi się, że znam pańską twarz. Czy nie bywał pan na placach wyścigowych?

— Już dawno nie, — odparł Johnny.

— Jest pan trochę podobny do jednego zucha, którego kiedyś spotkałem... well, przedstawiono mi go nawet... niejaki Gay czy Gray... notoryczny rzezimieszek. Siedzi pewnie.

— Dziękuję panu, — rzekł Johnny, — to byłem ja! — a milczący dotąd mr. Lawford stał się naraz prawie rozmowny, rozplywając się w przeproszeniach.

Johnny dokończył podróży w taksometrze i późno popołudniu przybył wreszcie na Queen's Gate.

Parker, który mu otworzył, nie pytał o nic.

— Przygotowałem panu inne ubranie, sir, — rzekł, gdy wszedł po raz drugi do gabinetu swego pana. Była to jedyna aluzja do wyglądu Johna po powrocie.

Leżąc w gorącej kąpieli, która miała jego zdrętwiałym członkom nadać dawną sprężystość, badał Johnny swe obrażenia. Były mniej lub bardziej zewnętrzne, ale niewiele brakowało, a byłby się dostał śmierci w łapy; teraz jeszcze nie mógł się uspokoić. Emanuel chciał go zabić. Nie dziwiło go to. Ludzie jego pokroju tak postępowali. Poznał ich w Dartmoor. Byli zdolni do morderstwa nawet bez bodźca wściekłości czy rozpacz. Widział kiedyś, jak jeden z więźniów ze starannym rozmysłem wybierał wielki, ostry kamień, aby go zrzucić na głowę człowieka, który pracował na dole w kamieniołomie. Na szczęście zauważył to jeden z dozorców i krzyk jego uratował życie ofiary. Zbrodniarz miał tylko jedno usprawiedliwienie. Człowiek, na którego nastawał, obraził go przy jakiejś sposobności.

W sercach tych ludzi mieszkało zimne zwierzę. Johnny wyobrażał je sobie często: ohydna postać o bladych oczach bez powiek i wąskim, podłużnym otworze zamiast ust. Z setek skażonych twarzy poglądało na niego to zwierzę, słyszał jego głos, widział, jak okrucieństwo jego ujawniało się w czynach, których wspomnienie samo budziło w nim dreszcz grozy. Coś z tego zwierzęcia wtargnęło do jego własnej duszy.

Kiedy wyszedł z kąpeli, czekał już na niego masażysta, którego zamówił Parker; przez pół godziny poddawał się jęcząc jego zabiegom.

Gazety wieczorne, które przyniósł Parker, nie zawierały żadnej wzmianki o „wypadku“ — trudno było przypuścić, aby Emanuel rozgłosił to, nawet we własnym interesie. Mógł dać wyjaśnienia. — Johnny miał wiele z nich na myśli.

Kiedy masażysta wypuścił go ze swych rąk, położył się w szlafroku, żeby wypocząć.

— Czy ktoś był? — zapytał.

— Niejaki mr. Reeder, sir.

Johnny zmarszczył czoło.

— Mr. Reeder? — powtórzył. — Czego chciał?

— Nie wiem, sir. Pytał o pana. Mężczyzna w średnim wieku o wyglądzie nieco przygnębionym, — rzekł Parker.

— Powiedziałem, że pana niema w domu, i chciałem spełnić wszelkie zlecenie, ale nie dał mi żadnego.

John Gray nie odpowiedział. Wizyta tajemniczego mr. Reedera niepokoiła go z pewnych względów bardziej, niżeli wspomnienie tragicznego przeżycia tego popołudnia, tak, w tej chwili bardziej nawet, niż małżeństwo Marney Kane.

## ROZDZIAŁ IX.

Marney jechała tego popołudnia do Londynu w zupełnem prawie milczeniu. Siedziała w rogu limuzyny i miała wrażenie, jakby bezgraniczna przestrzeń dzieliła ją od człowieka, którego poślubiła. Raz czy dwa razy rzuciła na niego lęklive spojrzenie, ale on tak był zajęty własnymi myślami, że nawet tego nie zauważył. Sądząc z jego niezmiennie ponurego wyglądu, musiały to być myśli bynajmniej nie przyjemne. Przez cały czas gryzł paznogie i marszczył brew.

Dopiero gdy wielkie auto przejeżdżało przez jeden z mostów na Tamizie, ocknął się z zamyślenia. Odwrócił głowę i spojrzał na Marney zimno.

— Wyjeżdżamy jutro, — rzekł, a Marney utraciła resztę odwagi.

— Sądziłam, że chcesz spędzić tydzień w mieście, Jeffie, — rzekła, spoglądając nań znowu z niepokojem. — Powiedziałam ojcu —

— Co mię to obchodzi? — odparł Jeff szorstko; teraz dopiero odważyła się Marney zadać mu pytanie, które trapiło ją przez całą drogę.

— Jeffie, co to miało znaczyć dziś rano, w drodze powrotnej z kościoła...? Tak mię przestraszyłeś.

Jeff Legge zachichotał.

— Przestraszyłem cię, naprawdę? — zapytał drwiaco.  
— Well, jeśli ci się nic gorszego nie stanie, możesz być zadowolona.

— Ale ty się tak zmieniłeś... — rzekła Marney zmieszana. — Ja... ja nie chciałam wyjść za ciebie... myślałam, że ty tego chcesz... i ojciec był tak zatroskany...

— Ojciec twój bardzo był zatroskany, żebyś wyszła za człowieka z towarzystwa, z kupą pieniędzy, — rzekł Jeff, akcentując każdy wyraz. — Well, i wyszłaś za niego, co? Kiedy ci dziś rano powiedziałem, że tak nabrałem twego ojca, — zrobił wymowny gest ręką, — to miałem na myśli. Wiesz przecież, że ojciec twój jest przestępcą?

Piękna twarz Marney okryła się purpurą, potem zbladła gwałtownie.

— Jak śmiesz mówić coś podobnego? — zawołała, a głos jej drżał z gniewu. — Wiesz, że to kłamstwo. Wiesz!

Jeffrey Legge wolno przymknął powieki.

— Czeka cię niejedna jeszcze rewelacja, drogie dziecko, — rzekł, — ale sądzę, że lepiej będzie, jeśli poczekamy, aż się znajdziemy w hotelu.

Zapadło milczenie, które trwało, aż auto stanęło przed hotelem Charlton. Jeff stał się znowu dawnym uśmiechniętym, uprzejmym człowiekiem i pozostał nim, aż drzwi salonu zamknęły się za nimi.

— Teraz muszę powiedzieć ci coś, czego nie możesz dowiedzieć się zbyt wcześnie, — rzekł, rzucając kapelusz na kanapę. — Nie nazywam się wcale Floyd. Jestem Jeffrey Legge. Ojciec mój przed półtora rokiem dopiero opuścił więzienie. Wpakował go tam Piotr Kane.

Marney słuchała z otwartymi ustami, oniemiała z przerażenia i zdziwienia.

— Piotr Kane jest złodziejem bankowym — a raczej był nim jeszcze przed piętnastu laty, gdy dokonał z moim ojcem wspaniałej sztuczki, zniknął z miljonem dolarów i zasypał swego współnika.

— Zasypał? — zapytała Marney zmieszana.

— Twój ojciec zdradził go, — rzekł Jeffrey cierpliwie. — Dziwię się, że Piotr nie zaznajomił cię z fachowymi wyrażeniami swego zawodu. Zasypał swego przyjaciela i ojciec mój dostał dwadzieścia lat więzienia.

— To kłamstwo, — rzekła Marney oburzona. — Wymyśliłeś sobie tę historję. Ojciec mój miał przedsiębiorstwo bankowe. Nigdy w życiu nie dopuścił się on czynu niehonorowego. A gdyby to zrobił, nigdyby nie zdradził przyjaciela!

Odpowiedź ta zdawała się bawić Jeffa.

— Miał przedsiębiorstwo bankowe? To znaczy pewnie, że zajęciem jego było włamywanie się do kas ogniotrwałych w bankach? To najlepszy dowcip, jaki słyszałem od długiego czasu. Twój ojciec jest przestępcą! Johnny wie o tem. Craig wie także. Dlaczegożby właściciel banku miał być zaprzyjaźniony z „psem gończym“, co? Nie rób takiej głupiej miny — „pies gończy“ to znaczy detektyw. Piotr stanowczo zaniedbał twoje wychowanie.

— Johnny wie? — rzekła Marney przerażona. — Johnny wie, że ojciec jest... Nie, ja w to nie uwierzę! Wszystko co mi opowiedziałeś, to kłamstwo. Gdyby to była prawda dlaczegożbyś się ze mną ożenił?

Nagle prawda stała się dla niej jasna, i Marney stała w miejscu, jak sparaliżowana, patrząc przerażonym wzrokiem na uśmiechającego się mężczyznę.

— Zrozumiałaś, hę? Lata czekaliśmy na to, aby móc się zemścić na Piotrze. Zdaje się, że teraz udało nam się.

Jeżeli chcesz, możesz mu to powiedzieć. Oto telefon; zadzwoń do niego. Powiedz mu, że ja jestem Jeffem Legge i że wszystkie wspaniałe marzenia, które snuł na temat twojej wielkiej przyszłości, rozwiały się! Zatelefonuj do niego! Powiedz mu, że nigdy nie chciałaś za mnie wyjść, a zrobiłaś to tylko ze względu na niego — musisz mu złamać serce. Zrób to natychmiast!

— Zabiłby cię, — szepnęła Marney.

— Może. To piękna myśl. Mielibyśmy Piotra w rękę. Za to można już iść na szubienicę. Ale ja nie wierzę, żeby on mnie miał zabić. Gdy tylko ujrzę w jego rękę rewolwer, zastrzelę go jak psa. Niech cię to jednak nie powstrzymuje od zatelefonowania do niego, moja droga.

Wyciągnął rękę, ale Marney cofnęła się ze wstrętem.

— Więc ty ten cały plan ukuleś... to była wasza zemsta? Jeff skinał głową.

— Ale Johnny... Johnny nie wie o tem.

Ujrzała, jak w twarzy mężczyzny zmieniło się coś, jak znikła jego uprzejma pewność siebie.

— On wie. — Wskazała na niego oskarżająco palcem.

— On wie!

— Wie, ale zostawił cię na łasce losu, kochanie, — rzekł Jeff. — On należy do nas, a my nie zasypujemy nigdy. On należy do nas — powtórzył automatycznie.

Marney usiadła i ukryła twarz w dłoniach. Jeffrey, który ją obserwował, myślał początkowo, że płacze. Ale gdy podniosła twarz, oczy jej były suche. A co go bardziej jeszcze zdziwiło: trwoga, którą spostrzegł, znikła.

— Johnny zabije cię, — rzekła z prostotą. — Nie zostawiłby mię tak... na łasce losu... gdyby wiedział. Głupotą jest przypuszczać coś podobnego, prawda?

Teraz z kolei Jeffe Legge poczuł się nieswojo. Nie na myśl o zemście Johna, ale na widok jej niezwyklego spokoju.

Pytanie to stawiała ona jakby obiektywnie, osobie trzeciej. Wszystko, co mówiła, było tak zrozumiałe, tak oczywiste i logiczne, że Jeff obejrzał się instynktownie, jakby spodziewał się ujrzeć Johna Gray'a, tuż koło siebie. Kiedy spostrzegł bezsensowność sytuacji, uśmiechnął się nerwowo.

— Johnny — zaśmiał się szyderczo. — Czego się po nim spodziewasz, he? Dopiero co wyszedł z „klatki“ — to znaczy z więzienia; widzę, że jest jeszcze moc rzeczy, których się musisz nauczyć, zanim wkroczysz na drogi swej rodziny.

Powłóczącym krokiem zbliżył się do niej i opuścił ręce na jej ramiona.

— Teraz, moje dziecko, — rzekł, — masz dwie drogi do wyboru. Albo zatelefonować do Piotra i oznajmić mu wszystko, albo zrobić dobrą minę do złej gry.

— Zatelefonuję do ojca, — rzekła Marney i zerwała się. Zanim mogła dosięgnąć telefonu, ramię jego objęło ją i cofnęło.

— Nie zatelefonujesz, — rzekł. — Nie masz wyboru, moja droga. Jesteś panią Legge, a ja zniżyłem się o tyle, że poślubiłem córkę starego złodzieja. Marney, daj mi buzi! Nie byłaś zbyt pochopna w obdarzaniu mnie dowodami swej miłości, a ja nie nalegałem, z obawy, aby cię nie spłoszyć. Jeff Legge jest zawsze gentlemanem.

Chwycił broniącą się rozpaczliwie dziewczynę w ramiona. Chciał dosięgnąć jej ust, ale Marney ukryła twarz w jego ubraniu, a potem gwałtownym ruchem, przy którym omal nie wywichnęła sobie ramienia, odepchnęła go od siebie. Z drżeniem patrzyła w jego rozpaloną twarz.

— Jesteś moja, Marney. — Ochrypiły jego głos brzmiał triumfalnie. — Jesteś moją prawną własnością. Moją żoną! Rozumiesz? Nikt nie może stanąć pomiędzy nami.



Przyciągnął ją gwałtownie do siebie, uchwycił obydwoma rękoma jej bladą twarz i odwrócił ku górze. Marney wyrwała się z jego objąć całem napięciem obrzydzenia i wstrętu i rzuciła się do drzwi. Otworzyła je szybko, wypadła z pokoju i stanęła jak wryta.

W drzwiach stała wysoka, silna kobieta o czerwonych włosach i szerokiej, dobrodusznej twarzy. Sądząc z ubrania, była pokojówką hotelową, wnosząc zaś z mowy Walijką.

— Co pani tu robi? — zawołał Jeff. — Proszę się wynosić, u licha!

— Za pozwoleniem, dlaczego mówi pan do mnie w ten sposób? Nie lubię takiej nieuprzejmości. Jestem pokojówką z tego numeru!

Marney skorzystała ze sposobności ucieczki, wybiegła do sąsiedniego pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

## ROZDZIAŁ X.

Przez chwilę stał Jeff Legge w bezsilnej wściekłości. Potem rzucił się całą siłą na drzwi, ale one nie poddały się. Chwycił słuchawkę telefonu, ale opamiętał się. Nie chciał wywołać skandalu. Najmniej pragnął być poznanym jako Jeffrey Legge. Kompromis był rzeczą najlepszą — zapukał do drzwi.

— Marney, wyjdź i bądź rozsądna, — rzekł. — Wszystko to było tylko żartem. Chciałem cię tylko wystawić na próbę. —

Marney nie odpowiedziała. W sypialni jest zapewne telefon, pomyślał. Czy Marney odważy się zadzwonić do ojca? Usłyszał, jak otworzono drugie drzwi. Sypialnia znajdowała się od strony korytarza, Jeff wyszedł i ujrzał tęą pokojówkę. Wychodziła z sypialni, była sama, a za ledwie wyszła, drzwi zamknęły się za nią znowu.

— Poskarżę się na panią w dyrekcji, — rzekł Jeff z wściekłością. Mógłby ją ze spokojnem sumieniem zamordować. Ale wściekłość jego nie robiła wrażenia na flegmatycznej Walijsce.

— Za pozwoleniem, od wszystkich moich chlebodawców mam jak najlepsze referencje. Mam robotę w sypialni. Za pozwoleniem, nie będzie mnie pan obrażał, bo pana zaskarżę do sądu!

Jeffrey zastanowił się szybko. Zaczekał na korytarzu, aż służąca znikła, potem skinął zdaleka na człowieka, który był widocznie kelnerem.

— Proszę zejść do biura i zapytać zarządzającego hotelu, czy mogę otrzymać drugie klucze do moich pokojów, — rzekł uprzejmie. — Żona moja chce mieć własne klucze.

Wsunął do ręki kelnera tak znaczny banknot, że służący był oszołomiony.

— Oczywiście, sir. Jestem pewien, że będę to mógł załatwić, — rzekł.

— A tymczasem może mi pan da swój klucz główny, — rzekł Jeff tonem obojętnym.

— Niestety, nie mam, sir. Tylko dyrekcja ma klucze główne, — odparł służący. — Ale zaraz przyniosę, czego pan pragnie.

Po kilku minutach powrócił do salonu przepaszając stokrotnie. Zapasowych kluczy nie było.

Jeff zamknął za kelnerem drzwi salonu i podszedł do drzwi sypialni.

— Marney! — zawołał. — Czy będziesz teraz rozsądna?

Tym razem otrzymał odpowiedź.

— Zdaje się, że jestem bardzo rozsądna, — rzekła Marney.

— Wyjdź, chcę z tobą pomówić.

— Dziękuję, wolę tu pozostać.

Pauza.

— Jeżeli udasz się do swego ojca, pójdę za tobą i zbiję go. Wiesz, Marney, że po tem, co mi powiedział muszę strzelać pierwszy.

Cisza. Jeff wiedział, że słowa jego wywarły na nią wżenie.

— Namyśl się, — radził. — Zastanów się dobrze.

— Czy obiecujesz pozostawić mnie samą? — zapytała Marney.

— Ależ oczywiście, obiecuję wszystko, czego chcesz, — rzekł Jeff szczerze. — Wyjdź, Marney, — ciągnął obłudnie. — Nie możesz przecież pozostać tam przez cały dzień. Musisz coś jeść.

— Pokojówka przyniesie mi jedzenie, — odpowiedziała Marney, a Jeffrey zaklął w duchu.

— Dobrze, rób jak chcesz, — rzekł. — Ale jedno ci powiadam, że jeżeli nie wyjdiesz dziś wieczorem, w twojej szczęśliwej rodzinie zdarzy się nieszczęście.

Chociaż Marney nie odpowiedziała, Jeff uczuł zadowolenie na myśl, że przynajmniej tego wieczora nie będzie próbowała porozumieć się z ojcem. Potem nie miało to już znaczenia.

Podszedł do telefonu, ale człowiek, z którym chciał mówić, nie nadszedł jeszcze. Kiedy w kwadrans później otwierał drugą butelkę szampana, rozległ się dzwonek telefonu i odpowiedział mu głos Emanuela Legge.

— Stawia mi opór, — rzekł Jeff i opowiedział stłumionym głosem, co się stało.

Usłyszał zgrzytanie zębów ojca i pośpieszył usprawiedliwić swoje nierozważne postępowanie.

— Prędzej czy później musiała się tego dowiedzieć.

— Jesteś głupcem, — mruknął stary Legge. — Nie mogłeś powstrzymać się jeszcze?

— Musisz mię tu kryć, — rzekł Jeff niecierpliwie. — Jeżeli zatelefonuje do Piotra, będzie źle. A Johnny —

— O niego się nie troszcz, — rzekł Emanuel Legge. — Z jego strony nic nie grozi.

Nie dodał żadnego wyjaśnienia, a Jeff, który uczuł ulgę na dźwięk pewnego siebie głosu ojca, nie pytał więcej.

— Rzuć okiem do dziurki od klucza, — rzekł Emanuel, — i powiedz mi, czy klucz tkwi w zamku. Na wszelki wypadek przysię ci trochę instrumentów, któremi z łatwością otworzysz drzwi — ale czekaj dopótna w noc, aż zaśnie mocno.

Po pół godzinie posłaniec przyniósł Jeffowi paczuszkę. Jeffrey rozciął zapieczętowany sznurek, otworzył małe pudełko i wyjął z niego dwa dziwnie skonstruowane instrumenty. Przez godzinę próbował ich na drzwiach drugiej sypialni, znajdującej się obok salonu, i udało mu się przekręcić klucz z przeciwnej strony. Potem usłyszał głosy w pokoju Marney, podkradł się więc pod drzwi i począł nadłuchiwać. Była to Walijka, a gdy Jeff usłyszał szcęk talerzy, noży i widelców, uśmiechnął się.

Zaledwie powrócił do swego krzesła i gazety, gdy zabrzmiał dzwonek telefonu. Był to odźwierny.

— Jakaś pani chce z panem mówić. Pyta, czy pan może zejść. Mówi, że to bardzo ważne.

— Jak się nazywa? — zapytał Jeffrey, marszcząc brew.

— Miss Lila.

— Lila! — zawahał się. — Proszę, niech ją pan poprosi na górę, — rzekł i zasunął ciężką portjerę aksamitną nad drzwiami pokoju Marney.

Od pierwszego wejrzenia zauważył, że pokojówka Piotra Kane opuściła Horsham w największym pośpiechu. Pod lekkim płaszczem, który nosiła, zauważył biały kołnierzyk służbowej sukienki.

— Co się stało, Lilo? — zapytał.

— Gdzie jest Marney?

Wskazał ruchem głowy zasłonięte drzwi sąsiedniego pokoju.

— Zamknąłeś ją?

— Prawdę mówiąc, sama się zamknęła, — odparł Jeff z wymuszonym uśmiechem.

Oczy dziewczyny zwięzły się.

— To tak? — zapytała ostro. — Nie tracileś czasu, Jeff.

— Nie wmawiaj sobie głupstw, — rzekł chłodno. — Powiedziałem jej, kim jestem, i wynika z tego spierka. To wszystko. No, a teraz, co się stało?

— Piotr Kane opuścił Horsham z rewolwerem w kieszeni — to wszystko, — rzekła Lila, a Jeffrey zbladł.

— Siadaj i opowiedz mi wszystko.

— Kiedy odjechałeś, poszłam do mego pokoju, bo czułam się niedobrze, — rzekła Lila. — I ja mam uczucie, a żadna kobieta nie może patrzeć spokojnie, jak mężczyzna odjeżdża z inną...

— Daj pokój uczuciu i wracaj do rzeczy, — rozkazał Jeff.

— Będę opowiadała, jak ja chcę, jeśli pozwolisz, Jeffrey'u Legge, — rzekła Lila.

— Dobrze, dobrze, mów dalej, — odparł Jeff niecierpliwie.

— Byłam tam chwilę zaledwie, gdy usłyszałam Piotra w jego pokoju — leży pod moim —, jak rozmawiał z sobą. Ciekawość była we mnie widocznie silniejsza, niż zmartwienie, zeszałam więc na dół i zaczęłam słuchać. Trudno mi było usłyszeć, co mówił, więc uchyliłam nieco drzwi. Właśnie się przebrał. W chwili, kiedy weszłam, kładł rewolwer do kieszeni — widziałam wyraźnie, jak go chował, potem zeszałam na dół. Po chwili i on zszedł, a twarz jego miała wyraz, który mi się nie podobał, Jeffie. Była szara i chuda, a w oczach jego migał szatański błysk. Słyszałam, jak zamawiał auto. Potem poszłam do kuchni; myślałam, że odjedzie zaraz. Ale on zabawił jeszcze pół godziny.

— Co robił przez ten czas?

— Pisał w swoim pokoju. Nie wiem, co pisał, bo używa zawsze czarnej bibuły. Ale musiał dużo pisać; wiem, że miał na biurku z pół tuzina arkusików papieru, a kiedy wyszedł nie było ani jednego. W koszu nie było też ani kawałka, ani nic nie spalił, musiał więc zabrać wszystko. Chciałam do ciebie zatelefonować, ale jeszcze cię tu nie było. Postanowiłam więc przyjechać.

— Jak przyjechałaś — pociągiem czy autem?

— Taksówką. Pociąg był dopiero za dwie godziny.

— Nie przegoniłaś chyba Piotra?

Potrząsnęła głową.

— To było niemożliwe. Prowadził sam swego „Spanz’a”, który szybko idzie!

Jeff gryzł paznogie.

— Ten rewolwer niepokoi mię trochę, — rzekł po chwili,

— Piotr nie jest specjalistą w tej dziedzinie. Czekaj.

Podszedł do telefonu i zadzwonił do ojca. W kilku słowach zakomunikował mu, co opowiedziała Lila.

— Musisz mię teraz bronić, — rzekł z zakłopotaniem.

— Piotr wie wszystko.

Nastąpiła długa pauza.

— Johnny musiał mu powiedzieć. Nie przypuszczalbym, że to zrobi, — rzekł Emanuel. — Zostań w hotelu i nie wychodź nigdzie. Każę pilnować obydwóch wejść dwum zuchom, a jeśli Piotr pokaże nos na Pall Mall, dostanie za swoje.

Jeff odwiesił wolno słuchawkę i zwrócił się do dziewczyny.

— Dziękuję ci, Lilo. To wszystko, co mogłaś dla mnie zrobić.

— Ale nie wszystko, co ty dla mnie mogłaś zrobić, — rzekła Lila. — Jeff, co teraz będzie? Usiłowałam cię za-

trzymać, ale ty jesteś zbyt niestały. Powiedziałeś mi, że to będzie takie sobie platoniczne małżeństwo eleganckich ludzi, o jakich słyszy się przed sądem rozwodowym, ale, Jeff, zacznam w to wątpić.

— W takim razie jesteś rozsądną kobietą, — rzekł Jeffrey spokojnie.

Przez chwilę starała się Lila pojąć sens tych słów.

— Rozsądną kobietą? — powtórzyła. — Jeff, nie myślisz chyba —

— Mogę sobie pozwolić na przygodę, — rzekł Jeffrey, siadając w wielkim fotelu i zakładając nogę na nogę. — Mam milutką żonkę i chwilowo, Lilo, nasz mały romansik skończył się.

— Nie mówisz chyba poważnie? — zapytała dziewczyna niepewnym głosem. — Jeff, ty żartujesz. Powiedziałeś mi przecież, że chcesz tylko mieć część pieniędzy Piotra, a Emanuel mówił to samo. Chciał wymusić od Piotra czterdzieści tysięcy i ulotnić się z nimi.

— Tymczasem ja ulotniłem się z dziewczyną, — rzekł Jeffrey, — i nie ma sensu robić o to gwałt, Lilo. Zabawiliśmy się z sobą dosyć, a odmiana to najważniejsza rzecz w życiu.

Lila wstała i spoglądała na niego płonącymi oczyma.

— Więc poto byłam dla ciebie niewolnicą przez pół roku, poto szpiegowałam, Jeffrey'u Legge, żeby usłyszeć teraz, że nasz mały romansik skończył się już? — zapytała. — Oszukałeś mnie, nędzny złodzieju! A jeżeli ci tego nie zapłacę, niech się nie nazywam Lila.

— Nie nazywasz się Lila, — rzekł Jeffrey. Wyjął papierosa i zapalił go. — I nigdy się tak nie nazywałaś. Na imię ci Jane — oczywiście, jeżeli mi nie skłamałaś. A teraz, Lilo, bądź rozsądna. Odłożyłem dla ciebie pięćsetkę —



— Spodziewam się, że w dobrych pieniądzech, — rzekła Lila drwiąco. — Nie, tak tanio się nie wywiniesz, mr. Jeffrey'u Legge. Oszukiwałeś mię od początku do końca i albo spełnisz swoje przyrzeczenie, albo —

— Nie mów, że mię zasypiesz, — rzekł Jeffrey, przymykając oczy z wyrazem rezygnacji. — Wy wszystkie tylko zasypujecie. Mam was dość! Nie przypuszczasz chyba, że zakomunikowałem ci coś, co mogłabyś wygadać? Nie, moje dziecko, pod niektórymi względami jestem może głupcem, ale nie w tych sprawach. Wiesz o mnie akurat tyle, co policja, albo co Johnny Gray. Możesz powiedzieć mojej nowej żonie, ale i ona wie. Piotr wie także — do prawdy, dziwiłby się, gdyby ktoś jutro nie napisał o tem historii do gazety!

Wyjął portfel, wydobyl z niego grubą paczkę pięćdziesięciu banknotów i rzucił na stół.

— Oto twój „monkey“ i au revoir, uroczą dziewczyno, — rzekł.

Lila wzięła wolno banknoty, zwinęła je i wsunęła do torebki. Oczy jej świeciły dziko, twarz płonęła.

Gdyby rzuciła się na niego w ataku furji, zrozumiałby to, był na to właściwie przygotowany. Ale Lila nie powiedziała ani słowa, aż stanęła koło drzwi, trzymając klamkę w ręku.

— Trzej ludzie są na twoim śladzie, Jeffrey'u Legge. Jeden z nich dostanie cię w swoje ręce. Reeder, Johnny i Piotr — a jeżeli im się nie uda, strzeż się przede mną!

Wypowiedziawszy tę groźbę, Lila znikła i zatrzasnęła drzwi za sobą, zaś Jeffrey powrócił do swojej gazety, odczuwając przytem zadowolenie człowieka, który załatwił pomysłnie bardzo przykrą sprawę.

## ROZDZIAŁ XI.

Na długiej, spokojnej ulicy przedmieścia Brockley mieszkał człowiek, który napozór nie miał stałego zajęcia. Był wysoki, chudy, o twarzy prawie trupio bladej i uchodził w okolicy za tajemniczego ptaka nocnego. Niewielu ludzi widziało go za dnia, a ciekawscy, którzy chcieli zapomocą krzyżowych pytań wydobyć z milczącej gospodyni jakieś szczegóły o jego życiu, dowiadawali się bardzo mało, a i to w formie nieścistej. Policjanci, pełniący służbę nocną, i ranni przechodnie widywali go o bardzo wczesnej porze, jak szedł przez Brockley Road w kierunku z Londynu. Znany był jako mr. J. G. Reeder. Pod tym adresem otrzymywał listy — duże niebieskie listy, które nosiły urzędowe stemple i pieczęcie, tak iż urzędnicy pocztowi byli zdania, że piastuje on jakiś urząd państwowy.

Policja miejscowa nie wchodziła mu w drogę. Był on jedną z owych istot, o których nie wolno było mówić. Nikt nie przypominał sobie, aby mr. Reeder miał kiedy gościa — aż do owego dnia, gdy przed drzwiami jego stał Emanuel Legge.

Emanuel Legge powrócił z więzienia do świata spraw codziennych z większą dozą rozsądku, niżeli go posiadał jego syn. Był zbyt starym przestępcą, aby się jeszcze

poddawać jakimkolwiek złudzeniom. Wcześniej czy później ręka sprawiedliwości musiała dosięgnąć Jeffa, a bezkarność, którą się cieszył dotychczas, musiała się kiedyś skończyć. Za każdym czynem szła nieunikniona kara. Emanuel, przejęty troską o syna, postanowił poważnie się na najśmielszy krok swego życia. A że to czynił, nie był to fakt zbyt pochlebny dla władz bezpieczeństwa. Nie mógł być też poczytany za dowód nieprzekupności policji.

Emanuel przekupił już niejednego młodego detektywa, a niemało i starszych. Sztukę „smarowania“ znał doskonale. W całym swym życiu spotkał może trzech czy czterech ludzi, którzy byli niedostępni dla przekupstwa. Setka tu i setka tam największemu łotrowi ułatwi sprawę; tysiączka ukryje go przed światłem dziennym; ale jeśli raz padło nań światło, nawet milion nie powstrzyma nieuchronnego biegu sprawiedliwości. Emanuel postanowił działać, zanim światło padnie na jego syna, i spodziewał się powodzenia.

Jeśli licznie zebrane przezeń wiadomości nie były mylne, policja mało się od czasów jego młodości zmieniła. Właściwych tajnych policjantów Legge nie znał. Mimo olbrzymich sum, przeznaczanych na ten cel w corocznym budżecie, przypuszczał, iż tajny wywiad był wynalazkiem autorów sensacyjnych powieści; i teraz nawet wyobrażał sobie, że mr. Reeder był raczej na żołdzie banków, aniżeli ministerstwa skarbu.

Zwyczajem Emanuela było przystępować do rzeczy prosto z mostu. Gdy tylko zidentyfikował mr. J. G. Reedera, nietoperza, — a było to dziełem kilkumiesięcznej pracy — reszta była drobnostką. Oczywiście w przypuszczeniu, że mr. Reeder da z sobą pogadać.

Kobieta w średnim wieku, która mu otworzyła, przyjęła go w sposób, nie zwiastujący wiele dobrego.

— Mr. Reeder jest zajęty, — rzekła, — i nie przyjmuje nikogo.

— Proszę mu łaskawie powiedzieć, — odparł Emanuel z najbardziej czarującym uśmiechem i życzliwością, promieniującą przez grube szkła jego okularów, — że mr. Legge z Devonshire chciałby z nim mówić w sprawie wyjątkowej wagi.

Zamknęła mu drzwi przed nosem i dała mu czekać tak długo, że Emanuel począł już przypuszczać, iż nawet jego magiczne nazwisko i związana z niem (jak sądził) bliska asocjacja myśli nie zdołały mu utorować wejścia. Ale pod tym względem omylił się. Drzwi otworzyły się znowu, potem zostały za nim zamknięte i zaryglowane, i Emanuel został wprowadzony na pierwsze piętro.

Dom był najwidoczniej urządony dobrze i wygodnie. Pokój, do którego wprowadzono Emanuela, wyglądał wprawdzie nieco pusto i urzędowo, ale surowość jego miała w sobie coś osobliwego. Za wielkim biurkiem, plecami do kominka, siedział człowiek, którego wiek można było określić na pięćdziesiąt do sześćdziesięciu lat. Chuda jego twarz miała wyraz smutny. Prawie na końcu nosa nosił binokle o wielkich, okrągłych szklach. Włosy jego miały charakterystyczną, czerwono-szarą barwę, zaś uszy były wielkie i odstające, tak że tworzyły z głową niemal kąt prosty. Wszystko to zauważył Emanuel za pierwszym spojrzeniem.

— Dzieńdobry, mr. Legge, — rzekł mężczyzna przy biurku. Uniósł się do połowy, podając gościowi zimną, martwą dłoń. — Niech pan siada, — rzekł głosem zmęczonym. — W zasadzie nie przyjmuję wizyt, ale przypominam sobie pańskie nazwisko. Gdzież ja je mogłem słyszeć?

Opuścił podbródek na pierś i rzucił na gościa zatroskane spojrzenie z ponad binokli. Życzliwy uśmiech Emanuela natrafił na jego obojętność, jak na gładką ścianę, od której się odbił. Po raz pierwszy uczuł, że nadmiar jego życzliwości został zmarnowany.

— Miałem zamiar złożyć panu małeńkie oświadczenie, mr. Reeder, — rzekł. — Przypuszczam, iż wiadomo panu, że jestem jednym z owych nieszczęśliwców, którzy wskutek zdrady innych ludzi dostali się do więzienia?

— Tak, tak, oczywiście, — rzekł mr. Reeder swym bezdźwięcznym głosem. Podbródek jego opadł jeszcze niżej, a bladoniebieskie oczy spoczywały nieruchomo na gościu. — Oczywiście, przypominam sobie. Jest pan człowiekiem, który włamał się do kasy ogniotrwałej. Oczywiście, to pan Legge, Legge? Zdaje się, że i nazwisko to sobie przypominam. Czy pan nie ma syna?

— Mam syna, najporządniejszego chłopaka pod słońcem, — rzekł Emanuel gorąco.

Naprawo od mr. Reedera znajdował się telefon; przez cały czas rozmowy czyścił on czarną rączkę słuchawki mankietem swej alpagowej marynarki; był to mały trik nerwowy, który początkowo bawił gościa, potem począł go niepokoić.

— Nie miał on nigdy jakichś nieprzyjemności, mr. Legge? A, to szczęście, — westchnął. — Tak wielu młodzieńców popada dziś w nieprzyjemności.

Jeśli istniał człowiek, o którym Emanuel nie chciał teraz mówić, to był to jego syn. Zmienił więc, jak mógł, temat rozmowy.

— O ile mi wiadomo, mr. Reeder, ma pan specjalną pracę dla rządu — w oddziale policyjnym?

— Nie w oddziale policyjnym, — mruknął gospodarz.

— Nie, nie, napewno nie — nie w oddziale policyjnym.

Nie znam nawet ani jednego policjanta. Widzę ich często na ulicy, bardzo malownicze postaci. Przeważnie młodzi, barczyści ludzie, w sile wieku. Wspaniała to rzecz ta młodość, mr. Legge! I pan jest pewnie bardzo dumny ze swego syna?

— Dzielny chłopak, — rzekł Emanuel lakonicznie, a mr. Reeder westchnął znowu.

— Dzieci to wielki wydatek, — rzekł. — Zastanawiam się nieraz, czy nie powinienem się cieszyć, że nie ożeniłem się nigdy. Czem się zajmuje pański syn, mr. Legge?

— Jest agentem eksportowym, — rzekł Legge bez namysłu.

— Tak, tak! — rzekł Reeder, kiwając głową.

Emanuel nie wiedział, czy ma to wyrażać podziw, czy zadowolenie.

— W Dartmoor poznałem oczywiście wielu złych ludzi, — rzekł cnotliwy Emanuel — ludzi, którzy mi zupełnie nie odpowiadali, gdyż byłem absolutnie niewinny, a karę swą zawdzięczałem intrydze człowieka, któremu wyświadczyłem niejedną przysługę —

— Niewdzięczność, — przerwał mr. Reeder z westchnieniem. — Jak brzydkim występkiem jest niewdzięczność! Jakże wdzięcznym musi być pański syn, że posiada ojca, który dał mu dobre wychowanie i mimo własnych błędów, potrafił go utrzymać na prawej drodze!

— Posłuchajże pan, mr. Reeder. — Emanuel uznał, że czas już wystąpić otwarcie. — Jestem człowiekiem otwartym i chcę z panem mówić zupełnie szczerze. Doszło do mojej wiadomości, że ludzie, dla których pan pracuje, są zdania, jakoby syn mój miał coś wspólnego z drukiem —<sup>3</sup> fałszywych pieniędzy. Nigdy jeszcze w życiu nic nie dotknęło mnie tak bardzo, jak ta pogłoska. Powiedziałem więc sobie: pójdę wprost do mr. Reedera i omówię z nim

tę sprawę. Wiem, że jest on człowiekiem z lepszej sfery i zrozumie uczucia ojcowskie. Niektórzy ludzie, mr. Reeder, — łokcie Emanuela wsparte były na biurku, pochylił się, przyjmując ton poufny, — niektórzy ludzie miewają złe wrażenia. Niedawno jeszcze powiedział mi ktoś: Mr. Reeder to człowiek zrujnowany. Otrzymał trzy wezwania sądowe w sprawach długów pieniężnych —

— Chwilowe trudności, — mruknął mr. Reeder. — Ma się niekiedy okresy takiej finansowej — hm — depresji.

Z większym jeszcze zapalem zaczął czyścić słuchawkę.

— Nie przypuszczam, aby pan był bardzo dobrze płatny? Pozwalam sobie na tę osobistą uwagę, ale jako człowiek światowy zrozumie mnie pan zapewne. Wiem, co to jest ubóstwo. W przedsiębiorstwie swoim spotykałem ludzi z najlepszych sfer, — Emanuel wymyślił sobie to „przedsiębiorstwo“ w zapale rozmowy, — najpoważniejsze osobistości w kraju, i gdyby mi pan powiedział: „Mr. Legge, czy może mi pan dopomóc tysiącem czy dwoma?“, no, to wyciągnąłbym je poprostu tak.

Wsadził rękę do kieszeni i wydobyl okazały zwój banknotów, owinięty gumką.

Przez chwilę obserwował mr. J. G. Reeder pieniądze z tą samą uwagą, jaką poświęcał pierw osobie Emanuela. Potem wyciągnął rękę, chwycił pierwszy banknot, namacał go, zmiażdżył w palcach i spojrzal szybko na znak wodny.

— Prawdziwe pieniądze, — rzekł stłumionym głosem i z widoczną niechęcią zwrócił banknot.

— Kiedy człowiek jest zrujnowany, — rzekł Legge z naciskiem, — nie mam zwyczaju pytać, kim czy czem on jest, lecz powiadam: „Czy tysiąc lub dwa tysiące mogą się panu przydać?“ —

— I czy mogą? — zapytał mr. Reeder.

— Czy mogą? — zapytał Emanuel, który na chwilę zapomniał o ostrożności.

— Czy mogą mu się przydać?

— Ależ oczywiście mogą, — rzekł Legge. — Moje stanowisko jest: gentleman może się znajdować w największych kłopotach, a jednak być najbardziej wypłacalnym człowiekiem na świecie. Jeśli tylko w chwili, gdy mu potrzeba, może dostać parę tysięcy — wówczas żaden skandal, żadna sprawa sądowa nie stanie jego interesom na drodze —

— Zupełnie słusznie! Zupełnie, *zupełnie* słusznie! — Mr. Reeder zdawał się być do głębi wzruszony. — Spodziewam się, mr. Legge, że wpoił pan te mądre i oryginalne zasady także swemu synowi? — rzekł. — Jak to pięknie, że on ma takiego ojca!

Emanuel przeklinał go w duchu.

— Dwa tysiące funtów, — rzekł Reeder pogrążony w myślach. — No, gdyby pan powiedział pięć tysięcy funtów —

— Mówię pięć tysięcy funtów, — przerwał Emanuel gorliwie. — O taką drobnostkę nie rozchodzi mi się.

— Gdyby pan powiedział pięć tysięcy funtów, — ciągnął mr. Reeder, — wiedziałbym, że trzy tysiące byłyby fałszywe — gdyż podjął pan dzisiaj rano w City and Birmingham Banku tylko dwa tysiące w banknotach stofuntowych, serja GI. 19721 do 19740. Jeśli się myślę, niech pan sprostuje. Może pan jeszcze mieć oczywiście nieco prawdziwych pieniędzy w swoim hotelu, mr. Legge; albo pański miły chłopak mógł panu dać pozostałe trzy tysiące jako pewnego rodzaju podarunek ślubny — ach, zapomniałem, że przecież młody małżonek nie składa podarunków, prawda? To on właśnie dostaje. Jakiż ze mnie głupiec! Niech pan schowa swoje pieniądze, mr. Legge. W tym pokoju bywają przeciągi, mogłyby się przeziębic. Czy pan zna Hilly



Fields? Zachwycająca miejscowość. Musi pan przyjść której niedzieli na herbatkę. Pójdziemy sobie tam i posłuchamy muzyki. To bardzo miły sposób spędzenia dwóch godzin, a przytem wcale nie kosztowny. A co dotyczy tych dwu wezwań sądowych, — mr. Reeder odkaslnął i potarł nos wskazującym palcem, — zostały one skierowane do mnie, aby pana skłonić do dzisiejszej wizyty. *Tak bardzo* chciałem pana poznać, a wiedziałem, że nie oprze się pan pokusie moich kłopotów pieniężnych.

Emanuel Legge siedział bez słowa.

— Czy zna pan kogoś nazwiskiem „Golden“? Ach, to było przecież przed pańskimi czasami. Nie słyszał pan o nim nigdy? To był mój poprzednik. Pan go z pewnością nie znał. Powiadał zawsze: „Napisz tylko jedno słówko, przyjdzie złodziej z wizytówką“. Dowidzenia, mr. Legge. Trafi pan przecież na dół.

Legge wstał, a człowiek o ponurej twarzy spuścił oczy i zagłębił się znowu w pracy, którą mu przerwało poprzednio wejście gościa.

— Jedno jeszcze chciałbym powiedzieć, mr. Reeder...  
— zaczął Legge.

— Powiedz pan to mojej gospodyni, — rzekł Reeder błagalnym tonem, nie podnosząc nawet oczu. — Ona bardzo lubi bajki — myślę, że zbliża się do drugiego dzieciństwa. Dowidzenia, mr. Legge.

## ROZDZIAŁ XII.

Emanuel Legge przeszedł już połowę drogi do domu, zanim zdał sobie zupełnie sprawę ze swoich wrażeń. Powrócił do hotelu Bloomsbury, gdzie się zatrzymał. Nie było dla niego listu i nikt o niego nie pytał. Była godzina siódma. Czy tylko Jeff powściągnął swoją niecierpliwość? Musiał mu wszystko zakomunikować i ostrzec go. Johnny Gray, który był martwy lub leżał okaleczony w jakimś szpitalu, nie wchodził w rachubę. Piotr Kane, mimo całego swego sprytu i żądzy zemsty, mógł być także jako źródło niebezpieczeństwa usunięty z pod rozważki. Mr. J. G. Reeder zajmował jego myśl zupełnie: ów nudny tajny agent o słabym głosie, który posiadał tak zdumiewającą znajomość rzeczy i którego ustawiczne aluzje do Jeffrey'a bardzo Emanuela niepokoiły. Jeffrey musiał opuścić Anglię, póki jeszcze czas. Gdyby nie był takim głupcem, wyruszyłby jeszcze tej nocy w podróż. Teraz było to niemożliwe.

Piotr nie był w Charlton, w przeciwnym razie obserwatorzy Legge'a słyszeli by coś o nim. Gdyby nie niepokojąca rozmowa z Reederem, byłby bardziej zakłopotany Piotrem Kane; gdyż Piotr był najniebezpieczniejszy, gdy zwlekał z działaniem.

O ósmej jakiś chłopiec przyniósł mu do hotelu list. Adres brzmiał: „E. Legge“, a koperta była brzydka i zmięta.

Emanuel zabrał list do pokoju i zamknął drzwi, zanim go otworzył. Pochodził on od jednego z wtajemniczonych, przebiegłego, ale niewykształconego pomocnika Jeffa, pierwszego porucznika Wielkiego Drukarza, człowieka niewątpliwie pewnego.

Było to sześć ciasno zapisanych stroniczek, pełnych błędów i kleksów. Emanuel przeczytał ten list kilka razy, a gdy skończył, odczuł wielkie przerażenie.

„Johnny Gray wydostał się szczęśliwie z tunelu i chce iść „sypać” do Reedera“, brzmiał dramatyczny początek, a dalej było jeszcze wiele rzeczy...

Emanuel znał w West End of London pewien klub, gdzie nazwisko jego figurowało wśród członków nawet w czasie, gdy miał on najmniej okazji do piastowania tej godności. Był to klub, w istocie zupełnie niepodobny do jakiegokolwiek innego i zajmujący trzecie oraz czwarte piętro budynku, którego dolne piętra należały do włoskiego restauratora. W normalnych warunkach właściciel niezłe prosperującej restauracji nie wydzierżawiłby górnych pięter tak niebezpiecznemu konkurentowi, ale właściciele klubu byli zarazem posiadaczami domu, zaś restaurator tylko lokatorem.

Członkom klubu Highlow odpowiadało bardzo, że sale ich leżały nieco na uboczu, a bardziej jeszcze, że nie było do nich schodów z niższych pięter. Członkowie klubu korzystali z wąskiego korytarzyka obok wejścia do restauracji. Na końcu tego korytarzyka znajdowała się winda, która zawoziła ich na trzecie piętro. Władze przy udzielaniu koncesji położyły nacisk na to, aby z zewnętrznej strony domu urządzono jak najdoskonalszy system drabin ratunkowych, któreby gwarantowały bezpieczeństwo w razie pożaru — rozporządzenie to znowu bardzo członkom klubu odpowiadało. Byli wśród nich tacy, którzy uważali za dogod-

niejsze zjawiać się w pokojach klubowych tą właśnie drogą, zaś okno, prowadzące do klubu, było w tym celu dzień i noc otwarte.

Na płaskim dachu domu znajdowała się niewielka nadbudówka, której członkowie klubu nigdy nie używali. Inną częścią domu, która również należała wyłącznie do Highlow, były piwnice, do których restaurator nie miał zupełnie dostępu, co ku wielkiemu jego ubolewaniu zmusiło go do wybudowania specjalnego pomieszczenia na wina w tylnej części małego dziedzińca.

Gdy Emanuel Legge wyszedł z windy na szeroki korytarz, wyłożony dywanem, o ścianach obwieszonych sztychami, portjer w liberji, który ze swego miejsca za pulpitem czuwał nad windą, przyjął go z oznakami wielkiego szacunku. Że Emanuel cieszył się w klubie Highlow wielkiem poważaniem, nie było bez przyczyny, gdyż był on w rzeczywistości właścicielem klubu, a syn jego czuwał nad przedsiębiorstwem w okresie, który ojciec spędził w więzieniu.

Portjer, który był poprzednio bokserem, był to człowiek potężnej budowy, najęty właściwie do jednego celu, do którego go często wzywano; zbiegł teraz szybko ze swego wysokiego siedzenia i podszedł z szacunkiem do pana.

— Jest ktoś? — zapytał Legge.

Portjer wymienił kilka nazwisk.

— Chciałbym zobaczyć książkę klubową, — rzekł Legge. Portjer wydobyl z pulpitu małą czerwoną książkę, którą Emanuel poczał przeglądać. Ręka jego przewracała szybko kartki i zatrzymała się nagle.

— Ach, tak, — rzekł cicho, zamknął książkę i oddał ją zpowrotem.

— Czy oczekuje pan kogoś, mr. Legge? — zapytał portjer.

— Nie, nikogo nie oczekuję... chciałem tylko wiedzieć...

— Mr. Jeffrey ożenił się dzisiaj podobno, sir? Cały personel życzy mu oczywiście serdecznie szczęścia.

Cały personel z pewnością nie życzył mr. Jeffrey'owi Legge szczęścia, gdyż zarówno on, jak i jego ojciec byli niezbyt lubiani nawet w klubie Highlow, i co dziwne, niewielu tylko znało ich z widzenia.

— To bardzo ładnie z pańskiej strony, rzeczywiście bardzo ładnie, — mruknął Emanuel w zamyśleniu.

— Zje pan obiad tutaj, sir?

— Nie, nie, nie będę tu jadł. Chciałem tylko zajrzeć, to wszystko.

Powrócił do windy i portjer ujrzał z zadowoleniem, jak odjeżdżał. Było pół do dziewiątej; zorza wieczorna zgasła na niebie, a na ulicach zamigotały światła, gdy Emanuel pewnymi krokami skierował się na Shaftesbury Avenue.

Na szczęście znajdował się właśnie na rogu bocznej uliczki, gdy ujrzał Piotra Kane. Był dość blisko, aby zauważyć, że Piotr nosił pod paltem frak. Emanuel schronił się szybko do bramy i obserwował, jak Piotr przeszedł. Kane był pogrążony w myślach; wlepił oczy w ziemię i nie interesował się niczem, prócz zagadnienia, które trapiło jego umysł.

Legge powrócił na róg ulicy i obserwował go z ukrycia. Naprzeciw klubu Piotr zatrzymał się na chwilę, spojrział w górę i poszedł dalej. Obserwator uśmiechnął się cicho do siebie. Klub nie mógł tego wieczora budzić w Piotrze Kane miłych wspomnień; w Highlow właśnie poznał on „młodego oficera kanadyjskiego“, i jak mu się wówczas zdawało, „wyratował“ go z niebezpiecznego towarzystwa. Tutaj wpadł Piotr w pułapkę, gdyż wprowadzenie Jeffa Legge odbyło się bardzo zrećnie. Gdy Piotr zjawiał się pewnego wieczora w klubie, ujrzał młodego i przystojnego

oficera w rękach bandy szulerów, zaś „oswobodzony oficer“ złożył mu potem z wdzięczności wizytę. Takie to było proste, tak niezwykle proste, tak łatwo było złapać Piotra. Dla Piotra, myślał Emanuel, będzie znacznie trudniejszą sprawą jego złapać.

Zaczekał, aż postać znikła w mroku wieczornym, i powrócił na Avenue. Po zakończeniu tej komedji, pozostała świadomość gorzkiej tragedji, niebezpieczeństwa, grożącego jego synowi, rozchwiania się wszystkich ich planów i, jako najgorsza z możliwości, schwywania Wielkiego Drukarza. Dzisiaj wieczorem musiała być rozegrana walka, ta noc musiała mu przynieść zwycięstwo lub porażkę. Reeder — Johnny — Piotr Kane — wszyscy oni pracują przeciw niemu, nie uświadamiając sobie swej współpracy, zaś w jego rękę znajdował się fant niezmierzonej wartości — ciało i dusza Marney Legge.

Zaledwie Piotr zniknął, druga znajoma postać nadeszła cicho wzdłuż ulicy, weszła do budynku klubowego i mimo sprzeciwu windziarza nalegała, aby ją zawieziono na górę. Portjer usłyszał dzwonek ostrzegawczy i czekał na gościa, gdy otworzyły się drzwi windy.

— Gdzie Emanuel? — zapytała przybyła.

— W tej chwili odszedł, — rzekł portjer.

— To kłamstwo. Gdyby dopiero co odszedł, musiałabym go widzieć.

Była najwidoczniej bardzo podniecona, zaś portjer, który był bardzo doświadczony we wszystkich stadjach kobiecego podniecenia, odgadł sprytnie powód jej dzikich ruchów i słów.

— Wyprawiał dziś wesele, prawda? — rzekł tonem lekko żartobliwym. — Ej, Lilo, co to ma za sens urządzać skandale? Wie pani przecież, że nie może pani tam pójść. Mr.

Legge kazał nie wpuszczać pani, póki pani jest na posadzie u Kane'a.

— Gdzie jest Emanuel? — zapytała Lila.

— Powiadam pani, że odszedł, — rzekł portjer z wyrazem rozpacz. — Jakaż z pani kobieta! Nic pani człowiekowi nie wierzył!

— Czy wrócił do swego hotelu?

— Tak, naturalnie. Więc niech się pani opamięta, drogie dziecko! Ktoś może nadejść — Johnny Gray był tu wczoraj, a on jest przyjacielem Piotra.

— Johnny wie o mnie wszystko, — rzekła Lila niecierpliwie. — Zresztą opuściłam dom Piotra.

Stała niezdecydowana przed otwartą windą, potem, gdy portjer chciał właśnie wystąpić z jednym ze swych najlepszych argumentów, aby ją skłonić do szybkiego odwrotu, weszła nagle do windy i odjechała.

Klub Highlow nie posiadał, co dziwne, wspólnej sali jadalnej. Pokoje klubowe obejmowały czternaście oddzielnych gabinetów i elegancko urządzonej salę do gry. Jedzenie przynoszono z restauracji i przesyłano oddzielną windą do małego pokoiku. Członkowie klubu byli pozbawieni właściwego uczucia wspólnej obecności. Należeli do niego mężczyźni i kobiety, ale podstawą egzystencji klubu było to, że gwarantował on ludziom z niższych sfer pewne i miłe miejsce zebrań oraz konieczne odosobnienie, kiedy sprytni członkowie chcieli się „porachować“ z nieświadomymi niczego gośćmi. Jak ściśle przestrzegane były jego wewnętrzne tajemnice, można wywnioskować stąd choćby, że Piotr Kane był przez dwadzieścia lat członkiem klubu, nie wiedząc, iż były jego współtowarzysz był jego właścicielem. Nigdy też nie przyszło mu na myśl, że człowiek, który zarządzał klubem w czasie przymusowej nieobecności Emanuela, był jego synem.

Piotr przychodził do klubu bardzo rzadko. Przy okazji spotkania z rzekomym majorem Floydem także zwabiono go tu w sprytny sposób, chociaż nie wiedział o tem.

Portjer był zajęty aż do pół do dziesiątej. Goście przybywali małymi grupkami i wciągani byli do książeczki kontrolnej; potem spojrzął na zegarek.

— Za dwadzieścia pięć dziesiąta, — rzekł i nacisnął mały guziczek.

Z bocznego korytarza wyszedł kelner.

— Flaszkę wina do numeru 13, — rzekł portjer.

Kelner spojrzął zdziwiony.

— Do numeru 13? — zapytał, jakby nie wierząc własnym uszom.

— Powiedziałem, — potwierdził portjer.

\* \* \*

Jeffrey zjadł obiad sam. Sytuacja nie podobała mu się. W dniu ślubu on i jego żona jedli, oddzieleni przez zamknięte drzwi. Ale on mógł czekać.

Jeszcze raz wypróbował swój dziwny instrument przy drzwiach drugiej sypialni. Klucz odwracał się lekko. Z miłym uczuciem mocy wsadził narzędzie zpowrotem do kieszeni. Usłyszał, jak w sąsiednim pokoju sprząnięto ze stołu, i zaraz potem zamknięto drzwi zewnętrzne, przekręcając klucz w zamku. Zapalił czwartego papierosa i wyszedł na balkon, obserwując ożywioną ulicę z obojętnym zainteresowaniem. Była to pora rozpoczęcia przedstawień teatralnych. W stronę Haymarket sunęły auta; długi szereg, który widział u drzwi tańszych wejść budynku teatralnego, znikł już; restauracja naprzeciwko błyszczała pełnią światel; a na rogu ulicy orkiestra byłych wojskowych grała uwerturę „Lohengrina“.



Kiedy spojrzął przed hotel, poznał jednego z ludzi, postawionych tu przez jego ojca na straży, i uśmiechnął się. Piotr widocznie nie wiedział nic, bo byłby tu wcześniej. A Johnny...? Emanuel zdawał się być zupełnie pewien, że z jego strony żadne niebezpieczeństwo nie grozi, a wszystko wyglądało tak, jakby miał rację. Ale jeżeli Piotr wiedział coś, dlaczego nie przyszedł?

Wrócił do pokoju, spojrzął na zamknięte drzwi i podszedł do nich.

— Marney! — zawołał cicho.

Nie było odpowiedzi. Zapukał do drzwi.

— Marney, chodź tu. Chcę z tobą pomówić. Nie potrzebujesz otwierać drzwi. Chcę cię tylko o coś zapytać.

Ciągle jeszcze nie było odpowiedzi. Spróbował otworzyć drzwi; były zamknięte.

Wyjął z kieszeni narzędzia, wsadził cienki koniec do dziurki od klucza, uchwycił nim klucz i przekręcił. Potem szarpnął drzwi i wpadł do sypialni.

Pokój był pusty, podobnież pusta była duża łazienka, leżąca od strony korytarza. Podbiegł do drzwi, wiodących na korytarz: były zamknięte — zamknięte z zewnątrz. Pot przerażenia wystąpił mu na czoło. Wybiegł przez salon na korytarz, a pierwszą osobą, którą zobaczył, był kelner.

— Madame, sir? Tak, wyszła przed chwilą.

— Wyszła, głupcze? Dokąd? — zawołał wściekły.

— Nie wiem, sir. W tej chwili wyszła. Widziałem, jak szła przez korytarz.

Jeff złapał kapelusz i zbiegł po schodach, przeskakując po trzy stopnie naraz. Portjer nie widział Marney, podobnież chłopiec hotelowy. Niepomny na niebezpieczeństwo, wybiegł Jeff na ulicę, dostrzegł swego człowieka i skinął na niego.

— Tem wyjściem nie wyszła. Drugie wychodzi na Pall Mall, — wyjaśnił drab. — Stoi tam Jimmy Low.

Ale i drugi człowiek przy wyjściu na ulicę Pall Mall nie widział jej. Jeff powrócił do hotelu, aby wypytać zarządzającego.

— Innego wyjścia niema, sir; chyba że zeszła służbowemi schodami.

— To ta przekłeta pokojówka, ta Walijka, — wybuchnął Jeffrey. — Gdzie ona jest? Czy mogę ją widzieć?

— Zwolniła się na dzisiejsze popołudnie ze służby, sir, — rzekł zarządzający. — Czy mogę panu czemś służyć? Może pani chciała tylko wyjść na spacer? Czy zna Londyn?

Jeff nie zadał sobie trudu odpowiadania: wbiegł zpowrotem po schodach, wpadł do pokoju i przeszukał go szybko. Kufer z rzeczami jego żony, który, jak wiedział, wniesiony był do pokoju, znikł. Coś na podłodze zwróciło jego uwagę. Schylił się i podniósł kartkę z notesu, na której skreślone było kilka wierszy. Przy czytaniu oczy jego rozbłysły. Złożył starannie zgniecioną kartkę i schował ją do kieszeni. Potem powrócił do salonu i długo siedział w fotelu, wyciągnąwszy nogi przed siebie, z rękoma w kieszeniach, a myśli jego wcale nie były ponure.

Światło dzienne zgasło już prawie zupełnie, kiedy wstał.

— Gabinet numer trzystaście, — rzekł. — Gabinet numer trzystaście ujrzy dziś niespodziankę!

### ROZDZIAŁ XIII.

Kiedy Parker, służący Gray'a, szykował panu ubranie frakowe, przeżył cięższe niepowodzenie, dotkliwszą tragedję, niż wszystkie, które się stały udziałem jego pana. Johnny wszedł do sypialni, trzymając w zębach długą ebonitową fajeczkę do papierosów, i zastał służącego w najwyższym podnieceniu.

— Sprzączka pańskiej białej kamizelki frakowej znikła w niewytłumaczony sposób, — rzekł złamanym głosem. — Jestem zrozpaczony, sir, gdyż jest to jedyna biała kamizelka frakowa, jaką pan posiada.

— Pociesz się, — rzekł Johnny. — Patrz na życie z wesejszej strony. Możesz związać końce. Albo zeszyć, Parkerze. Czy umiesz szyc?

— W szyciu uważano mię za mistrza, sir, — odparł Parker nie bez dumy. — Myśl pańską uważam za doskonałą. W przeciwnym razie kamizelka nie leżałaby tak, jak powinna. Zwłaszcza u człowieka z pańską figurą.

— Parker, — rzekł Johnny, przystępując do ubierania się, — czy zabiłeś kiedy człowieka?

— Nie, sir, nigdy nie zabiłem człowieka, — rzekł Parker poważnie. — Jako młodzieniec przejechałem kiedyś kota — w młodości byłem zapalonym cyklistą.

— Ale człowieka nigdy nie zabiłeś? I nigdy nie chciałeś nawet zabić człowieka?

— Nie, sir, nie mogę powiedzieć, abym to kiedykolwiek chciał uczynić, — rzekł Parker po chwili namysłu, jakby się obawiał, że zbyt śpieszna odpowiedź może być nieścista.

— To piękne uczucie, Parkerze. Czy tu jest tylna kieszeń — tak, jest, — rzekł, oglądając spodnie.

— Żałuję, że jest, — rzekł Parker, — naprawdę żałuję. Panowie przyzwyczajają się do noszenia papierošnicy w tylnej kieszeni, co ma ten skutek, że frak traci fason. Pod tym względem lepszy jest smoking — „Tuxedo“, jak nazwał go kiedyś pewien Amerykanin, choć ja nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego smoking ma się nazywać od szkockiego miasta.

— Tuxedo leży w Dixie, — rzekł Johnny żartobliwie, — a Dixie to zaginiona Atlantyda Ameryki. Nie martw się o to, jak mój frak będzie leżał. Nie noszę papierošnicy w tylnej kieszeni.

— Coś grubszego byłoby oczywiście jeszcze gorsze, sir, — rzekł Parker, ale Johnny nie podjął już tego tematu.

— Sprowadź mi auto, — rozkazał.

Kiedy Parker powrócił, pan jego był już zupełnie ubrany.

— Będzie panu potrzebna laska, sir. Panowie noszą teraz laski do wieczorowego stroju. Zanim pan wyjdzie, chciałbym z panem o czemś pomówić, trapi mię to już od kilku dni.

Johnny, który zamierzał właśnie opuścić pokój, odwrócił się.

— Coś poważnego? — zapytał, zmieszany przez chwilę.

— Nie wspominałbym panu o tem, ale omówiłem tę sprawę z ludźmi bardzo kompetentnymi, którzy twierdzą, że cylindry francuskiego fasonu nie są już noszone. Spotyka się je jeszcze tylko w sferach teatralnych...

Johnny podniósł uroczyście rękę.

— Parkerze, nie roztrząsajmy spraw stroju. Nie wiedziałem wcale, że mam cylinder francuskiego fasonu. — Zdjął cylinder i oglądał go przez chwilę krytycznym wzrokiem. — To znacznie lepszy fason, niżeli ten, który nosiłem przed tygodniem, możesz mi wierzyć, Parkerze!

— Oczywiście wierzę panu, sir, — rzekł Parker posłusznie i zwrócił się ku drzwiom.

Johnny wysiadł z auta na Shaftesbury Avenue i poszedł pieszo w stronę klubu. Było już ciemno; było pół do dziesiątej, gdy wszedł na ulicę Piccadilly.

Punktem honoru dla wszystkich członków klubu Highlow było, aby nigdy nie zajeżdzać przed klub, a szoferzy taksówek nie wiedzieli nawet o jego istnieniu. Była to zasada, która, raz ustanowiona, przestrzegana była ściśle; zaś członkowie Highlow'u stosowali się do swoich zasad, gdyż chociaż wykroczenie nie powodowało wydalenia z klubu, mogło jednak pociągnąć za sobą rozbitą czaszkę.

Właśnie w chwili, gdy Johnny zbliżał się do budynku klubowego, ujrzał kogoś na ulicy. Z łatwością poznał Jeffa Legge. W tym momencie spotkanie z nim byłoby dla Johna nieco niemiłe. Zawrócił więc tą samą drogą, którą przyszedł, aby nie spotkać się przypadkiem z Jeffem w windzie.

Jeff Legge śpieszył się: zdawało mu się, że winda jedzie za wolno. Przybywszy na trzecie piętro, wysiadł i zwrócił się do portjera z pytaniem.

— Nie, sir, nikogo nie było. Kiedy przyjdą, przysłę ich do pana. Gdzie pan będzie? Nie zamówił pan gabinetu — a pański własny jest zajęty. Nie oddajemy go często, ale dzisiaj jest pełno, a mr. Legge nie miał nic przeciwko temu,

— To dobrze, — rzekł Jeff, — niech się pan o to nie martwi. Proszę mi pokazać książkę.

Znowu otwarto czerwono oprawną książeczkę. Jeff przeczytał i kiwnął głową.

— Dobrze, — rzekł. — Teraz niech mi pan jeszcze raz powie, kto tu jest.

— W numerze 3 jest mr. George Kurlu z kilkoma przyjaciółmi; mr. Bob Albutt i dwie panie, z którymi się go zwykle widuje, zajmują numer 4. — W ten sposób wyliczył wszystkich gości aż doszedł do numeru 13.

— O gabinecie 13 wiem dość, — mruknął Jeff Legge przez zęby. — Proszę się o mnie więcej nie troszczyć. Wszystko w porządku.

Przeszedł przez wyściełany dywanami przedsionek i skręcił nagle w boczny korytarz naprawo, aż zatrzymał się przed drzwiami, w których wnęce widniała złota cyfra „13”. Otworzył drzwi i wszedł. Na stole z czerwonym obrusem stała butelka wina i dwie szklanki.

Był to dość duży pokój, umeblowany kanapą, czterema krzesłami i wygodnym fotelem, przy jednej ze ścian stał kredens. Pokój był rzęsiście oświetlony. Sześć lamp ściennych i matowe żarówki żyrandola płonęły jasno. Jeff nie zamknął drzwi, lecz zostawił je lekko uchylone. Dla jego celów było za jasno. Zgasił najpierw lampy ścienne, potem wszystkie żarówki osłoniętego abażurem żyrandola, pozostawiając tylko jedną. Następnie usiadł plecami do drzwi i wlepił wzrok w wygasły kominek.

Nagle usłyszał szmer, dźwięk windy, i uśmiechnął się. Johnny podszedł z uprzejmem skinieniem głowy do pulpitu portjera.

— Dobrywieczór, kapitanie, — rzekł portjer z szerokim uśmiechem. — Rad jestem, że pana znowu widzę. Wczoraj

wieczorem, kiedy pan przyszedł, nie było mnie. Mam nadzieję, że nie czuł się pan źle na wsi?

— W podróży, przyjacielu, w podróży, — mruknął Johnny z wyrzutem, a portjer zachichotał. — Ciągłe jeszcze stare towarzystwo?

— Tak, sir.

— Ciągłe to samo zmykanie po drabinach bezpieczeństwa, kiedy nadchodzą „psy gończe“ — czy też przekupiliście już wszystkich?

— Sądzę, że niema powodu do obaw, sir, — rzekł portjer. — Często mamy kilku z tych panów na obiedzie. Klub jest teraz bardzo przyzwoity. Sądzę, że nie zamkną go nigdy.

— I ja tak myślę, — rzekł Johnny. — Któż z panów „psów gończych“ przychodzi tu?

— Well, sir, widzimy tu niekiedy mr. Craiga; — raz był tu też ów Reeder. Przyszedł sam; zamówił stolik i przyszedł sam! Czy to rzecz zrozumiała? Przyszedł, zjadł samotnie obiad, nie spojrzał na nikogo i odszedł. Zdaje się, że on jest tu niezupełnie w porządku, — portjer stuknął się znacząco w czoło. — Rzeczywiście nie wygląda na „psa gończego“.

— Nie wiem, czy on jest detektywem, — rzekł Johnny niedbale. — Po wszystkim, co słyszałem, przypuszczam raczej, że nie ma nic wspólnego z policją.

— Może prywatny, co? — zapytał portjer, nieco rozczarowany.

— Niekoniecznie. Ale jakkolwiek jest, — rzekł Johnny z uśmiechem, — nie sprawi on panu ani czcigodnym gościom kłopotu. Jest ktoś?

Portjer rozejrzał się w obie strony i zniżył głos.

— Jest pewna osoba, którą pan zna, — rzekł znacząco. Johnny uśmiechnął się.

— Kiepskiły to był klub, gdyby tu nie było kogoś, kogo znam, — rzekł. — Niech się pan o mnie więcej nie troszczy; znajdę już sobie jakiś kącik...

Jeff spojrział na zegarek; było trzy kwadranse na dziesiątą. Zerknął ku lampie, rzucił okiem na swoje odbicie w lustrze kredensu i uśmiechnął się zadowolony.

Gabinet Nr. 13! A Marney była jego żoną! Na tę myśl krew napływała mu do twarzy, a żyły na skroniach nabrzmiwały. Ona zapłaci! Pomógł staremu, jak pomagał mu przy wszystkich „interesach“, ale nigdy jeszcze nie był tak sprawie oddany, jak tym razem.

— Sponiewierasz ją, — powiedział Emanuel, i na Boga! Jeff zrobi to. Co do Johna...

Drzwi otworzyły się nagle ukradkiem, i ukazała się ręka, trzymająca browning. Jeff usłyszał szelest drzwi, ale nie obejrzał się, a potem:

*Ping!*

Rozległ się strzał. Jeff uczył ostry, klujący ból o nieznośnej gwałtowności i padł na kolana.

Dwa razy usiłował się podnieść, potem zachwiał się z jękiem i uderzył głową o pusty kominek.



## ROZDZIAŁ XIV.

Ściany i drzwi gabinetu prywatnego prawie nie przepuszczały dźwięków. Po strzale nic się nie poruszyło. W hall'u zewnętrznym portjer podniósł głowę, nadsluchując.

— Co to było? — zapytał czekającego windziarza.

— Nie słyszałem nic, — odparł windziarz lakonicznie.

— Ktoś trzasnął drzwiami.

— Może, — rzekł portjer i zwrócił się znowu do swojej książki. Wpisał nazwiska gości, co w klubie tego rodzaju było rzeczą konieczną, zrobił to zaś ołówkiem, co również było konieczną ostrożnością, gdyż członkowie klubu żądali nieraz szybkiego usunięcia tego dowodu.

W gabinecie Nr. 13 panowała głęboka cisza. Wąski, niebieskawy obłoczek unosił się ku sufitowi. Drzwi uchyliły się nieco szerzej i wszedł Johnny Gray, trzymając prawą rękę w kieszeni palta.

Wolno podszedł do leżącej postaci, schylił się i odwrócił ją na grzbiet. Zbadał ją szybko i wsadził rękę do kieszeni mężczyzny. Znalazł coś, wydobył na światło, przeczytał z ponurą miną i wsadził kartkę do własnej kieszeni. Wychojąc starannie zamknął drzwi za sobą i swobodnie ruszył do wyjścia.

— Nie zostaje pan, kapitanie? — zapytał portjer zdziwiony.

— Nie, niema nikogo z moich znajomych. Dziwne to, jak się członkowie zmieniają.

— Przepraszam, kapitanie. — Portjer podszedł do Johna i schylił się. — Ma pan kropelkę krwi na mankiecie.

Wyjął chusteczkę i starannie wytarł plamę. Spojrzenia ich skrzyżowały się.

— Czy coś się stało, kapitanie?

— Nic, o czym mógłbym coś powiedzieć, — rzekł Johnny. — Dobranoc.

— Dobranoc, sir, — rzekł portjer.

Stanął przy swoim pulpicie, patrząc baczenie na szklane drzwi windy. Słyszał, jak je otworzono i jak potem winda ruszyła.

— Zostań tu przez chwilę, a gdyby ktoś dzwonił, zaczekaj, aż wrócę, — rzekł do chłopca.

Pobiegł szybko przez korytarz, zatrzymał się przed drzwiami gabinetu Nr. 13 i zapukał. Nikt nie odpowiedział. Nacisnął klamkę i jedno spojrzenie w głąb pokoju powiedziało mu wszystko, co chciał wiedzieć. Cicho zamknął drzwi i pobiegł do telefonu, który stał na jego pulpicie.

Zanim podniósł słuchawkę, zwrócił się do chłopca od windy, stojącego z otwartymi ustami.

— Biegnij do wszystkich gabinetów i powiedz, że popełniono morderstwo. Wyprowadź wszystkich.

Trzymał jeszcze słuchawkę w wilgotnej dłoni, gdy ostatni z przerażonych gości wsiadł do windy. Potem zawołał:

— Tu klub Highlow. Czy szpital Charing Cross?... Proszę przysłać karetkę pogotowia... Tak, 38, Boburn Street... Stał się wypadek.

Odwiesił słuchawkę, potem poprosił o inny numer.

— Tu klub Highlow. Czy posterunek policji?... Mówi portjer klubu Highlow, sir. Jeden z naszych członków zastrzelił się.

Zwrócił się do przerażonego windziarza, który powrócił na trzecie piętro. Na końcu korytarza stała gromada wystraszonych kelnerów.

— Benny, — rzekł, — kapitana Gray'a nie było tu dzisiaj wieczorem. Zrozumiano? Kapitana — Gray'a — nie — było — tu — dzisiaj — wieczorem.

Książka klubowa leżała otwarta na pulpicie. Wziął ołówek i w wierszu, gdzie powinno figurować nazwisko Johna, wpisał: „Mr. William Brown z Toronto“.

## ROZDZIAŁ XV.

Ostatni goście znikli już, gdy zjawiła się policja i równocześnie z karetką pogotowia inspektor Craig, który przypadkowo znajdował się w sąsiedztwie. Lekarz pogotowia szybko zbadał ofiarę.

— Żyje, ale może umrzeć, zanim dojedzie do szpitala, — rzekł.

— Czy to samobójstwo?

Lekarz potrząsnął głową.

— Samobójcy nie mają zwyczaju strzelać sobie pod prawą łopatkę. Byłaby to rzecz dość trudna: niech pan sam spróbuje. Powiedziałbym raczej, że strzelono do niego przez otwarte drzwi.

Załoczył szybko tymczasowy opatrunek, i Jeffrey został przeniesiony do windy. Na dole ułożono go na przygotowanych noszach, okryto pledem i wyniesiono pomiędzy tłumem, który zebrał się przy wejściu.

— Morderstwo albo usiłowanie morderstwa, to zależy, — rzekł Craig. — Ktoś kazał się gościom ulotnić. To pewnie pan, Stevens? Proszę mi pokazać książkę.

Inspektor przebiegł listę palcem i zatrzymał się przy gabinecie 13.

— Mr. William Brown z Toronto. Kto to jest mr. Brown z Toronto?

— Nie wiem, sir. Zamówił pokój telefonicznie. Nie widziałem go jak odchodził.

— Stara drabina pożarna funkcjonuje jeszcze, co? — zapytał Craig ironicznie. — Poza tem był ktoś? Kim jest ranny? Twarz jego wydaje mi się znajoma.

— Major Floyd, sir.

— Kto? — zapytał Craig gwałtownie. — Niemożliwe! Przecież major Floyd —

To *był* Floyd! Teraz sobie przypomniał. Floyd, z którym tego dnia jeszcze siedział przy jednym stole — szczęśliwy małżonek!

— Co on tu robił? — zapytał. — No, Stevens, gadać prawdę, jeżeli nie chce pan mieć sam nieprzyjemności.

— To wszystko, co wiem, sir, — rzekł Stevens uparcie. — To był major Floyd.

Nagle zaświtała mu dobra myśl.

— Jeżeli chce pan wiedzieć, był to Jeff Legge. Floyd to jego przybrane nazwisko.

— Kto?

Craig przeżył w swem życiu niejedną niespodziankę, ale tak silnej nie miał oddawna.

— Jeff Legge? Syn starego Legge'a?

Stevens skinął głową.

— Niewielu tylko z nas wie o tem, — rzekł. — Jeff pracował w ukryciu.

Detektyw wolno kiwał głową.

— Nie widziałem go nigdy, — przyznał. — Wiedziałem, że Legge miał syna, ale nie wiedziałem, że chodzi ciemnymi drogami. Myślałem, że to malec.

— Dawno nim już nie jest, mogę pana zapewnić! — rzekł Stevens.

Craig usiadł i wsparł podbródek na dłoni.

— Trzeba zawiadomić panią Floyd. O Boże! Córka Piotra Kane! Piotr nie wiedział, że ona wyszła za syna Legge'a?

— Nie wiem, czy wiedział, czy nie, — rzekł Stevens, — ale o ile znam starego Piotra, posłałby córkę raczej djabłu do piekła, niżby ją wydał za syna Emanuela Legge'a. Właściwie to ja, że tak powiem, sypię, — zauważył na swoje usprawiedliwienie, — ale musi się pan przecież tego i tak dowiedzieć. — Emanuel powie to panu, gdy tylko otrzyma wiadomość.

— Chodź pan, — rzekł Craig. Ujął portjera pod ramię i poprowadził go na korytarz, gdzie stali detektywi, nad słuchując, potem otworzył drzwi jednego z gabinetów, którego stół zdradzał pośpiech, z jakim uciekali goście.

— A teraz, — rzekł, zamykając drzwi, — co to wszystko ma znaczyć?

— Nie wiem wszystkiego, mr. Craig, ale wiem, że od dłuższego czasu knuli oni coś przeciw Piotrowi Kane. Potem przyprowadzili tu Piotra pewnego wieczora i tak mu zaświecili, że Piotr uwierzył, jakoby Jeff był głuptasem w rękach szulerów. Piotr nigdy jeszcze nie widział Jeffa; — ja sam nie wiedziałem wówczas istotnie, że to był Jeff; słyszałem o nim wiele, ale, jak i inni, nie widziałem go nigdy. Well, wpakowali Piotra. Zabrał chłopaka z sobą. Jeff nosił mundur oficera kanadyjskiego i oczywiście nakłamał porządnie. Nie byłby synem swego ojca. W ten sposób poznał Kane'ów i został do nich zaproszony. Kiedy słyszałem o weselu, myślałem, że Piotr chyba wiedział. Nie przypuściłbym nigdy, że mu splatali figla.

— Piotr nie wiedział, — rzekł Craig wolno. — Gdzie jest dziewczyna?

— Tego panu nie mogę powiedzieć. Gdzieś w Londynie.

— W hotelu Charlton, — potwierdził Craig. — Teraz, Stevens, musi mi pan powiedzieć, kto to jest mr. Brown z Toronto? Nie jest to napisane pańskim zwykłym charakterem pisma — to pisał człowiek, ogarnięty panicznym strachem. Innemi słowy napisał pan to po znalezieniu zastrzelonego.

Stevens nie rzekł nic.

— Widział go pan, jak wychodził: kto to był?

— Gdybym miał umrzeć w tej chwili... — zaczął Stevens.

— To się może stać za kilka miesięcy, jako współnik i pomocnik, — rzekł Craig groźnie; — i tem pan jest, jeśli pan ukrywa mordercę. Kim jest mr. Brown?

Stevens walczył z sobą, wreszcie po chwili wykrztusił.

— Johnny był tu dzisiaj wieczorem, — rzekł ochryplym głosem. — Johnny Gray.

Craig gwizdnął.

Zapukano do drzwi. Był to urzędnik policyjny, który przyszedł po instrukcje.

— Na dole jest jakaś pani, nawpół oszalała. Zdaje się, że pan ją zna, sir.

— Czy nie Lila? — wyrwał się Stevens.

— Tak się nazywa. Czy wpuścić ją na górę?

— Tak, — rzekł Craig. — Proszę ją tu przyprować.

Po chwili zjawiała się Lila, zupełnie wytrącona z równowagi, z włosami potarganymi i drżącymi dłońmi.

— Nie żyje? — zawołała. — Na miłość Boga, niech mi pan powie. Widzę po pańskiej twarzy, że nie żyje. Och, Jeff, Jeff!

— Niechże pani siada, — rzekł Craig życzliwie. — Żyje tak samo jak pani czy ja. Niech pani zapyta Stevensa. Jeffowi rzeczywiście nic się nie stało. Lekka rana, moje

dziecko — nic poważnego. Co to wogóle było? Czy pani wie coś?

Lila nie mogła odpowiedzieć.

— Nie żyje, — jęczała. — O Boże, ja go zabiłam! Widziałam go i szłam za nim aż tutaj!

— Niech jej pan da szklanę wina, Stevens.

Portjer nalał z jednej z licznych flaszek, które pozostały na stole, szklanę białego wina i przytknął do jej szczykających zębów.

— A teraz, Lilo, niech pani będzie rozsądna. Powiadana pani, że Jeff żyje. Czemu on właściwie dla pani jest?

— Wszystkiemu, — szepnęła dziewczyna. Drżała na całym ciele. — Poślubiłam go przed trzema laty. Nie, to nieprawda, — rzekła znowu w napadzie szału.

— Dalej! Niech nam pani powie prawdę, — rzekł Craig. — Nie zamkniemy go przecież za bigamię.

— Poślubiłam go przed trzema laty, — rzekła Lila. — Nie był dla mnie zły. To była myśl starego, żeby się ożenił z tą dziewczyną, a ja miałam dostać za to tysiąc funtów. Umieścił mię w Horsham, żeby ją śledzić i pilnować, aby nie wysyłano listów do Johna. Ale to było zbyt ciężkie, bo ona do niego wcale nie pisała. Nie podobał mi się pomysł tego małżeństwa, ale on przysięgał mi, że idzie im tylko o pieniądze Piotra, więc mu uwierzyłam. Potem, dzisiaj wieczorem, powiedział mi prawdę, bo wiedział, że go nie zasypię. Gdyby Bóg dał, abym to była zrobiła! Teraz pragnę tego z całego serca! On nie żyje, prawda? Wiem, że nie żyje!

— Żyje, biedna dziewczyno, — rzekł Craig niecierpliwie. — Szczęściem byłoby dla niego, gdyby nie żył. Nie, jest tylko lekko ranny.

— Kto strzelał do niego?



— Tego się właśnie chcę dowiedzieć, — rzekł Craig.  
— Może pani?

— Ja? — Przerazenie w jej twarzy było dostateczną odpowiedzią. — Nie, ja nie. Nie wiedziałam, że był tu lub miał przyjść. Myślałam, że jest w hotelu, aż go nie zobaczyłam. Ale miałam przecucie, że przyjdzie tu dzisiaj wieczorem, i przez cały czas czekałam w pobliżu. Widziałam Piotra i pobiegłam za nim.

— Piotra? Więc on był w pobliżu klubu?

Potrząsnęła głową.

— Nie wiem. Widziałam go na ulicy. Myślałam, że idzie do Highlow. Dokądby zresztą szedł na tej ulicy? Widziałam go dwa razy.

Craig rzucił szybkie, podejrzliwe spojrzenie na portjera.

— Piotr był tu? Nie widziałem wcale wzmianki o mr. Brownie z Montreal? — rzekł drwiąco.

— Nie, nie było go tutaj. Bóg wie, od jak dawna nie widziałem Piotra, — rzekł portjer z naciskiem. — To jest szczerą prawdą. Może pan kazać windziarzowi, żeby powiedział wszystko, co wie, a jeżeli Piotr był tu dzisiaj wieczorem, niech mię pan powiesi.

Craig zastanawiał się przez chwilę.

— Czy Piotr zna wejście do klubu na drodze powietrznej? — zapytał.

— Ma pan na myśli drabiny ratunkowe? Tak, Piotr zna tę drogę, ale członkowie nie robią z niej obecnie użytku. Nie mają nic do ukrycia.

Craig wyszedł z pokoju, przeszedł przez korytarz i stanął przed numerem 13. Akurat naprzeciw drzwi tego gabinetu znajdowało się owo okno. Było szeroko otwarte. Za niem widać było poręcz schodów ratunkowych. Craig wyszedł przez okno i spojrzał wdół, na ciemny dziedziniec, gdzie się schody kończyły. Przy blasku latarni ulicznej ujrzał

potężną bramę, w której znajdowała się furtka, prowadząca na ulicę. Furtka była otwarta, co dało się wyjaśnić i tem, iż znajdowali się przy niej dwaj mundurowi policjanci, których świecące latarnie widział ze swego miejsca. Powrócił na korytarz i do Stevensa.

— Mógł ktoś dziś wieczór używać schodów ratunkowych, albo i nie, — rzekł. — O której godzinie przyszedł Gray? Kto przyszedł pierwszy?

— Jeff przyszedł pierwszy, a w jakieś pięć minut potem Gray.

— A co było potem?

— Rozmawiałem z kapitanem Gray'em, — rzekł portjer po chwili wahania. — Skreślił w boczny korytarz —

— Tą samą drogą, którą poszedł Jeff?

Portjer skinął głową.

— Po jakiejś minucie — właściwie upłynęło nawet mniej niż minuta — usłyszałem coś, myślałem, że zatrzaśnięto drzwi. Zwróciłem na to uwagę windziarzowi.

— A potem?

— Potem przeszło z cztery, pięć minut i kapitan Gray wyszedł. Mówił, że może wstąpi później.

— W ubraniu kapitana Gray'a nie było widać niczego, co wskazywałoby na walkę?

— Nie, sir. Jestem pewien, że walki nie było.

— I ja tak sędzę, — przyznał Craig. — Jeff Legge nie miał sposobności do obrony.

Lila leżała na kanapce. Ukryła twarz w dłoniach, a ramiona jej drżały. Łkanie jej skierowało uwagę detektywa na nią.

— Czy ona już tu była?

— Tak, była i musiałem ją wyrzucić. — Emanuel powiedział, żeby jej nie wpuszczać.

Craig wpisał kilka uwag do swego notatnika, zamknął go i schował do kieszeni.

— Rozumie pan, Stevens, że jeśli pana teraz nie aresztuję to może pan jednak zostać każdej chwili aresztowany. Na dzisiaj zamknie pan klub i nie wpuści nikogo więcej. Pozostawię kilku ludzi w salach klubowych.

— Zamknę piwo, — rzekł Stevens żartem.

— Nie czas teraz na żarty, — brzmiała surowa odpowiedź. — Jeżeli zamkniemy klub, straci pan miejsce — a jeżeli się to teraz nie stanie, nie stanie się nigdy.

Wziął swego pomocnika na bok.

— Obawiam się, że Johnny będzie miał dużo kłopotu tej nocy, — rzekł. — Niech pan wyśle kilku ludzi, żeby go zaaresztowali. Mieszka na Albert Mansions. Muszę zawiadomić o wypadku mrs. Floyd, a ktoś musi donieść o tem Piotrowi; — mam nadzieję, że trzeba Piotra zawiadomić, — dodał ponuro.

## ROZDZIAŁ XVI.

Ale w hotelu Charlton czekała go niespodzianka. Mrs. Floyd wyszła — nikt nie wiedział dokąd. Mąż jej wyszedł nieco później i także jeszcze nie powrócił. Ktoś telefonował do niej, ale nie pozostawił nazwiska.

— Nieobecność jej męża jest dla mnie dostatecznie zrozumiała, — rzekł Craig. — Ale czy nie domyśla się pan, gdzie może być pani?

Odpowiedź brzmiała przecząco.

— Ojca jej nie było tutaj?

Urzędnik, który udzielał informacji, zawahał się.

— Tak, sir; był na piętrze mrs. Floyd, gdy znikła — a raczej, gdy major Floyd pytał o nią na dole. Kelner poznał go, ale nie widział go ani jak wchodził, ani jak wychodził.

Kiedy Craig zatelefonował do Horsham, dowiedział się, o czym już wiedział, że Piotra niema w domu. Barney, który mu odpowiedział, nie słyszał nic o jego córce; była to pierwsza oznaka, że coś było nie w porządku. Potem czekało go drugie rozczarowanie. Detektyw, którego wysłał po Gray'a, powrócił z adomością, że ptaszek wyfrunął. Według słów służącego pan jego powrócił, przebra

się szybko i znikł z małą walizką ręczną w niewiadomym kierunku.

Na telefoniczne zapytanie późnym wieczorem dowiedział się Craig, że Jeff jest wprawdzie nieprzytomny, ale żyje jeszcze. Kula została usunięta z rany, i istniała nadzieja ratunku. Ojciec jego przybył wczesnym wieczorem i był prawie oszalały z wściekłości i bólu.

— Dziwiłbym się, gdyby do rana nie oszalał zupełnie, — rzekł lekarz. — Zatrzymam go tutaj i dam mu trochę bromu na uspokojenie.

— Daj mu pan trucizny, — poradził Craig.

Właśnie w chwili, gdy stary detektyw chciał wracać do domu, zawezwano go telefonicznie z posterunku policyjnego w Horsham, czuwającego nad domem Piotra.

— Mr. Kane i jego córka powrócili o kwadrans na pierwszą, każde w oddzielnem aucie, — brzmiał raport. — Auta nadjechały zaledwie w kilka minut jedno po drugim.

Craig, któremu pilno było do domu, odmyślił się jednak. Szybkie auto policyjne zawiozło go w ciągu godziny do Horsham, gdyż szosa była pusta, a noc jasna. W pokoju Piotra paliło się światło, a na dźwięk zajeżdżającego auta on sam podszedł do drzwi.

— Kto tam? — zapytał, gdy Craig wszedł na ciemną ścieżkę, a kiedy poznał głos detektywa, wyszedł mu w pół drogi naprzeciw. — Co się stało, Craig? Czy coś ważnego?

— Jeff został śmiertelnie zraniony wystrzałem z rewolweru. Wiesz chyba, kim jest Jeff?

— Wiem, niestety, — rzekł Piotr Kane szybko. — Zraniony wystrzałem? Jak? Gdzie?

— Dzisiaj wieczorem między trzy na dziesiątą a dziesiątą strzelono do niego w klubie Highlow.

— Wejdz. Nie mów tego lepiej mojej córce, — dość przeżyła dzisiaj. Nie dlatego, żeby mi w najmniejszym stopniu było żal Jeffa Legge. Najlepiej dla niego, żeby umarł, i umarł zaraz, bo jeżeli ja go w swoje ręce dostanę —

Nie dokończył zdania, a detektyw ujął go pod ramię.

— Posłuchaj, Piotrze, musisz być w tej sprawie bardzo ostrożny i nie gadać tak djabelnie dużo. I ty jesteś podejrzany, stary druhu. Widziano cię w okolicy klubu.

— Tak, widziano mię w okolicy klubu, — powtórzył Piotr, kiwając głową. — Czekałem tam — well, czekałem w ściśle określonym zamiarze. Pojechałem do Charlton, ale córki mojej tam nie było — powiedziano ci pewnie — potem poszedłem do Highlow i zobaczyłem tę przekłątą Lilę — nawiasem mówiąc, to jedna z dziewczek Jeffa, co?

— Mówiąc ściśle, — odparł Craig spokojnie, — to jego żona.

Piotr Kane stanął jak przygwożdżony.

— Jego żona? — szepnął. — Dzięki i chwała Bogu za to! Przebaczam jej wszystko. Chociaż jest tylko potworem — jakże kobieta może dopuścić — ale nie chcę jej sądzić. Sprawa ta zawsze budziła we mnie wstręt. Ohyda! Ale dzięki Bogu, że ona jest jego żoną, Craig! — Potem rzekł nagle: — Kto do niego strzelał?

— Nie wiem. Chcę zaarrestować za to Johna Gray'a.

Znajdowali się już w hall'u, Piotr Kane odwrócił się gwałtownie i stanął z otwartymi ustami i przerażeniem w oczach.

— Chcesz zaarrestować Johna Gray'a? — rzekł. — Czy ty wiesz, co mówisz, Craig? Oszalałeś! Johnny tego nie zrobił. Johnny nie był nawet w pobliżu —

— Był tam. Tak, Johnny był nawet w tym pokoju, albo w chwili zbrodni, albo zaraz potem. Windziarz powiedział wszystko, co widział. Nie jest to wprawdzie wiele, ale wystarcza, aby skazać Johna, gdyby ten człowiek umarł.

— Johnny tam był! — szepnął Piotr cicho.

— Powiem ci szczerze, Piotrze, myślałem, że to ty.

Craig patrzył mu prosto w twarz, a badawcze jego spojrzenie utkwione było w bladym mężczyźnie. — Kiedy usłyszałem, że byłeś w pobliżu i dowiedziałeś się o jego oszustwie. Na co czekałeś?

— Tego ci — teraz nie mogę powiedzieć, — odparł Piotr po krótkim namyśle. — Gdyby Johnny tam był, musiałbym go widzieć. Widziałem Lilę i obawiałem się, że mnie pozna. Zdaje się, że mnie nawet poznała. Poszedłem wprost na Shaftesbury Avenue do pewnego baru, który znam dobrze. To — to odkrycie, które zrobiłem, wytrąciło mnie zupełnie z równowagi. Jeżeli ci potrzeba dowodu, mogę dowieść, że byłem tam od trzy na dziesiątą do dziesiątej. Och, Johnny, Johnny!

Wszystko to działo się w hall'u. Potem rozległy się szybkie kroki i Marney ukazała się w drzwiach.

— Kto to — Johnny? A, to pan, mr. Craig? Co się stało? — Spoglądała zmieszana z jednej twarzy na drugą. — Chyba Johnowi nic się nie stało?

— Nie, Johnowi nic się nie stało, — rzekł Craig uspokajająco. Rzucił spojrzenie na Piotra. — Musi się pani o tem dowiedzieć, Marney, — rzekł. — Wolno mi przecież nazywać panią po imieniu — znam panią od piątego roku życia. Strzelano do Jeffa Legge.

Mysłał, że Marney zachwieje się, i podbiegł, aby ją podtrzymać, ale ona potężnym wysiłkiem woli opanowała wzruszenie.

— Strzelano do Jeffa? — powtórzyła. — Kto?

— Nie wiem. Tego się właśnie chcemy dowiedzieć. Może pani będzie nam mogła w tem dopomóc. Dlaczego opuściła pani hotel? Czy Johnny był z panią?

Marney potrząsnęła przecząco głową.

— Nie widziałam go wcale, — rzekła, — ale zawdzięczam mu — wszystko. To jakaś kobieta w hotelu... — Spojrzała lękliwie na ojca. — Zdaje się, że to musiała być jakaś złodziejka hotelowa, czy coś w tym rodzaju. Była tam, żeby — żeby kraść. Wysoka Walijska.

— Walijska? — zapytał Craig z ożywieniem. — Jak się nazywa?

— Mrs. Gwenda Jones. Johnny znał ją i zatelefonował jej, żeby nade mną czuwała, aż on będzie mógł do mnie przyjść. Wyprowadziła mię z hotelu, zeszyliśmy po schodach Duke of York na ulicę Mall. Potem stało się coś bardzo dziwnego — opowiadałam to właśnie ojcu, gdy pan nadszedł. Mrs. Jones — jest ona wysoką, silną kobietą —

— Znam tę panią, — rzekł Craig.

— Well, otóż ona znikła nagle. Nie powiem, żeby ją ziemia połknęła, — dodała Marney z uśmiechem, — i nie odeszła też, nie dając mi znaku. Nagle rzekła do mnie: „Muszę panią teraz opuścić, drogie dziecko. Nie chciałabym, aby mię ten człowiek widział“. Obejrzałam się, żeby zobaczyć, przed kim czuła tak wielką trwogę, ale wszędzie widać było tylko zupełnie niewinnych ludzi. Kiedy się obejrzałam za nią, mrs. Jones wbiegła zpowrotem po schodach. Nie chciałam jej wołać, wydało mi się to śmieszne. Potem podszedł do mnie jakiś człowiek w średnim wieku, o najsmutniejszej twarzy, jaką można sobie wyobrazić. Mówiłam ci przecież, ojczec?



Piotr skinął potakująco głową.

— Zdjął kapelusz — włosy miał prawie białe — i zapytał, czy nazywam się Kane. Drugiego nazwiska nie powiedziałam mu, — dodała z dreszczem. — „Czy mogę zaprowadzić panią w bezpieczne miejsce, miss Kane?“ zapytał. „Przypuszczam, że lepiej, aby pani nie widziano w towarzystwie tej kościstej kobiety“. Nie wiedziałam, co począć, i rada byłam, że mam towarzystwo i opiekę mężczyzny, a kiedy nieznajomy zawołał taksówkę, wsiadłam bez chwili namysłu. To był taki miły człowiek, mr. Craig. Nie mówił o niczem innym, tylko o pogodzie i kurach! Zdaje się, że przez całą drogę do Lewisham rozmawialiśmy o kurach.

— Jest pani pewna, że to było Lewisham?

— W każdym razie gdzieś w tej okolicy. Jakie tam są jeszcze miejscowości?

— New Cross, Brockley... — zaczął Craig.

— To właśnie to — Brockley. To było Brockley Road. Przeczytałam na rogu. Zabrał mnie do swojego domu. Była tam miła, dobroduszna kobieta, którą przedstawił mi jako swoją gospodynię.

— I o czem mówił? — zapytał Craig z wielkiem zainteresowaniem.

— O kurach, — oznajmiła Marney uroczyście. — Czy pan wie, jakie kury znoszą najlepsze jaja? Jestem pewna, że pan nie wie. Zna pan najlepszą rasę dla Anglii i najlepszą dla Ameryki? Wie pan, jakie kury przynoszą największe zyski? Ja wiem! Chciałam się dowiedzieć, jakie miał wobec mnie zamiary. Usiłowałam zapytać go o to, ale on sprowadzał stale rozmowę na aparaty wylęgowe, patentowaną paszę i metry sześcienne przestrzeni, potrzebne kwoce w porównaniu z kurą zwykłą. Było to bardzo

osobliwe i oryginalne. Teraz wydaje mi się jak sen! O dziesiątej dowiedziałam się, że przyjechało po mnie auto. „Odeślę panią do domu“, rzekł mój opiekun.

— Nawiasem mówiąc, czy była pani przez cały czas z nim razem? — zapytał Craig.

Marney potrząsnęła głową.

— Nie, częściowo spędziłam czas w towarzystwie jego gospodyni, która nie mówiła o kurach, tylko robiła ogromne, niekształtne jumper'y i sapała. Było to wtedy, kiedy on telefonował. Wiedziałam, że telefonuje, gdyż słyszałam dźwięk jego głosu.

— Nie odwiózł pani do domu?

— Nie, wsadził mnie do auta i powiedział, że jestem zupełnie bezpieczna. Przyjechałam kilka minut po ojcu.

Detektyw drapał się w zakłopotaniu po podbródku.

— To rzeczywiście zagadka, — rzekł. — Tę kościstą kobietę znam, ale człowiek z kurami jest dla mnie zagadką. Nie usłyszała pani przypadkiem jego nazwiska?

Marney zaprzeczyła ruchem głowy.

— Zauważyła pani może numer domu?

— Owszem, — rzekła otwarcie, — ale prosił mnie usilnie, żebym zapomniała, więc zapomniałam. — Potem dodała poważniej: — Czy mój — mój —

— Twój nic, — przerwał Piotr. — Ten łotr jest żonaty — z Lilą! Zdaje się, że musiałem stracić rozum, ale nie zauważyłem wcale, że ta dziewczyna przyszła do naszego domu w specjalnym zamiarze. Ten rodzaj dziewczyn nie godzi się do służby, gdy wszystko jest w porządku. Nawiasem mówiąc, Barney zawsze odnosił się do niej z nieufnością.

— Czy widział pan Johna? — zapytała Marney detektywa.

— Nie, nie widziałem go, — rzekł Craig ostrożnie. — Miałem właśnie zamiar odszukać go.

Nagle olśniło ją to, jak błyskawica, aż zacerpnęła powietrza.

— Nie przypuszcza pan chyba, że Johnny strzelał do tego człowieka? Tego nie może pan przecież przypuścić?

— Oczywiście, że on do niego nie strzelał, — rzekł Piotr głośno. — Śmieszna myśl. Rozumiesz jednak, że mr. Craig musi czynić poszukiwania we wszelkich, najnieprawdopodobniejszych nawet kierunkach. Nie mogłeś go dzisiaj wieczorem znaleźć, Craig?

Zamienili z sobą spojrzenie i Piotr westchnął ciężko.

— Co za szaleństwo! Co za szaleństwo! — rzekł. — O Boże, co za głupota!

— Ojczy, Johnny przecież tego nie zrobił? To nieprawda, mr. Craig. Johnny nie strzeliłby do człowieka. Czy go ktoś widział? Jak do niego strzelono?

— Strzelono do niego z tyłu.

— Więc to nie Johnny, — rzekła Marney. — Johnny nigdyby nie strzelił do człowieka z tyłu!

— Sądzę, moja droga, — rzekł Craig z lekkim uśmiechem, — że najlepiejby było, gdyby pani poszła spać i śnić o motylkach. Ma pani za sobą iście piekielny dzień, jeżeli wolno mi się tak wyrazić. Przemówże do niej poważnie, Piotrze. Kto to? — Odwrócił głowę, nad słuchując.

— Barney, — rzekł Piotr. — Ma wstrętny zwyczaj noszenia pantofli. Słysząc go na miłą. Otwiera komus drzwi — może któremu z twoich ludzi. Albo wynosi kieliszeczek twemu szoferowi. Barney żywi niezwykłą cześć dla szoferów. Są dla niego ucieleśnieniem geniuszu techniki.

Marney uspokoiła się nieco.

— Winnam dzisiaj bezgraniczną wdzięczność Bogu, że ta straszliwa rzecz nie może być prawdą, — rzekła cicho. — Mr. Craig, jestem przekonana, że tu zaszło jakieś nieporozumienie. Johnny nie mógł popełnić takiej zbrodni. To był kto inny, któryś z towarzyszków Jeffrey'a Legge, ktoś, kto go nienawdził. Mówił mi kiedyś, że wielu ludzi nienawdzi go, a ja myślałam, że żartuje. Wydawał się taki miły, taki taktowny. Ojczy, to było szaleństwo z mojej strony, zgodzić się na coś podobnego, nawet gwoli twego szczęścia.

Piotr Kane skinął potakująco głową.

— Z twojej strony było to szaleństwo, z mojej zbrodnia, dziecko, — rzekł. — Dla ciebie istniał tylko jeden człowiek na świecie —

Drzwi otworzyły się wolno i wszedł Barney.

— Johnny chciałby z państwem mówić, — oznajmił, otwierając drzwi szerzej.

John Gray stał na progu, a z oczu jego biegło spokojne, zadowolone spojrzenie w stronę mr. Craiga.

## ROZDZIAŁ XVII.

W następnej chwili Marney leżała w jego ramionach, przytuliła się do niego kurczowo i wybuchła spazmatycznym płaczem, z głową na jego ramieniu, twarzą przy jego twarzy, ramionami wokół jego szyi.

Craig mógł na nią tylko patrzeć w bezradnym lęku. Johnny nie mógł przyjść nieostrzeżony w pułapkę. Barney powiedział mu z pewnością, że on tu jest. A co najbardziej dziwiło Craiga, to okoliczność, którą sobie dopiero zwolna uświadomił, że Johnny był w ubraniu wieczorowym. Craig zbliżył się do niego i Johnny łagodnie odsunął od siebie dziewczynę.

— Chciałbym bardzo zobaczyć prawy mankiet pańskiej koszuli, Johnny, — rzekł Craig.

Bez słowa podniósł Gray rękę, i inspektor mógł ujrzeć niepokalanie białe płótno. Nie widać było na niem ani śladu plamy.

— Albo ktoś tu potężnie kłamie, albo pan jest niezmiernie zręczny, Johnny. Chciałbym zobaczyć drugi mankiet, jeśli można.

Drugie badanie podobnie nie dało rezultatu.

— Nie wracał pan dzisiaj wieczorem do domu, żeby się przebrać?

— Nie, nie byłem wogóle w pobliżu swego mieszkania, — brzmiała odpowiedź.

Craig był stropiony.

— Ale służący pański powiedział przecież, że pan wrócił, przebrał się i znikł z walizką ręczną.

— W takim razie Parker napił się wina, — brzmiała spokojna odpowiedź. — Pozwoliłem sobie na tę wyjątkową przyjemność, aby spożyć obiad u detektywa, który był odpowiedzialny za moją podróż wypoczynkową do Dartmoor.

Craig cofnął się.

— U inspektora Flaherty? — zapytał.

— U poczciwego inspektora Flaherty. Wymieniliśmy poufne myśli o naszych wspólnych znajomych.

— Więc ktoś to wracał do pańskiego mieszkania? — zapytał Craig zupełnie zbity z tropu.

— Mój sobowtór. Zawsze mówiłem, że mam sobowtóra, — rzekł Johnny wesoło.

Stał pośrodku zdumionych słuchaczy. Marney czuła, jak w serce jej wstępuje nadzieja.

— Johnny, czy to ten człowiek popełnił przestępstwo, za które pana ukarano? — zapytała.

Ku jej rozczarowaniu John Gray potrząsnął przecząco głową.

— Nie, gentlemanem, którego aresztowano i wysłano do Dartmoor, byłem ja — mój sobowtór zawodzi wobec tak miłych perspektyw, nie mogę mu też brać tego za złe.

— Ale chce pan przez to powiedzieć, że wprowadził on w błąd pańskiego służącego?

— Widocznie, — rzekł Johnny, zwracając się znowu do detektywa, który zadał mu to pytanie.

— Jako człowiek chcę panu wierzyć, Johnny.

Johnny uśmiechnął się.

— Ta subtelna różnica wydaje mi się bardzo ładna. Ale jako urzędnik, chce pan przez to powiedzieć, domagam się potwierdzenia. Wspaniale, o to wcale nie tak trudno. Jeśli pojedzie pan ze mną do inspektora Flaherty, potwierdzi on moje słowa.

Piotr i detektyw mieli dość taktu, aby pozwolić mu się pożegnać z dziewczyną, nie narzucając im swojej obecności.

— To przechodzi moje pojęcie. Czy słyszałeś kiedy o czemś podobnym, Piotrze?

— O czem? Że Johnny ma sobowtóra? Nie, tego nie mogę powiedzieć.

— Może wymyślił tę historję ze względu na dziewczynę. Ale fakt jest faktem: nosi frak, chociaż służący jego powiedział wyraźnie, że włożył szare ubranie. Na mankietach jego niema ani śladu krwi, a jestem przekonany, że Stevens nie próbowałby wpakować Johna. Lubi tego chłopca bardzo. Oczywiście Johnny mógł tę historję wymyślić ze względu na Marney, ale łatwo będzie ją sprawdzić. Chciałbym skorzystać z twego telefonu, Piotrze, — rzekł nagle. — Mam numer inspektora Flaherty w notesie.

Największą niespodziankę tego wieczora przeżył Craig, gdy odpowiedział mu senny głos, niewątpliwie głos Flaherty'ego.

— Tu mówi Craig. Z kim jadł pan dziś wieczór obiad, Flaherty?

— Nie poto chyba obudził mię pan wśród nocy, — zaczął rozgniewany Irlandczyk, — żeby się dowiedzieć, z kim jadłem obiad?

— Idzie o rzecz bardzo ważną, Flaherty. Chciałbym wiedzieć.

— No, więc z Johnem, tak — z Johnny Gray'em. Zaprosiłem go do siebie.

— Kiedy pana opuścił?

— Koło jedenastej, — brzmiała odpowiedź. — Nie, było już po jedenastej.

— I przez cały czas był z panem razem? Nie wychodził ani na kwadrans?

— Ani na minutę. Gadaliśmy i gadali...

Craig odwiesił słuchawkę i odszedł od aparatu, kiwając głową.

— Każde inne alibi zaprowadziłoby pana na szubienicę, Johnny. Ale Flaherty jest najsolidniejszym człowiekiem w Oddziale Kryminalnym.

W związku z tem, co zaszło, gdy Johnny powrócił nad ranem do swego mieszkania, wydawało się to świadectwo nienaganności inspektora Flaherty niezupełnie pewne.

— Nikogo nie było?

— Nie, sir, — rzekł Parker.

— Co zrobiłeś z koszulą, którą zdjąłem?

— Odciąłem mankiety i spaliłem, sir. Uczyniłem to z tem większem zadowoleniem, że miały one zaokrąglone końce, co jest obecnie niemodne, jeśli tak mogę powiedzieć i wygląda nieco — jakby się wyrazić? — teatralnie.

— A koszulę? —

— Koszulę, sir, — rzekł Parker tonem pełnym poważania, — koszulę włożyłem sam. Jest mi coprawda trochę gorąco w dwóch koszulach, ale nie wiedziałem, sir, co z nią zrobić. Czy mam panu przygotować kąpiel?

Johnny skinął głową.



— Jeśli wolno mi zadać to śmiało pytanie, czy udało się panu skłonić owego gentlemiana, którego pan odwiedził, do potwierdzenia pańskich słów?

— Inspektora Flaherty? O tak. Flaherty winien mi jest wdzięczność. Dobranoc, Parkerze.

— Dobranoc, sir. Mam nadzieję, że będzie pan dobrze spał. Ehm — czy mogę wyjąć ten rewolwer z pańskiej kieszeni? Zupełnie psuje fason spodni. Dziękuję.

Ostrożnie ujął browning między dwa palce i położył go na biurku Johna.

— Nie ma pan nic przeciwko temu, że posiedzę trochę dłużej? Chciałbym bardzo oczyścić trochę tę broń, zanim się położę.

## ROZDZIAŁ XVIII.

Jeff Legge leżał, rozparty w wyścielonym fotelu, na murawie, ciągnącej się aż do skraju skały. Przed nim ciągnęły się błękitne wody kanału La Manche, a ponad nim promieniało pięknym błękitem bezchmurne niebo. Wyciągnął rękę i ujął kieliszek, który stał obok niego na stoliku, skosztował napoju, skrzywił się i niechętnie zawołał jakieś imię.

Lila nadbiegła na jego wezwanie.

— Zabierz to ode mnie i przynieś mi whisky z wodą sodową, — rzekł.

— Doktor powiedział, że nie wolno ci pić nic, tylko sok cytrynowy. Jeff, musisz robić, co doktor każe, — rzekła Lila błagalnym głosem.

— Kark ci skręcę, jak będę zdrów, — warknął Jeff.  
— Rób, co ci każe. Gdzie stary?

— Poszedł do wsi wysłać listy.

Jeff zastanowił się, potem rzekł:

— Kiedy przyjdzie ten „pies gończy“, powiedz mu, że jestem za słaby, żeby przyjmować wizyty.

— Kto — Craig?

— Tak, — mruknął Jeff, — ten nikczemny, kłamliwy złodziej! Johnny siedziałby dawno w klatce, gdyby nie przekupił Craiga. Jeżeli nie puścił tysiączki, żeby się wywinąć od Dartmoor, niech mnie powieśz!

Lila usiadła na niskim stołku u jego boku.

— Nie wierzę, żeby Johnny to zrobił, — rzekła. — Stary mówi, że to Piotr. Okno było potem otwarte. Mógł wejść przez drabinę ratunkową — znał tę drogę.

Jeff mruknął coś przed siebie, a Lila była dość mądra, aby nie mówić więcej na ten temat.

— Gdzie Marney — wróciła do ojca?

Lila skinęła głową.

— Kto mu powiedział, że ty jesteś moją żoną?

— Nie wiem, Jeffie.

— Kłamiesz! Ty powiedziałaś; nikt inny nie mógł tego wiedzieć. Jeżeli będę musiał siedzieć za to małżeństwo, zabiję cię, Lilo. Już drugi raz mię zasypujesz.

— Nie wiedziałam, co mówię. Byłam nawpół oszalała z bólu.

— Szkoda, że nie zupełnie, — rzekł Jeff gorzko. — Nie idzie mi o nią — na niej mało mi zależy. Cała ta historia dotyczy tylko starego, niech sobie łamie głowę, jak z tego wyleźć. Mnie martwi tylko, że inne interesy psują się przez to. Kiedy wszystko nie idzie jak w zegarku, jest kłapa i zbiera się za dużo ludzi, niż mnie potrzeba widzów przy robocie. Z tem mnie przynajmniej nie zasypałaś?

— Nie, Jeff, nie wiedziałam o tem.

— I dlatego nie zasypałaś, co?

Spojrzał na nią niechętnie. Teraz ona oburzyła się.

— Słuchaj, Jeffie Legge. Aż do pewnej granicy mam cierpliwość i staram się, póki jesteś chory, znosić twoje

kaprysy. Ale jeżeli będziesz ordynarny, oberwiesz, pamiętaj! Może to nie po kobiecemu, ale napewno mądrze. Nie wierzyłam nigdy w równość płci, ale jeżeli dziewczyna złapie pierwsza pogrzebac, napewno nie należy do płci słabszej.

Jeff był dość mądry, aby zmienić temat rozmowy.

— Przeszukali pewnie klub do góry do dołu? — zapytał.

— Naturalnie.

— Czy byli na poddaszu?

— Myślę, że tak. Stevens mówił, że wywrócili wszystko dogóry nogami.

— Spryciarze, — mruknął Jeff. — Taki spryt to bardzo ładna rzecz. Kto tam? — Spojrzał ponuro ponad murawą na dziwną postać, zbliżającą się od strony ścieżki skalnej.

Lila podniosła się i wyszła naprzeciw nieznanemu, który stał pochylony nieco, z kapeluszem w rękę, i czekał na nią cierpliwie, uśmiechając się z zakłopotaniem.

— Przepraszam bardzo, jeśli przeszkadzam, — rzekł. — Piękna okolica, prawda? Jeżeli się nie mylę, to Dellsea Vicarage? Znałem dawniej proboszcza — zachwycający człowiek! Państwo zapewne wynajęli od niego dom?

Lila była nawpół ubawiona, nawpół zła.

— To jest Dellsea Vicarage, — rzekła krótko. — Czy chciał się pan z kimś widzieć?

— Chciałem się widzieć z mr. Jeffrey'em... — wywrócił oczy i wlepił je w niebo, jakby chciał wydobyć z jakiegoś ukrytego zakątka swej pamięci nazwisko, którego nie mógł sobie bez wysiłku przypomnieć, — z mr. Jeffrey'em Legge — tak, to jest to nazwisko — mr. Jeffrey Legge.

— Chory jest i nie przyjmuje wizyt.

— Żałuję bardzo, — rzekł nieznajomy, a łagodna jego twarz wyrażała gorące współczucie. — Naprawdę, żałuję bardzo.

Włożył binokle o wielkich, okrągłych szklach na sam czubek nosa, chcąc widocznie wyrzucić w ten sposób lepsze wrażenie, gdyż spojrzenie jego skierowane było wysoko ponad szklami.

— Może mógłby mię jednak na chwileczkę przyjąć. Przyszedłem specjalnie dowiedzieć się o jego zdrowie.

— Pańska godność? — zapytała Lila.

— Reeder — J. G. Reeder.

Dziewczyna czuła, jak krew ucieka jej z twarzy i odwróciła się szybko.

— Zaraz zapytam, — rzekła.

Kiedy Jeff usłyszał to nazwisko, twarz jego przeciągnęła się.

— To człowiek, którego nasłaly na mnie banki, a może rząd, — rzekł głosem stłumionym. — Przyrowadź go tu, Lilo.

Dziewczyna skinęła przybyłemu zdaleka, a mr. Reeder nadszedł szybkim krokiem.

— Przykro mi bardzo, że widzę pana w tak pożałowania godnym stanie, mr. Legge, — rzekł. — Mam nadzieję, że ojcu pańskiemu powodzi się dobrze?

— A, pan zna starego? — rzekł Jeff zdziwiony.

Mr. Reeder skinął głową.

— Owszem; poznałem pańskiego ojca, — rzekł. — Bardzo rozmowny i inteligentny człowiek. Niezwykle inteligentny! — powtórzył z naciskiem.

Jeff milczał, słysząc te pochwały, dotyczące ojca.

— Wiele się ostatnimi czasy mówi w mieście o pewnej zbrodniej działalności, uprawianej oczywiście w ukryciu,

— rzekł mr. Reeder, który odznaczał się niezwykłą starannością w doborze wyrażań. — Ja, który żyję poza gwarem świeckim, niejako w cichych i ustronnych zatokach wielkiego oceanu życia — słyszę jednak często dziwne wieści o rozpowszechnianiu niedozwolonych banknotów — w gwarze przestępców nazywa się to po angielsku „slosh“ czy „slush“ — zdaje się, że „slush“.

— Tak, „slush“ (błoto), — odparł Jeff, który nie wiedział, czy to żart, czy coś gorszego, i ani na chwilę nie spuszczał gościa z oczu.

— Jestem przekonany, że osoby, które rzuciły się na ten proceder, nie zdają sobie absolutnie sprawy z poważnego charakteru ich przestępstwa, — rzekł mr. Reeder tonem poufnym.

Nagle przerwał swój wykład i spojrzął na murawę oraz usiany kwiatami ogród, otaczający ich z obu stron.

— Jak piękny jest świat, mr. Jeffie — ach, przepraszam, mr. Legge, — rzekł. — Jak czarujące są te kwiaty! Przyznaję, że kiedy widzę dzwoneczki, zawsze mi łzy napływają do oczu. Zresztą to zdaje się wcale nie są dzwoneczki, — dodał, — przecież już na dzwoneczki za późno! Ale co za przepiękny, błękitny ton! I te wspaniałe róże — aż tutaj dociera ich zapach!

Przymknął oczy, zadarł nos i głośno wciągnął nim powietrze — było to bardzo komiczne; ale Jeff nie śmiał się.

— Nie wiem napewno, ale przypuszczam, że w więzieniu dartmoorskiem jest tylko kilka kwiatków w doniczkach; a i tych więźniowie nie widzą, z wyjątkiem jednego uprzywilejowanego człowieka, który ma obowiązek podlewać je. Naogół zwykle dożywotni. Życie bez kwiatów musi być straszną rzeczą, mr. Legge.

— Nie mam specjalnego zamiłowania do kwiatów, — rzekł Jeffrey.

— Szkoda! — rzekł gość tonem głębokiego ubolewania.  
— Szkoda bardzo! Ale z zakładu tamtejszego niema też widoku na morze, na barwne przestrzenie wód i barwne okręty; niema tego cudownego poczucia wolności; zaprawdę, niema niczego, co czyni znośnem życie człowiekowi, skazanemu, powiedzmy, na piętnaście czy dwadzieścia lat.

Jeff nie odpowiedział.

— Czy pan lubi króliki? — brzmiało niespodziane pytanie, skierowane teraz do niego.

— Nie, tego nie mogę powiedzieć.

Lila siedziała wyprostowana i nieruchoma, a wszystkie jej zmysły skierowane były na to, by słyszeć i rozumieć.

Mr. Reeder westchnął.

— Ja bardzo lubię króliki. Ilekroć widzę królika w klatce, kupuję go, zanoszę do najbliższego lasu i wypuszczam na wolność. Może to jest głupia dobroduszość, gdyż jeśli królik jest zrodzony i wychowany w niewoli, nie posiada może odpowiednich warunków, aby żyć wśród swych dzikich towarzyszków. Ale sprawia mi przyjemność wypuszczać króliki na wolność; innym ludziom sprawia może przyjemność zamykać króliki do klatki. — Pogroził Jeffrey'owi palcem. — Niech pan nigdy nie będzie królikiem w klatce, mr. Jeffrey'u — czy raczej mr. Legge? Tak, mr. Legge.

— Nie jestem ani królikiem, ani kurą, lisem czy skowronkiem, — rzekł Jeffrey. — Klatka, w którejbym ja mógł być utrzymany, nie została jeszcze zbudowana.

Mr. Reeder westchnął znowu.

— Myślę o innym gentlemanie, który przed laty mówił to samo. Zapomniałem, w jakim więzieniu go powieszono. Może w Wandsworth — tak, jestem pewien, że w Wandsworth. Widziałem niedawno jego grób. Tylko inicjały. Jaka szkoda! Co za tragiczne zakończenie tak obiec-

jącego życia! Śmierć była dla niego, sędzę, najlepszą rzeczą, gdyż dwadzieścia lat w celi więziennej to straszny los, mr. Legge! A los ten nie dosięgnie nigdy człowieka, który postanowił się poprawić. Przypuśćmy, że fałszował on, dajmy na to, banknoty Banku Angielskiego i postanowił spalić swój papier i aparaty do znaków wodnych, odprawić wszystkich swoich pomocników... Nie sędzę, żebyśmy się jeszcze o takiego człowieka troszczyli. Odnieslibyśmy się do niego z najliberalniejszą wyrozumiałością, zwłaszcza, gdyby banknoty jego były tak doskonałego gatunku, że człowiek niewtajemniczony nie potrafiłby ich odróżnić od prawdziwych.

— Co się stało z Goldenem? — zapytał Jeffrey śmiało. Stary pan mrugnął powiekami.

— Golden był moim poprzednikiem, — rzekł. — Czarujący człowiek, pod pewnemi względami —

Jeffrey przerwał mu znowu.

— To był człowiek, który z ramienia policji ścigał fałszerzy. Czy on nie żyje?

— Wyjechał w podróż, — rzekł mr. Reeder poważnie. — Tak, mr. Golden nie mógł znieść tego klimatu. Cierpiał na astmę, a może to był ischjas. Pamiętam tylko, że ten wyraz zaczynał się na samogłoskę. Nie poznał go pan nigdy? Ach! To stracił pan wiele, — ciągnął mr. Reeder. — Golden był pysznym człowiekiem — może nie tak zdolnym, jak mógł lub powinien być, ale pysznym człowiekiem. Coprawda nie pracował tak jawnie, jak ja, i to był, mojem zdaniem, błąd. Zawsze to rzecz niesłuszna zamykać się w swoim biurze i otaczać obłokiem tajemniczości. Ja sam mam skłonności do tego błędu. A teraz, drogi mr. Legge, mam nadzieję, że przyjmie pan moją przenośnię życzliwie i podda ją wszechstronnemu zbadaniu i rozważeniu.



— Zrobiłbym to, gdybym był drukarzem „błota“, ale na szczęście nie jestem nim, — rzekł Jeffrey z uśmiechem.

— Oczywiście, że pan nim nie jest, — pośpieszył gość z odpowiedzią. — Aniby mi przez myśl nie przyszło zrobić taką aluzję. Ale w wielkiem kole pańskich znajomych — i, niech mi wolno będzie dodać, wielbicieli — będzie pan może miał sposobność powtórzyć moje skromne, proste oświadczenie. Nie lubię widoku królików w klatce, ani ptaszków w klatce, ani jakichkolwiek innych stworzeń w klatce. Zaś Dartmoor wydaje mi się tak — jakby to powiedzieć? — nieestetyczne. Wydaje mi się *tak wielką* szkodą spędzać tyle lat w Devonshire. Wiosną jest tam coprawda czarująco; latem jest skwarnie; ale zimą, o ile się jej nie spędza w Torquay, jest poprostu strasznie. Do-  
widzenia, mr. Legge.

Skłonił się głęboko przed Lila, przyczem binokle spadły mu z nosa. Schylił się, podniósł je wśród licznych przeproszeń i odszedł. Patrzeli za nim bez słowa, aż znikł im z oczu.

## ROZDZIAŁ XIX.

— Co sądzisz o tym „psie gończym“? — zapytał Jeffrey pogardliwie.

Lila nie odpowiedziała. Zetknięcie z tym człowiekiem przeraziło ją, choć nie leżało w jej naturze drżeć przed detektywem.

— Nie wiem, co to za człowiek, — rzekła, a oddech jej był nieco nierówny. — Jest trochę taki, jak... dobroduszny wąż. Czy i ty nie odniosłeś tego wrażenia, Jeffrey'u?

— Dobroduszne zero, — rzekł Jeff, wydymając pogardliwie wargi. — Jest jeszcze głupszy niż Golden. Te wielkie instytucje mają zamiłowanie do tego rodzaju ludzi. Prawdziwie zręczny „pies gończy“ nie ma u nich nigdy szczęścia.

— Kto to był Golden? — zapytała Lila.

— To był też taki stary mądrala. Wyszadzi go na świeże powietrze, — Jeff uśmiechnął się do siebie. — Moja w tem wina. Potem z wielką pompą ulokowali mr. J. G. Reedera na jego miejscu. Od trzech lat uprawia swój proceder, a nie zbliżył się do celu ani o krok.

— Jeff, czy niema niebezpieczeństwa? — Głos jej brzmiał bardzo poważnie.

— Czyż niebezpieczeństwa niema zawsze? Teraz nie jest ono większe, niż kiedykolwiek indziej, — rzekł Jeff. — Nie martw się. Nie mogą mię złapać. Ukryłem się pod tyłoma osłonami, że mnie nie mogą dojrzeć. Kiedy „błoto“ raz jest wydrukowane, nic mi nie mogą zrobić.

— Kiedy jest wydrukowane? — Spojrzała na niego podejrzliwie. — Więc jednak *jestes* Wielkim Drukarzem, Jeff?

— Mówmy o czem innym.

Gdy Emanuel powrócił wkrótce potem, Lila spotkała go przy furtce ogrodowej i opowiedziała mu o wizycie Reedera. Zdziwiła się, gdy stary Legge potraktował rzecz prawie tak samo, jak Jeff.

— To głupiec, ale nieprzekupny — przynajmniej do wysokości pięciu tysięcy. Wszelka nieprzekupność ma oczywiście swoje granice.

— Ale dlaczego przyszedł do Jeffa? — zapytała Lila.

— Czyż wszyscy, którzy mają z tą sprawą do czynienia, nie wiedzą, że Jeff jest Wielkim Drukarzem? Czyż nie próbują od lat dowieść mu winy? Naturalnie, przyszedł. To był jego ostatni rozpaczliwy krok. Jak się chłopak czuje? — zapytał.

— Dobrze, trochę jest rozdrażniony.

— Oczywiście rzecz, że jest trochę rozdrażniony, — rzekł Emanuel niechętnie. — Nie myślisz chyba, że w ciągu jednego dnia powróci do zdrowia? Klub funkcjonuje znowu.

— Czy był zamknięty?

— Niekoniecznie zamknięty, ale stał się trochę niepopularny — rzekł Legge z charakterystycznym uśmiechem, przy którym ukazywały się jego zęby. — Słuchaj, Lila! — Na skraju trawnika chwycił ją za ramię. — Myślisz jeszcze o tej strzelaninie, co? Winny nie ujdzie mi.

— Zna go pan? — zapytała dziewczyna.

Po raz pierwszy Emanuel mówił o tem spokojnie. Dotychczas wystarczyło samego wspomnienia zamachu, aby go doprowadzić do najwyższej wściekłości.

— Tak, wiem wszystko, — syknął. — To był Piotr Kane, ale nie masz potrzeby gadać o tem — nie ujdzie mi, powiadam.

— Jeff przypuszcza, że to —

— Wszystko jedno, co Jeff przypuszcza, — rzekł Legge niecierpliwie. — Rób, co ci każe.

Posłał ją do domu, aby mu zagotowała filiżankę herbaty — Emanuel był miłośnikiem herbaty. W nieobecności jej miał synowi coś do powiedzenia.

— Jeff, — zaczął, — na twój towar jest wielkie zapotrzebowanie. Mam list od Harvey'a. Píše, że na północy Anglii zjawił się drugi, który dostarcza dość dobry materiał. Ale oni chcą twego towaru — mogą ulokować natychmiast pół miliona na kontynencie. Jeff, Harvey ma rację. Jeżeli podczas twojej choroby produkcja się zmniejszy, zwróć na ciebie uwagę.

— Myślałem już o tem, — rzekł Jeffrey. — Możesz powiedzieć wszystkim zainteresowanym, że w przyszłym tygodniu będzie się drukować.

— Czujesz się dość dobrze, żeby tam pojechać? — zapytał zakłopotany ojciec.

Jeffrey skinął głową i wyprostował się, ale opadł zaraz zpowrotem.

— Reeder tu był: mówiła ci?

Emanuel skinął głową.

— Niewiele się Reederem przejmuję. W Dartmoor jest on postrachem, ale oni boją się przecież każdego, kogo nie znają. Opowiadają o nim rozmaite historie. To bardzo uspokaja, gdy się sprawę ogląda zbliska.

Roześmiali się obaj i spędzili resztę dnia na omawianiu środków i dróg dla swoich planów.

Jeffrey powiedział prawdę, mówiąc dziewczynie, że jest dobrze kryty. Posiadał dwanaście opiewających na różne nazwiska kont bankowych w rozmaitych krajach i miał w depozycie olbrzymią sumę gotówki na wszelki wypadek,

— Musisz przerwać na pewien czas, — rzekł ojciec, — choć takie zyski kuszą bardzo, żeby pracować dalej. Takiego wielkiego interesu nie próbowałem nigdy, Jeff.

Syn przyjął ten hold z uśmiechem zadowolenia.

Stary Legge siedział z rękoma splecionymi między kolanami i patrzył w morze.

— Kiedyś musi się to skończyć, pięknie skończyć, ale nie widzę sposobu, jak to zrobić.

— Co masz na myśli? — zapytał Jeff z zaciekawieniem.

— Myślę o Piotrze — o szanownym mr. Piotrze Kane. Wprawdzie już w oczach córki nie tak szanownym, jak dawniej, ale w każdym razie dość jeszcze godnym poważania, aby jadać z „psami gończemi“ i tym łotrem Johnem Gray. Johnny ożeni się z dziewczyną, Jeff.

Jeffrey Legge zzymnął się.

— A niech się z nią choćby djabeł żeni, — rzekł.

— Ale ona nie może wyjść zamaż bez rozwodu z tobą. Przynajmniej to, synu? Takie jest prawo. A nie może się z tobą rozwieść, żebyś ty nie poszedł do dziury za bigamię. Takie też jest prawo. Pytanie tylko, czy będzie czekała, aż Johnny coś zrobi, czy też sama odrazu wystąpi? Jeżeli mi zostawi czas, Jeff, będziesz ty miał swoją dziewczynę, a ja Piotra Kane. Wobec prawa ona jest twoją żoną.

W słowach jego było coś tak ważkiego, że Jeff szybko spojrzał na niego.

— Na czym polega twoja wielka idea? — zapytał.

— A gdyby tak Piotr był Wielkim Drukarzem? — rzekł Emanuel prawie szeptem. — Gdyby go złapano z materiałem? To można zrobić. Nie myślę oczywiście, żeby mu podrzucić towar do domu — toby się na nic nie zdało; ale poprowadzić go wprost na właściwe miejsce, tak, żeby mu najlepszy przyjaciel ze Scotland Yardu nie mógł dopomóc? \*Co sądzisz o tej myśli?

— Niemożliwe, — odparł Jeff szybko.

— Niemożliwe? — powtórzył Emanuel drwiąco. — Wszystko, czego się chce, jest możliwe, jeżeli się tylko poweźmie postanowienie — albo ma odwagę.

— Dziewczyny w ten sposób nie zdobędę.

Emanuel wolno zwrócił głowę do syna.

— Jeżeli znajdą Wielkiego Drukarza, muszą znaleźć wielką drukarnię, — rzekł z namysłem. — A to znaczy, że musielibyśmy się wszyscy ulotnić i to szybko. Moglibyśmy mieć kilka godzin przewagi, a w dzisiejszych czasach aeroplanów trzy godziny to czterysta mil. Jeff, gdybyśmy zostali nakryci i wyszłoby najaw, że przez cały czas przy druku pieniędzy ja maczałem w tym interesie ręce, nie zobaczył bym więcej szerokiego świata. A ty dostaniesz dożywotnie więzienie. Nie będzie gorsze, gdybyś porwał dziewczynę.

— Siłą? — zapytał Jeff zaskoczony. Ta myśl nie przyszła mu wcale.

Ojciec skinął głową.

— *Gdybyśmy* musieli zniknąć, nie pozostaje ci nic lepszego, synu. To nie przestępstwo — pamiętaj. Ona jest twoją żoną. — Rozejrzał się dokoła, żeby sprawdzić, czy nie jest podsłuchiwany, i dodał: — A gdybyśmy tak zaprosili Piotra, jego córkę i Johnny Gray'a na obiad? Milutki obiadek, he?

— Dokąd? — zapytał Jeff nieufnie.

— Do gabinetu Nr. 13, — rzekł Emanuel Legge. — Do gabinetu Nr. 13, Jeffie, synku mój! Milutki obiadek. Co sądzisz o tem? A potem porcyjka proszku nasennego —

— Oszalałeś, — rzekł Jeff gniewnie. — Co to za gadanie? Wyobrażasz sobie, że on przyjdzie na obiad i przyprowadzi córkę? To szaleństwo!

— Pozwól mi działać, — rzekł Emanuel Legge.

## ROZDZIAŁ XX.

Kiedy Johnny szedł pewnego dnia przez Regent Street, ujrzał znajomą twarz — człowieka, który stał na rogu ulicy, sprzedając tanie zabawki. Twarz jego wydała mu się dziwnie znajoma, ale uszedł kilka kroków, zanim sobie przypomniał, gdzie ją widział, i zawrócił. Przekupień poznał go także; w każdym razie na twarzy jego wykwił szeroki uśmiech.

— Dzieńdobry, milordzie, — rzekł. — Może balonik dla maleństwa?

— Fenner, prawda? — rzekł, odsuwając uprzejmym ruchem ręki proponowaną zabawkę.

— Tak jest, kapitanie. Nie myślałem, że mię pan poznał. Jak interesu?

— Cisz, — rzekł Johnny z przyzwyczajenia. — A cóż wy porabiacie?

Fenner wzruszył olbrzymimi ramionami.

— Sprzedaje się toto i wypełnia resztę czasu „otwieraniem służu“.

Johnny potrząsnął głową z naganą. „Otwieranie służu“ oznacza w języku złodziejasków specjalną metodę zarobkowania. Tam, gdzie się w miejscach publicznych zdejmuje marynarkę, żeby umyć ręce przed lunchem, człowiek o zręcznych palcach i pewnej dozie znajomości natury ludzkiej ma sposobność do łatwego zarobku.

— Dostaliście wtedy swoje cięgi?

— Nie, — mruknął Fenner pogardliwie. — Wiedziałem, że jestem przed tem zabezpieczony, dlatego wyspałem dozorcę. Za blisko było do mego terminu. Kiedy zobaczę starego Legge'a, to mu, na Boga —

Jimmy podniósł palec. Przechodzący policjant spojrział na nich nieufnie. Ale jeśli widok Fennera wzbudził w nim podejrzenie, czcigodna postać Gray'a rozwiła je.

— Biedaczysko! — rzekł Jimmy Fenner, gdy policjant przeszedł. — Czy to jest życie?

Oglądał Johna Gray'a z zadowoleniem.

— Ale pan zdaje się zrobić karierę, Gray, — rzekł bez cienia zazdrości. — Co pan robi?

Johnny uśmiechnął się lekko.

— Coś, co wam trudno będzie zrozumieć, Fenner. Żyję jako człowiek uczciwy.

— To w każdym razie zawód dla mnie nowy zupełnie, — rzekł Fenner szczerze. — Widział pan starego Emanuela? — Głos jego brzmiał teraz zupełnie spokojnie. — Wielki zuch z tego Emanuela! A młody Emanuel — Jeffrey — to dopiero chwyt!

Błysk jego oczu, obserwujących Johna bacznie, zdradził, że wie on o talentach młodego Legge'a znacznie więcej, niż chce powiedzieć. Dalsze jego słowa potwierdziły to.

— Trzymaj się pan zdaleka od tego towarzystwa, kapitanie, — rzekł poważnie. — Nikomu oni szczęścia nie przyniosą, a najmniej człowiekowi o pańskim wykształceniu. Jestem coś winien Legge'owi i zapłacę mu to, ale nie zastanawiam się bardzo nad tem, co Jeff robi. Na człowieka takiego, jak pan, byłby zawzięty, bo pan się ubiera elegancko i wygląda elegancko — najlepszy człowiek do puszczania w kurs „błota“, tak, żeby nikt nie zauważył.



— Wielki Drukarz, hę? — zapytał Johnny z figlarnym uśmiechem.

— Wielki Drukarz, — powtórzył Fenner poważnie. — I on *jest* wielkim drukarzem. W Dartmoor słyszy się sporo blagi, ale to jest prawda. Jeff ma największy interes w całym kraju. Wcześniej czy później nakryją go, bo o każdym interesie zaczyna się kiedyś gadać. A sądząc z tego, co czytam w gazetach, już się o nim gadanie zaczęło. Kto do niego strzelał? — zapytał bez ogródek.

Johnny potrząsnął głową.

— To, jak wiadomo, tajemnica, — rzekł, a widząc, że Fenner stara się baczny wzrokiem czytać w jego twarzy, roześmiał się głośno. — Ja nie, Fenner. Możecie być o to spokojni. A na przyjaciela Jeffa, — skrzywił się, — też pewnie nie wyglądam. Jak tam z sakiewką?

— Pusta, — rzekł Fenner lakonicznie, a Johnny rzucił kilka banknotów do jego przenośnej kasy.

Chciał już odejść, gdy Fenner zawołał go jeszcze raz.

— Strzeż się pan przed klatkami, — rzekł ze znaczącym wyrazem twarzy. — I nie myśl pan, że chcę dawać dobre rady. Nie mam na myśli Dartmoor. Bywają inne klatki, gorsze jeszcze — może mi pan wierzyć, bo widziałem prawie wszystkie.

Bez słowa podziękowania wziął pieniądze i schował do kieszeni kamizelki.

— Keytown Jail to najgorsze więzienie w Anglii, — rzekł patrząc nieruchomo przed siebie i jakby nie zwracając uwagi na swego dobroczyńcę. — Bez porównania najgorsze — niech pan o tem nie zapomina, Gray. Keytown Prison to najgorsza klatka w Anglii; a jeżeli się pan tam kiedy dostanie, niech się pan postara wyleźć prędko. Dowidzenia!

Psychologja zbrodniarzy stanowiła przedmiot okolicznościowych studjów Gray'a podczas jego pobytu w Dartmoor, i idąc teraz dalej przez Regent Street, myślał o słowach Fennera. Człowiek ten udzielał rad, którychby sam nigdy nie słuchał. Niewrażliwość moralna starych przestępców nie była dla Johna zjawiskiem nowem. Godzinami przysłuchiwał się mądrym napomnieniom i ostrzeżeniom więźniów, którzy, jak wiedział, zaraz po zwolnieniu z ponurych cel więziennych, dopuszczali się nowych przestępstw, wiodących ich znowu do więzienia.

Nigdy jeszcze nie słyszał o Keytown Jail, ale nie było w tem nic dziwnego, że Fenner czuł specjalną niechęć do jakiegoś więzienia. Przestępcy mają swoje sympatje i antypatje; bez szczególnego powodu nienawidzą Wandsworth, a wolą Pentonville lub naodwrot. Byli tacy, co zachwycali się więzieniem Parkhurst; inni uważali Dartmoor za swój dom i wszelkie napomknienie o przeniesieniu do innego więzienia przyjmowali z goryczą.

Pogrążony w takich myślach, zetknął się Johnny z Craigiem. Spotkanie nie było przypadkowe, gdyż Craig stanął specjalnie na drodze zamysłonego młodzieńca.

— Co pan knuje, Johnny, kradzież brylantów, czy pro prostu szwindelek z jakimś faworytem na Derby?

Johnny roześmiał się.

— Ani jedno, ani drugie. Zastanawiam się właśnie, co specjalnie złego może mieć do siebie Keytown Jail. Gdzie się właściwie znajduje Keytown Jail?

— Keytown? Nie przypominam sobie — a tak, tak! Tuż za Oksfordem. Dlaczego?

— Powiedziano mi, że to najgorsze więzienie w Anglii.

— Każde jest najgorsze, Johnny, — rzekł Craig. — A jeśli szuka pan miejsca na wywczasy letnie, żadnego panu nie doradzam. Keytown to było rzeczywiście kiepskie

więzienie, — przyznał. — Jest to mały zakład prowincjonalny, ale nie należy już do Zarządu Więzień. Po wojnie został sprzedany, jak wiele innych małych więzień. Dzisiaj dąży się do powiększania wielkich więzień, a likwidowania małych klatek, których zarządzanie wiele kosztuje. Hereford Jail także zostało niedawno zamknięte i jeszcze z pół tuzina innych, zdaje się. Nie potrzebuje się więc pan martwić o Keytown, — rzekł z zimnym uśmiechem. — Ostrzeżenie to pochodzi zapewne ze sfer pańskich przyjaciół więziennych?

— Zgadł pan, — rzekł Johnny bez dalszych wyjaśnień, gdyż wiedział, że Craig, idąc dalej, wcześniej czy później zobaczy sprzedawcę zabawek.

— Mr. Jeffrey Legge szybko powraca do zdrowia, — rzekł detektyw, zmieniając temat rozmowy; — wielka jest z tego powodu radość w Scotland Yardzie. Jeśli istnieje człowiek, którego pragnęlibyśmy zachować przy życiu, aż nie zostanie według wszelkich zasad wiedzy i sprawiedliwości powieszony, to jest nim mr. Jeffrey Legge. Wiem, co pan chce powiedzieć — że nie możemy mu niczego dowieść. To prawda. Jeffrey był dla nas za sprytny. Pod tym względem przewyższa nieskończenie swego ojca. Nie popełnia błędów, co jest u fałszerza pieniędzy rzadką zaletą; nie nosi „błota“ przy sobie, nie ma go w mieszkaniu. Mogę pana co do tego upewnić, gdyż dwa razy zatrzymaliśmy go jako podejrzanego i przeszukaliśmy go od stóp do głowy, od *occiput* do *tendo achilles*. Niech mi pan wybaczy te anatomiczne wyrażenia, ale anatomja jest moim ulubionym konikiem. Hallo!

Patrzył przez ulicę na postać, która i dla Johna nie była obca. Mr. Reeder nosił zniszczony surdut i nieco brudnawy cylinder, który cofnął na tył głowy. Pod pachą miał nawpół zwinięty parasol. Ręce w szarych rękawiczkach bawel-

nianych (Johnny myślał zdaleka, że to szwedzkie) splecione były na grzbiecie. Binokle jak zwykle siedziały mu na czubku nosa i groziły upadkiem.

— Zna pan tego jegomościa?

— Niejaki Reeder, prawda? „Pies gończy“.

Wargi Craiga zadrgały.

— Bezwątpienia jest pewnego rodzaju „psem gończym“, — rzekł sucho, — ale nie naszego typu.

— To człowiek banków, prawda? — zapytał Johnny, którego oczy śledziły powolny, niezdarny krok mr. Reedera.

— Jest na usługach banku, — rzekł detektyw, — i nie jest wcale taki głupi, jak wygląda. Zauważyłem to przypadkowo. Wczoraj odwiedził młodego Legge'a. Byłem o tyle ciekawy, że kazałem go obserwować. I wie on o młodym Legge'u więcej, niżbym przypuszczał.

Kiedy Johnny rozstał się z detektywem, mr. Reedera nie było już widać. Ale gdy doszedł do placu Piccadilly Circus, ujrzał starego pana, oczekującego wraz z innymi ludźmi autobusu. Johnny zatrzymał się ciekawie i obserwował go, aż nadjechał autobus, a mr. Reeder wsiadł i znikł we wnętrzu wozu. Gdy autobus ruszył, Johnny rzucił okiem na tablicę, gdzie figurowała nazwa końcowej stacji, i ujrzał, że była to Victoria.

— To dziwne, — rzekł Johnny głośno do siebie.

Gdyż Victoria jest to właśnie dworzec pociągów do Horsham.

## ROZDZIAŁ XXI.

Mr. Reeder wysiadł na dworcu Victoria z autobusu, wykupił bilet powrotny trzeciej klasy do Horsham, kupił sobie w kiosku numer *Economist* oraz *Poultry World* (Świat Ptactwa) i w ten sposób przygotowany do podróży wyszedł na peron, i znalazłszy pusty przedział, usiadł w kąciaku. Od tej chwili aż do momentu przybycia pociągu na stację Horsham był zupełnie zajęty to dziwnymi właściwościami kur *Wayndotte*, to wahaniem marki.

Na dworcu znajdowało się wiele dorożek, które gotowe były za niewielką opłatą zawieść go na miejsce; ale mr. Reeder był widocznie głuchy na wszelkie propozycje, gdyż spoglądał przez szoferów lub ponad ich głowami, jakby nie było wokoło niego brudnych kierowców ani woźniców z lichymi szkapami. Parasol służył mu za laskę i mr. Reeder miał widocznie zamiar odbyć drogę od stacji do domu Piotra Kane pieszo.

Piotr siedział w swoim pokoju, paląc w zamyśleniu cygaro, gdy Barney nadszedł z nowiną.

— Piotrze, przyszedł tam jakiś stary strach na wróble, który chce z tobą mówić. Nie wiem, kto to jest, powiada, że się nazywa Reeder.

Piotr zmarszczył czoło.

— Reeder? — zapytał ostro. — Co to za człowiek?

— Stary, — rzekł Barney. — Znadto się trzęsie, jak na „psa gończego“. Wygląda, jakby zbierał datki na organy do starej kaplicy.

Był to wcale niezły opis.

— Przeprowadź go tu, Barney, i zamknij buzię. Zapamiętaj sobie: to najmądrzejszy „pies gończy“, jakiego kiedykolwiek widziałeś lub zobaczysz.

— Taki cwaniak? — rzekł Barney niedowierzająco. Piotr skinął głową.

— Gdzie Marney? — zapytał szybko.

— W swoim „bedoarze“, — rzekł Barney. — Pisze listy. Jeden napisała do Johna. Zaczyna się: „Drogi, wierny Johnny!“

— A ty skąd to wiesz? — zapytał Piotr ostro.

— Czytałem, — rzekł Barney bezwstydnie. — Umiem wcale nieźle czytać. Potrafię czytać wszystko odwrócone, bo jako chłopiec byłem w drukarni.

— Przeprowadź tu mr. Reedera, — przerwał Piotr groźnie. — I zapamiętaj sobie, Barney, jeżeli złapię cię na tem, jak będziesz moje papiery czytał „odwrotnie“, świat ci się odwróci przed oczyma! I gadaj mniej.

Barney opuścił pokój z godnością, jaką okazywał zwykle w takich wypadkach.

Mr. Reeder wszedł z brudnym kapeluszem w jednej, a parasolem w drugiej ręce, twarz jego miała prawdziwie nieszczęśliwy wyraz.

— Dzieńdobry, mr. Kane, — rzekł, odkładając trzymane przedmioty. — Co za piękny poranek na przechadzkę! Grzech i hańba siedzieć w taki dzień w pokoju. Daj mi pan ogród i róże, jeśli wolno mi wyrazić to zamilowanie, daj mi pan lekki powiew heljotropu...

— Chce pan pomówić ze mną w ogrodzie, co? — rzekł Piotr. — Może pan ma rację.

Barney, który przycisnął ciekawie ucho do dziurki od klucza, zaklął w duchu.

— Byłem wczoraj w pewnym ogrodzie, — szeptał mr. Reeder, idąc przez murawę do niżej położonych tarasów. — Co za wspaniały ogród! Jedna grządka usiana była niebieskimi kwiatami. Niebieski kwiat ma dla mnie zawsze coś wzruszającego, co mi wyciska łzy z oczu. Rododendrony doprowadzają mnie do wściekłości: nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego. Krzak rododendronowy budzi wszelkie zło, drzemiące w mojej duszy. Natomiast narcyze, zwłaszcza gdy są zmieszane z hiacyntami, wywierają na mnie wpływ łagodzący. Ogród, o którym mówię, miał jeszcze ten niezwykły urok, że znajdował się na brzegu morza — prawdziwy Eden, mr. Kane, aczkolwiek, — pokiwał głową z wyrazem pewnego lekceważenia, — aczkolwiek było tam więcej węży, niżeli powinno. Był więc tam jeden wąż w fotelu, drugi wąż, który poszedł do wsi wysłać listy, i inny, że tak powiem, oficjalny wąż, który ukryty był w krzakach i śledził mnie przez całą drogę z Londynu — jak sądzę, z polecenia niejakiego mr. Craiga.

— Gdzie pan był, mr. Reeder?

— W pewnej willi nad morzem, cudowne położenie. Prawdziwy raj na ziemi, — westchnął mr. Reeder. — Właśnie najodpowiedniejsze miejsce dla mądrego człowieka, gdy mu potrzeba wypoczynku i powrotu do zdrowia, a pan w fotelu był niewątpliwie w tem położeniu.

— Odwiedził pan Jeffa Legge, co? Niech pan siada.

Wskazał na ławkę marmurową, na której niegdyś, w pamiętny dzień ślubu, siedział Johnny, pogrążony w smutnych myślach.

— Wolę nie siadać, — rzekł mr. Reeder, patrząc niechętnie na marmurowy blat ławki. — Cierpię na reumatyzm i okresowy ischjas. Przejdźmy się lepiej razem, mr. Kane. — Rzucił okiem na żywopłot. — Nie lubię ludzi podsłuchujących. Czasami ktoś podsłuchuje i słyszy więcej, niżby chciał. Słyszałem niedawno o pewnym bardzo czcigodnym panu, który przypadkowo stał za krzakiem i dowiedział się skandalicznych rzeczy o swoim zięciu. Niedobrze było dla niego, że tyle usłyszał.

Piotr wiedział, że gość mówił o nim, ale nie dał tego poznać po sobie.

— Jestem panu winien wdzięczność, mr. Reeder, za życzliwość wobec mojej córki...

Mr. Reeder przerwał mu ruchem ręki.

— Czarująca panienka. Bardzo miła panienka, — rzekł z łagodnym zachwytem. — I tak ją zajmują kury! Rzadko spotyka się kobiety, które mają prawdziwe, czyste zainteresowanie dla kur.

Dotarli do miejsca, gdzie nie mogli być podsłuchiwani. Piotr, który rozumiał, że gość nie przyszedł bez ważnego powodu, czekał na jego słowa. Mr. Reeder podjął znowu temat podsłuchiwania.

— Przyjaciół mój — jeśli wolno mi go tak nazwać — który dowiedział się przypadkowo, że zięć jego był nikczemnym łotrem — jeżeli mi pan wybaczy to zbyt może ostre określenie — omal się nie naraził na poważne, bardzo poważne nieprzyjemności. — Potrzęsnał uroczyście głową. — Bo widzi pan, — ciągnął po chwili, — przyjaciel mój — mam nadzieję, że pozwoli mi on używać tego określenia? — ma za sobą coś niecoś z kariery przestępczej, a całe jego powodzenie polegało na zręcznej strategii. Ale pytam pana, czy to była zręczna strategia, — nie patrzył na Piotra, a mętny jego wzrok pomykał ponuro po okolicy, —



czy to było zrecznie ze strony mego przyjaciela, załomunikać mr. Emanuelowi Legge zdumiewającą wiadomość, że o pewnej określonej godzinie, w pewnym określonym lokalu — zdaje się, że numer gabinetu był trzynastcie, ale nie jestem pewien — mr. John Gray spotka się z mr. J. G. Reederem, aby mu udzielić wiadomości, której skutkiem będzie to, że syn Emanuela Legge będzie musiał spędzić dłuższy czas w więzieniu na przymusowych robotach? Czy to było mądrze podrabiać charakter pisma zaufanego współnika Emanuela Legge i skłonić wspomnianego Emanuela do wejścia na drabinę ratunkową w klubie Highlow w celu zastrzelenia, jak sądził, mr. Johna Gray'a, który wcale nie był mr. Johnem Gray'em, lecz jego własnym synem? Pytam pana, czy to było mądrze?

Piotr nie odpowiedział.

— Czy to było mądrze ze strony mego przyjaciela, przyjść do hotelu, w którym mieszkała jego córka, a widząc, że jej niema, pozostawić na podłodze świstek papieru, który naprowadził mr. Jeffrey'a Legge na fałszywą myśl, jakoby ta młoda dama miała się spotkać o pół dziesiątej z Johnem Gray'em w gabinecie Nr. 13? Przyznaję, — rzekł mr. Reeder wspaniałomyślnie, — że przyjacielowi memu udało się przez ten sprytny manewr ściągnąć Jeffrey'a Legge o określonej godzinie akurat w to miejsce, gdzie go chciał mieć; gdyż Jeffrey udał się oczywiście do klubu Highlow, aby zaskoczyć i nastraszyć swoją żonę. Jest pan człowiekiem światowym, mr. Kane, i zrozumie pan z pewnością, jak dalece nierozważnie postąpił mój przyjaciel. Gdyż Jeffrey mógł być zabity. — Mr. Reeder westchnął głęboko. — Mógłby utracić swe cenne życie; a gdyby podczas śledztwa listy wyszły najaw, wówczas przyjaciel mój musiałby sam odpowiadać za morderstwo.

Strzepnął starannie pyłek z rękawa surduta.

— Wypadki mogły doprowadzić do tragedji, — rzekł, a był to tylko przypadek, że twarz Jeffa była odwrócona od drzwi; i przypadkiem tylko było, że Emanuel nie został dostrzeżony, gdy wychodził. A tylko doskonale, niezwykle zręczne kłamstwo uchroniło Johna Gray'a od aresztowania.

— Johnny nie był tam wcale, — rzekł Piotr ostro.

— Przeciwnie, Johnny był tam — proszę, niech pan przyzna, że on tam był! — błagał mr. Reeder. — W przeciwnym razie cała moja teoria byłaby fałszywa. A dla gentlemana mego zawodu jest rzeczą nie do zniesienia, gdy się jego teorie rozchwiewają.

— Tego przyznać nie mogę, — rzekł Piotr gwałtownie. — Johnny spędził ten wieczór u urzędnika policji. Musiał to być jego sobowtór.

— Albo sobotrój może? — mruknął mr. Reeder z uśmiechem. — Kto wie? Człowiek jest pod niektórymi względami podobny do kury domowej, *gallus domesticus*. Jeden człowiek wygląda tak samo jak drugi — w znacznej mierze jest to tylko kwestją upierzenia.

Spojrzał w górę, jakby oczekiwał od nieba samego potwierdzenia dla swych słów.

— Mr. Jeffrey Legge okazał się dla pana bynajmniej nie życzliwy, mr. Kane, — rzekł. — Istotnie, sędzę, że skrzywdził pana bardzo. Jest to oczywiście człowiek, nie posiadający zasad ani honoru i zasługujący na najgorszy los.

Piotr czekał, a nagle mr. Reeder spojrzał mu prosto w oczy.

— W licznych swoich podróżach musiał pan wiele słyszeć o mr. Jeffrey' u Legge? — rzekł. — Może od czasu owego nieszczęsnego — rzeczywiście, fatalnego — zdarzenia, o którym nie mogę panu wspomnieć, nie zadając

mu zbyt dużego bólu, doszło do pańskich uszu coś więcej jeszcze. Otóż, mr. Kane, czy nie sądzi pan, że wyświadczyłby pan społeczeństwu ludzkiemu przysługę —

— Gdybym zasypał, — rzekł Piotr Kane spokojnie. — Pod tym względem mogę pana natychmiast uspokoić. Nie wiem o Jeffrey' u Legge nic poza tem, że jest łajdakiem. Ale gdybym wiedział, gdybym posiadał klucz do jego przedsiębiorstwa drukarskiego, gdybym miał dowody jego winy w kieszeni... — przerwał.

— Gdyby pan posiadał to wszystko? — zapytał mr. Reeder łagodnie.

— Nie zasypałbym go, — rzekł Piotr uroczyście, — gdyż to nie jest właściwa droga. Sypanie pozostaje sypaniem, czy się go dokonywa na zimno, czy w zapale nienawiści.

Mr. Reeder westchnął znowu głęboko. Zdjął binokle, chuchnął na szkła, wyczyścił je ostrożnie ale energicznie i nie wyrzekł ani słowa, póki nie włożył binokli zpowrotem.

— Wszystko to jest bardzo godne poważania, — rzekł smutno. — Ta — hm — wierność i — hm — nieprzekupność... Znowu przychodzi mi na myśl porównanie z ptactwem. Pewne rasy kur solidaryzują się z sobą bardzo i nie chcą mieć z innymi rasami nic wspólnego. A nawet gdy zwalczają się między sobą, to jednak jedna za drugą poszłyby na śmierć. Spodziewam się, że córce pańskiej wiedzie się dobrze?

— Bardzo dobrze, — rzekł Piotr z naciskiem, — nadspodziewanie dobrze. Obawiałem się, że czekają ją ciężkie czasy — ale oto i ona. — Odwrócił się i skinął na Marney, która schodziła po stopniach tarasu. — Znasz mr. Reedera? — rzekł Piotr, gdy dziewczyna z wesołym uśmiechem i wyciągniętą ręką pobiegła naprzeciw znawcy kur.

— Oczywiście, że znam, — rzekła Marney gorąco. — Omal nie doprowadził mnie pan do myśli założenia hodowli kur.

— To nie najgorsze, coby pani mogła zrobić, — rzekł mr. Reeder poważnie. — Mało jest kobiet, które okazują dla tych spraw należyte zrozumienie. Mężczyźni mają o wiele, wiele więcej zainteresowania dla kur.

Piotr spojrział na niego bystro. W głosie jego było coś, a w oczach jego zabłysnął na chwilę szczery humor, który uczynił mu tego człowieka bliższym, niż dotychczas.

Piotr odważył się na śmiały krok.

— Mr. Reeder jest detektywem, — rzekł, — delegowanym przez banki do śledzenia ludzi, którzy zarzucają rynek fałszywymi pieniędzmi.

— Detektywem!

Oczy jej rozwarły się w zdumieniu, a mr. Reeder pośpieszył zaprotestować przeciw temu określeniu.

— Nie detektywem. Proszę pana, mr. Kane, niech pan nie ujmuje rzeczy fałszywie. Jestem tylko urzędnikiem wywiadu, który ma zbadać pewne kwestje, a nie detektywem. „Detektyw“ to określenie, którego bardzo nie lubię. W życiu swem nie zaaresztowałem jeszcze nikogo i nie mam nawet do tego prawa.

— W każdym razie, mr. Reeder, nie wygląda pan jak detektyw, — rzekła Marney z uśmiechem.

— Dziękuję pani, — rzekł mr. Reeder z wdzięcznością.

— Nie chciałbym, aby mnie uważano za detektywa. Jest to zawód, dla którego żywię podziw, ale bez zazdrości.

Wyjął z marynarki wielki portfel do pieniędzy i otworzył go. Wewnątrz znajdowała się spora paczka banknotów, ściągnięta pośrodku gumką. Piotr podniósł na ten widok brwi.

— Odważny z pana człowiek, jeśli pan taką ilość pieniędzy nosi przy sobie, mr. Reeder, — rzekł.

— Nie tak odważny, — zaprzeczył urzędnik wywiadu.

— Prawdę mówiąc, jestem nawet człowiekiem dość tchórzliwym.

Wyciągnął jeden banknot z pod gumki i podał go zdumionemu gospodarzowi. Piotr wziął banknot do ręki.

— Piątka, — rzekł.

Mr. Reeder wyjął drugi banknot. Zanim Piotr wziął go do ręki, wiedział już, że było to sto funtów.

— Może mi pan to zmienić?

Piotr zmarszczył brew.

— Co pan mówi?

— Czy może mi pan zmienić ten banknot? — zapytał mr. Reeder. — A może nie ma pan tyle pieniędzy? Nie trzyma się w domu znacznych sum.

— Chętnie panu zmienię, — rzekł Piotr i chciał właśnie sięgnąć po portfel, gdy mr. Reeder powstrzymał go ruchem ręki.

— Fałszywe pieniądze, — rzekł krótko.

Piotr spojrział na banknot, który trzymał w ręku.

— Fałszywe? Nie może być! Ten banknot jest prawdziwy.

Potrząsnął banknotem, jak robią znawcy, i potrzymał go pod światło. Znak wodny był bez zarzutu. Także znaki tajemne na przedniej stronie banknotu, które znał dobrze, były w porządku. Zwilżył róg palcem.

— Niech pan sobie nie zadaje trudu, — rzekł Reeder.

— Wytrzymuje wszelką próbę.

— Czy twierdzi pan rzeczywiście, że to jest „błoto“ — myślę fałszyfikat?

Reeder skinął głową, a Piotr począł ponownie badać banknot. On, który widział tyle fałszywych pieniędzy, musiał przyznać, że był to najlepszy fałszyfikat, jaki kiedykolwiek miał w ręku.

— Zmieniłbym ten banknot bez chwili namysłu. Czy wszystkie pieniądze są takie same?

Mr. Reeder znowu skinął potakująco głową.

— Ale czy to są naprawdę fałszywe pieniądze? — zapytała Marney, biorąc banknot z rąk ojca. — Jak się to robi?

Zanim otrzymała wymijającą odpowiedź, błysła jej prawda. W jednej chwili powiązały się z sobą wszystkie napomknienia, nieokreślone ułamki rozmów, które słyszała o Wielkim Drukarzu, tworząc jedną całość.

— Jeffrey Legge! — szepnęła, blednąc. — Och!

— Mr. Jeffrey Legge, — rzekł Reeder, kiwając głową. — Oczywiście nie mamy dowodów. Możebyśmy teraz usiedli.

Zaproponował sam, aby powrócić do ławki ogrodowej. Ale dopiero obszedłszy ukradkiem krzaki, zakrywające widok na murawę, podjął znowu rozmowę.

— Powiem panu wiele, mr. Kane, — rzekł, — gdyż czuję, że bez szkody dla swych zasad mógłby mi pan pomóc. Istnieją tylko dwaj ludzie, którzy mogli wyrycić płytę do tego banknotu, a jeden tylko, który mógł sporządzić papier. Drukować może każdy — oczywiście, jeśli się zna na drukarstwie. Ci dwaj ludzie to Lacey i Burns. Obaj siedzieli w więzieniu za fałszerstwo; obaj byli przed dziesięciu laty zwolnieni i znikli od tego czasu bez śladu. Trzeci zatrudniony był w zakładach państwowych w Wellington przy wyrobie papieru do pieniędzy. Za kradzież tego papieru został skazany na siedem lat więzienia. I on został przed jakimś czasem zwolniony i znikł bez śladu.

— O Lacey'u i Burnsie słyszałem. Jak się nazywa trzeci? — zapytał Piotr.

Mr. Reeder wymienił nazwisko.

— Jennings? Nie słyszałem o nim nigdy.

— I nie mógł pan słyszeć, gdyż należy on do przestępców, których najtrudniej ująć. Innemi słowy, nie jest on przestępcą w zwykłym znaczeniu tego słowa. Cieszę się, że znajduje się na kontynencie; gdyż do wyprodukowania tego papieru trzeba mieć najnowsze maszyny. Drukuje się tutaj.

— Gdzie? — zapytała Marney niewinnie i po raz pierwszy ujrzała uśmiech na twarzy mr. Reedera.

— Potrzeba mi tego człowieka bardzo, a sprawa i pania nieco obchodzi, moja droga, gdyż mógłbym go uwięzić jutro — za bigamję. — Ujrzał, jak Marney poczerwieniała. — Ale nie zrobię tego. Potrzeba mi Jeffa Wielkiego Drukarza, a nie Jeffa bigamisty. I ach, potrzeba mi go tak bardzo!

Od strony murawy rozległo się głośnie pokasywanie, i na schodach tarasu ukazał się Barney.

— Czy ktoś z państwa pragnie widzieć mr. Emanuela Legge?

Wszyscy spojrzeli po sobie.

— Ja go nie chcę widzieć, — rzekł mr. Reeder stanowczo. Skinął dziewczynie. — Pani także nie chce go widzieć. Obawiam się więc, mr. Kane, że pozostanie pan sam.

## ROZDZIAŁ XXII.

Wchodząc do salonu, gdzie Emanuel z miną znawcy obserwował obrazy olejne, wiszące na ścianie, Piotr był zimny, jak lód. Gość odwrócił się i powitał znielowidzowanego człowieka uśmiechem, z którego promieniowała najżywsza życzliwość.

— Nie przypuszczałem, że przyjdiesz tu znowu, Legge, — rzekł Piotr ze złowieszczym spokojem.

— Nie? — Emanuel był zaskoczony. — Dlaczegożby nie? Zwłaszcza, że mam jeszcze coś niecoś do uregulowania! Wprawiasz mię w zdumienie, Piotrze!

— Nie uregulujesz to nic, — odparł gospodarz. — Im wcześniej tu zrozumiesz i znikniesz, tem lepiej dla nas wszystkich.

— Gdybym był wiedział, — ciągnął Emanuel bezwstydnie, — gdybym mógł przypuszczać, że dziewczyna, z którą Jeffrey nawiązał stosunki, była twoją córką, natychmiast położyłbym kres tej sprawie, Piotrze. Chłopak był wychowany porządnie i nigdy się z tobą nie zetknął. Śmieszne to, jak wielu porządnym ludzi nigdy nie zetknęło się z Piotrem Kane! Oczywiście, gdyby szedł krętymi drogami, poznałby cię dawno. Czy sądzisz, że mój syn zgodziłby się kiedykolwiek poślubić córkę człowieka, który



wpakował jego ojca? Czy to prawdopodobne, Piotrze? Ale jakkolwiek było, co się stało, stało się, i cofnąć tego nie można. Dziewczyna go lubi, on ją także —

— Kiedy skończysz, możesz sobie iść, — rzekł Piotr.  
— Nie śmieję się nigdy przed lunchem.

— Nie, Piotrze? Ani po lunchu? Zdaje się, że przyszedłem w bardzo nieodpowiedniej porze. Otóż, słuchaj, Piotrze. Pogadajmy o interesach.

— Nie mam z tobą interesów. — Piotr otworzył drzwi.

— Gorączka była zawsze twoją słabą stroną, Piotrze, — rzekł Emanuel, nie ruszając się z miejsca, na którym stał. — Nie trać nigdy spokoju. Ja raz w życiu straciłem spokój i strzeliłem do „policaja“, za co siedziałem piętnaście lat. Piętnaście lat, podczas gdy ty opływałeś w dostatki, gawędziłeś z panami i paniami z sąsiedztwa i wmawiałeś im, że jesteś uczciwym człowiekiem. Mam do ciebie prośbę, Piotrze.

— Spełniona jest, zanim ją wypowiedziałeś, — rzekł Piotr szyderczo.

— Chcę poprosić ciebie i Johnny Gray'a na wspólny obiad ze mną i z Jeffrey'em, aby sprawę tę wspólnie załatwić. Nie masz chyba zamiaru włóczyć córki po sądach rozwodowych, prawda? A ona musi się rozwieść, czy on jest żonaty, czy nie. Jeśli idzie o prawdę, to on wcale nie jest żonaty. Nie przypuszczałbym nigdy, że z ciebie taki głupiec, aby uwierzyć w historję o legalnem małżeństwie pomiędzy Lilą a Jeffem. Wszystkie te dziewczyny powtarzają tę samą śpiewkę. To próżność, Piotrze, słabość ludzka, jeśli mogą się tak wyrazić.

— Może była to próżność urzędnika stanu cywilnego, który podpisał akt ślubu, albo próżność świadków, — rzekł Piotr. — Syn twój poślubił tę dziewczynę przed Urzędem Stanu Cywilnego w Greenwich; posiadam kopję aktu ślubu — jeżeli chcesz, możesz ją zobaczyć.

Uśmiech znikł z twarzy Emanuela.

— Ale z ciebie spryciarz! — rzekł z podziwem. — Czyż ty nie załatwiasz swoich spraw lepiej, niż ktokolwiek inny? Ale, czy on jest żonaty, czy nie, Piotrze, dziewczyna musi stanąć przed sądem rozwodowym, aby małżeństwo zostało — jak się to mówi? — anulowane, tak, to jest ten wyraz. Przedtem nie może wyjść zamaż. A małżeństwo nigdy nie będzie anulowane, jeśli synowi mojemu nie zostanie do-  
wiedziona bigamja, tego zaś ty nie uczynisz, Piotrze, bo nie będziesz chciał rozgłaszać, jaki z ciebie głupiec. Posłuchaj mojej rady, przyjdź i załatwmy tę sprawę razem. Przyprawdź Johna —

— Naco mi John? Sam umiem dbać o siebie.

— John jest w tej sprawie zainteresowany, — odparł Legge. — Jest on zainteresowany we wszystkim, co dotyczy Marney, prawda? — Emanuel zachichotał, a Piotr musiał przez chwilę skupić wszystkie siły, aby zachować spokój.

— Nie mam zamiaru mówić z tobą o Marney. Ale zgadzam się na spotkanie z tobą i z Drukarzem, a Johnny, przypuszczam, będzie podzielał moje zdanie. Aczkolwiek nie spodziewam się, abym mógł przez ciebie osiągnąć coś, czego bym nie mógł osiągnąć przez prawo.

— Mogę ci dowieść, że nie masz innego wyjścia, — odparł Emanuel. — Sprawa przedstawia się tak, Piotrze, że biedny mój chłopak uznał, iż popełnił błąd. Poślubił córkę szanownego obywatela, a gdy mu wyjaśniłem, jak się rzeczy w rzeczywistości mają, Piotrze, że wszedł do zbrodniczej rodziny, był w rozpacz! Uważał, że powinienem go być uprzedzić.

— Nie wiem, jakie ty lotrostwo knujesz, — rzekł Piotr Kane, — ale nie mam zamiaru uciekać. Chcesz, żebym się spotkał z tobą i z twoim synem — gdzie?

— Możeby w starym klubie Highlow? — zaproponował Emanuel. — Może w gabinecie Nr. 13, gdzie niedawno zaszedł tak smutny wypadek?

— Gdzie strzeliłeś do swego syna? — zapytał Piotr chłodno, a Emanuel utracił na chwilę panowanie nad sobą. Twarz jego stała się najpierw ciemnopurpurowa, potem kredowobiała.

— Ja miałbym tam strzelać do swego syna? Piotrze, starzejesz się i dziecinniejesz! Znowu ci się coś przywidziało, Piotrze. Strzelać do syna!

— Przyjmuję twoje szalone zaproszenie.

— A Marney? — zapytał Legge.

— Marney nie postawi nogi w Highlow, — rzekł Piotr spokojnie. — Głupotą jest z twojej strony przypuszczać, że pozwoliłbym na coś podobnego. Za Johna nie mogę ręczyć, ale ja przyjdę.

— Możeby tak w czwartek? — zapytał Emanuel.

— Wszystko mi jedno, — odparł Piotr niecierpliwie. — O której godzinie mamy przyjść?

— O pół do ósmej. Mała pogawędka. Możemy też zjeść cokolwiek dla lepszego humoru, prawda, Piotrze? Przypominasz sobie nasz obiadek kilka dni przed włamaniem do Southern Banku? Będzie już pewnie ze dwadzieścia lat. Wtedy powiedziałeś prawdę, co? Założyłbym się — miałem przecież pieniądze w rękę! Wtedy nie można było ukryć miliona dolarów i nazwać go potem stu dwudziestoma tysiącami funtów, co, Piotrze?

Tym razem Piotr stanął przy drzwiach, a ruch jego głowy powiedział Emanuelowi Legge, że nie pora na żarty.

— Chciałbym tę sprawę uregulować. — Piotr nie dał się wprowadzić w błąd powagą jego zachowania. — Widzisz, Piotrze, starzeję się, chciałbym wyjechać zagranicę i zabrać chłopaka. Chciałbym mu też dać zupełną swobodę w po-

szukiwaniu szczęścia — taki chłopak jak on, z takim wyglądem, musi przecież mieć sposobność do szukania szczęścia. Bo jeżeli ci mam powiedzieć całą prawdę — on jest właściwie nieżonaty.

Piotr uśmiechnął się.

— Możesz się śmiać! Ożenił się z Lilą — to wiesz z akt, ale czy kazałeś też sobie pokazać akt rozwodowy? Przystajesz się śmiać, co? W rok po ślubie rozwiedli się. Ale Lila przesyciła się kochankiem i wróciła do Jeffa. Ty umiesz wietrzyć, zwietrze i to! Zapytaj starego Reedera —

— Zapytaj go sam, — rzekł Piotr. — Jest w ogrodzie.

Zaledwie to wypowiedział, już żałował. Emanuel nie odezwał się przez dłuższą chwilę.

— Tak, Reeder jest tutaj, w ogrodzie, powiadasz? Przyszedł, żeby się czegoś dowiedzieć. Ale nie możesz mu nic powiedzieć, bo nic nie wiesz. Czego on chce?

— Zapytaj go sam!

— Jego jedyne zajęcie, to odwiedzać cudze ogrody, — mruknął Emanuel.

Niezainteresowany widz mógłby przypuszczać, że mr. Reederowi można zarzucić tylko namiętne zainteresowanie ogrodnictwem.

— Wczoraj był w moim ogrodzie. Mówił ci pewnie? Przyszedł i zamęczał biednego Jeffa na śmierć. Ale ty zawsze miałeś sympatię do „psów gończych“, co, Piotrze? Jakże się powodzi twemu starymu przyjacielowi Craigowi? Ja ich znieść nie mogę, ale przecież ja jestem przestępcą. Więc zgadzasz się na czwartek, Piotrze? Masz jeszcze sześć dni czasu.

— Zgadzam się na czwartek, — rzekł Piotr. — Mam nadzieję, że i tobie ten dzień odpowiada.

Kiedy powrócił na murawę, na schodach tarasu ukazał się Reeder z dziewczyną, a Piotr opowiedział im bez ogródek o przebiegu wizyty.

— Obawiam się, — rzekł mr. Reeder, potrząsając głową, — że Emanuel nie jest człowiekiem tak prawdomównym, jak powinien. Rozvodu nie było. Sprawa zainteresowała mnie do tego stopnia, że przejrzałem wszystkie akta sądu rozwodowego. — Potarł w zamyśleniu podbródek. — Sądzę, że wasz obiad w Highlow — tak się to przecież nazywa? — będzie bardzo zajmujący, — rzekł. — Czy jest pan pewien, że on mnie nie zaprosił? — I znowu ujrzał Piotr w jego oczach błysk humoru.

## ROZDZIAŁ XXIII.

Mr. Emanuel Legge miał w Londynie wiele zajęć. Zamknięcie klubu pokrzyżowało jego interesy, gdyż wielu z jego uczestników i przyjaciół z łatwo zrozumiałych względów nie chciało pokazywać się w lokalu, który każdej chwili mógł być poddany rewizji przez żadnych wiadomości policjantów. Portjer Stevens objął znowu swoje obowiązki, choć zachowanie jego, zdaniem Emanuela, dawało powód do najpoważniejszych wątpliwości. Z drugiej jednak strony był on zaufanym człowiekiem, bez którego usług niełatwo się było obejść. Wielkie było zdumienie Emanuela, gdy człowiek ten, kiedy przyszedł robić mu wymówki, rozbroił go oświadczeniem, że porzuci swoje stanowisko, o ile personel nie zostanie zmieniony. Przeprowadził też swoją wolę, zwłaszcza, że wchodzący w grę personel składał się tylko z windziarza Benny.

— Benny mię zasypał, — rzekł Stevens krótko i wężłowato, — a ja nie chcę mieć zdrajców koło siebie.

— Przede mną zasypał, przyjacielu, — rzekł Emanuel, ukazując wszystkie zęby. — Powiedział mi tylko, że chciałeś bronić Johnny Gray'a.

— Czy on jest członkiem, czy nie? — zapytał portjer ponuro. — Skąd ja mogę wiedzieć, którzy członkowie mają

być kryci, a którzy nie? Oczywiście, że pomogłem kapitanowi — a przynajmniej usiłowałem mu pomóc. To należy do moich obowiązków.

W słowach tych było wiele logiki. Windziarz Benny został zastąpiony przez innego chłopca.

Kiedy Emanuel wyszedł z windy, ujrzał ślady brudnych butów w hall'u; były jeszcze wilgotne.

— Kto tu jest? — zapytał.

— Nikt ważny.

Legge wskazał na ślady stóp.

— Ktoś tu był niedawno, — rzekł.

— To moje ślady, — rzekł Stevens bez chwili wahania.

— Byłem na ulicy po taxi dla Monty Forda.

— Niema słomianek? — zapytał Emanuel ostro.

Stevens nie odpowiedział.

Emanuel miał bardzo dużo roboty. Trzeba było naprzykład załatwić sprawę pewnego domu na Berkeley Square. Aczkolwiek Emanuel nie był już czynny, prowadził jeszcze szereg podejrzanych przedsięwzięć finansowych. Dom został za jego pieniądze wynajęty wraz z umeblowaniem na rok, a wspólnicy jego zamierzali otworzyć tam klub gry. Na nieszczęście właściciel domu, który posiadał cenne zbiory obrazów i przedmiotów zbytku, przejrzał charakter swego lokatora, którym był figurant Legge'a, i natychmiast unieważnił umowę. Sprawa ta kosztowała Emanuela około tysiąca funtów, a nie lubił on tracić prawdziwych pieniędzy.

Tego wieczora późno opuścił klub. Nocował zazwyczaj w mieście i zamierzał pojechać rannym pociągiem do syna, który szybko powracał do zdrowia. Doniedawna padał silny deszcz i ulica była pusta, gdy Emanuel wychodził z klubu z podniesionym kołnierzem u palta.

Uszedł zaledwie kilka kroków, gdy z ciemnej bramy wyszedł jakiś człowiek i stanął wprost naprzeciw niego.

Ręka Emanuela sięgnęła do kieszeni, gdyż, co się rzadko u przestępców angielskich zdarza, nosił przy sobie stałe broń.

— Zostaw swoją artylerję, Legge, — rzekł dziwnie znajomy głos.

Emanuel wlepił wzrok w ciemności, ale nie mógł rozpoznać twarzy.

— Kto to?

— Twój stary przyjaciel, — brzmiała odpowiedź. — Nie powiesz mi przeciesz, że zapomniałeś o wszystkich swoich starych przyjaciółach! Niedługo przejdiesz na ulicy koło „oprawcy“, nie witając go.

Emanuel przypomniał sobie nagle.

— A... to Fenner, tak?

— To ja, — potwierdził Fenner. — A któżby inny? Czekałem na ciebie, Emanuelu Legge. Chciałem cię zapytać, czy przypominasz sobie jeszcze człowieka, którego naraziłeś na chłostę... dostałem piętnaście uderzeń. Tyś nigdy takiej porcji nie dostał, co, Legge? To wcale nie takie przyjemne, jak ci się zdaje. Kiedy mię potem zawlekli do celi i nałożyli mi opatrunki, przez tydzień leżałem na brzuchu. Przeszkadzało mi to oczywiście w spaniu, ale bardzo pomagało w myśleniu. I tak sobie myślałem, że tysiącka za uderzenie toby nie było za wielkie żądanie wobec człowieka, który mię tego nabawił.

Wargi Legge'a wyduły się pogardliwie.

— O, wymuszenie, co? Piętnaście tysięcy funtów — to twoja cena?

— Z piętnastoma tysiącami mógłbym się zabrać do czegoś, Legge. Mogę wyjechać w podróż, zabawić się — może wynająć sobie dom na wsi.

— Może lepiej zamieszkać w Dartmoor? — rzekł Emanuel.

— Nie dostaniesz ode mnie piętnastu tysięcy funtów —



ani piętnastu tysięcy centów, ani piętnastu tysięcy ziarenek piasku. Wynos się!

Ruszył szybko naprzód, a Fenner usunął mu się z drogi. Zobaczył, co Legge miał w ręku.

Emanuel odwrócił się i szedł naprzód bokiem, obserwując Fennera bacznie i przygotowany na odparowanie ataku.

— Ładny rewolwer masz, Legge, — rzekł były więzień wolno. — Może spotkam cię w tych dniach, gdy nie będziesz miał okazji wydobyć go.

Emanuelowi Legge przysła nagle nowa myśl. Wolno powrócił do Fennera i rzekł łagodnym, pojednawczym tonem:

— POCO te skandale, Fenner? Ja cię nie oskarżyłem. Pół tuzina ludzi widziało, jak uderzyłeś „oprawcę“.

— Ale nie zgłosili się jako świadkowie, prawda? — rzekł Fenner z hamowaną wściekłością. — Ty byłeś jedyny; żadnego „oprawcy“ nie było w pobliżu.

— To już dawne sprawy, — rzekł Emanuel po chwili. — Nie będziesz się przecież teraz o to awantuował? O piętnastu tysiącach funtów nie może być mowy. Śmieszną rzeczą jest żądać tego ode mnie. Ale jeżeli ci parę setek wystarczy, to dobrze, przysłę ci.

— Chcę je dostać zaraz, — rzekł Fenner.

— Nie możesz ich dostać zaraz, bo ich nie mam przy sobie, — odparł Emanuel. — Powiedz mi, gdzie cię można znaleźć, przysłę ci jutro rano przez chłopca.

Fenner zawahał się. Zdziwiony był, że ma dostać nawet paręset funtów.

— Mieszkam w Rowton House, Wimborne Street, Pimlico.

— Pod własnym nazwiskiem?

— Pod nazwiskiem Fenner, — rzekł więzień wymijająco, — to dla ciebie wystarcza.

Emanuel powtórzył adres, aby go zapamiętać.

— O dziesiątej dostaniesz pieniądze, — rzekł. — Głupi jesteś, że się ze mną kłócisz. Mógłbym cię naprowadzić na interes, przy którym zarobiłbyś nie piętnaście, ale dwadzieścia tysięcy.

W głosie włamywacza nie brzmiała już najłżejsza nuta gniewu, gdy zapytał:

— Gdzie?

— Jest taki dom na Berkeley Square, — rzekł Emanuel szybko i wymienił numer.

Prawdziwe szczęście, że przypomniał mu się ten niewygodny przedmiot najmu. Wiedział, że dom był chwilowo pusty i strzeżony tylko przez jednego dozorcę.

— Zaczekaj chwilkę, — rzekł i powrócił do klubu, do swego małego biura, położonego na trzecim piętrze.

Otworzył szufladę biurka i wyjął z niej mały pęk kluczy, duplikaty kluczy owego domu, które kazał sporządzić w owym krótkim czasie, gdy klucze te znajdowały się w jego ręku. Fennera zastał tam, gdzie go opuścił.

— Tu masz klucze. Dom jest pusty. Jeden z naszych towarzyszków pożyczył je sobie i w ostatniej chwili dostał pietra. Są tam klejnoty, na jakieś osiem tysięcy funtów, w kasie ogniotrwalej. Odrazu zauważysz — zaraz w dużym salonie — w szklanych kasetkach — nie można się omylić. Poza tem majątek w nakryciach stołowych.

Fenner pobrzękiwał kluczami.

— Dlaczego nie zabrałeś?

— Bo to już nie dla mnie, — rzekł Emanuel. — Jestem teraz uczciwym człowiekiem. Ale żądam swojej części, Fenner. Nie wyobrażaj sobie, że dostaniesz to darmo.

Masz kilka nocy czasu na tę sprawę. Potem nic już nie będzie można zrobić, bo rodzina wraca.

— Ale dlaczego oddajesz mi ten interes? — zapytał Fenner, ciągle jeszcze nieufny.

— Bo nie mam nikogo innego, — brzmiała przekonująca odpowiedź. — Może zresztą klejnotów wcale tam już nie ma, — ciągnął Emanuel szczerym tonem. — Może je wywieziono. Gdybym miał odpowiedniego człowieka, nie oddałbym ci tej sprawy — bo nie wiem, czy dostanę swój udział.

— Będziesz go miał, — rzekł Fenner gwałtownie. — Głupcem jestem, że się na to puszczam. Wiem przecież, jaki z ciebie zdrajca. Ale zaryzykuję. Jeżeli mię tym razem zasypiesz, Emanuelu, zabiję cię. Mówię poważnie!

— Dość już mam tego gadania o mojem zamordowaniu, — rzekł Emanuel. — Jeżeli nie masz ochoty, oddaj klucze. Przysłę ci jutro rano parę setek i to jest wszystko, co mogę dla ciebie zrobić. Dawaj klucze.

— Namysłem się, — rzekł Fenner i odszedł.

Była godzina pierwsza w nocy. Emanuel powrócił do klubu i wjechał automatyczną windą na trzecie piętro.

— Wszyscy wyszli, Stevens? — zapytał.

Portjer, powstrzymując ziewanie, zaprzeczył ruchem głowy.

— Jest jeszcze jakaś pani i jakiś pan, — zaakcentował ten wyraz, — w numerze ósmym. Klóćą się od dziewiątej, powinnyby już właściwie skończyć.

— Połącz moje biuro z centralą telefoniczną, — rzekł Emanuel.

Za pulpitem portjera znajdowała się mała tablica rozdzielcza i Stevens wsadził odpowiednią zatyczkę.

Mr. Legge miał wielu przyjaciół wśród niższych urzędników Oddziału Kryminalnego. Znajomości te kosztowały

go nie mało, ale były dla niego niekiedy niezmiernie pożyteczne. Tej nocy szczęście czy nieszczęście Emanuela chciało, że zastał sierżanta Shilto w jego biurze. W jakimś teatrze popełniono kradzież pereł i sierżant był jeszcze tą sprawą zajęty.

— To pan, Shilto? — zapytał Legge cicho. — Tu mówię Manileg. — Wymienił swój adres telegraficzny, którego używał jako *nom de plume* w pertraktacjach na temat drażliwych spraw.

— Tak, mr. Manileg? — odpowiedział urzędnik, którego uwaga została podniecona, gdyż Emanuel nie zwykł wzywać policji, o ile nie zaszedł ważny wypadek.

— Chce pan mieć dobry polów? — zapytał Legge prawie szeptem. — Niejaki Fenner —

— Były więzień? — zapytał Shilto. — Tak, widziałem go dzisiaj. Cóż on robi?

— Poszedł po trochę zastawy srebrnej pod Nr. 973 na Berkeley Square. Niech pan będzie przy głównych drzwiach, zobaczy go pan napewno przy wchodzeniu. Ale musi pan być ostrożny, on ma rewolwer. Jeżeli się pan pośpieszy, będzie pan tam przed nim. Dobranoc.

Odwiesił słuchawkę i uśmiechnął się. Naiwność przeciętnych przestępców zawsze bawiła Emanuela.

## ROZDZIAŁ XXIV.

Piotr przesłał otrzymane od Legge'a zaproszenie piśmienne dalej. Johnny Gray dostał jego list z pierwszą pocztą. Siedział, owinięty w jedwabny szlafrok, w wielkim fotelu i wsparł podbródek na dłoniach; a gdy rozważny Parker zastał go w tej pozycji, nie przeszkadzał mu w rozmyślaniach, aż Johnny, który przeczytał list po raz drugi, podarł arkusik na kawałeczki i wrzucił do kosza.

Miał on dziwne przyzwyczajenie komunikowania wszystkich zajmujących go zagadnień, bądź wprost, bądź pod przenośnią, swemu słudze, którego nic nie mogło wytrącić z równowagi.

— Parker, jakbyś się ubrał, gdybyś był zaproszony na obiad do lwiej jaskini?

Parker spojrział na niego w zamyśleniu, gryząc wargi.

— To zależałoby w zupełności od tego, sir, czy przy obiedzie byłyby i panie, czy też nie, — rzekł. — W tym niezwykłym wypadku trzebaby włożyć frak i biały krawat.

Johnny wydał coś w rodzaju westchnienia.

— Takie obiady zdarzały się już, sir, — pośpieszył dodać Parker, aby go przekonać, że mówił zupełnie poważnie.

— Przypominam sobie, że w moich chłopięcych czasach do miasta naszego przyjechała menażerja, a jednym z naj-

lepszych numerów był obiad, podany w jaskini pełnej dzikich lwów; i przypominam sobie doskonale, że pogromca nosił frak i biały krawat. Nosił też sztylpy, — dodał po chwili namysłu, — których oczywiście gentleman nigdy do fraka nie włoży. Ale to był przecież cyrkowiec.

— Przypuśćmy jednak, że pogromca miałby jakieś interesy z lwami do omówienia? Czy nie byłaby wówczas wskazana kompletna zbroja? — zapytał Johnny bez uśmiechu.

Parker zastanawiał się przez chwilę nad tem pytaniem.

— Tuby zrobiło z obiadu zabawę kostjumową, sir, — rzekł, — przyczem oczywiście każdy strój jest dozwolony. Co do mnie osobiście, — dodał, — pod żadnym warunkiem nie zgodziłbym się jeść w jaskini lwów.

— Tej odpowiedzi się spodziewałem; to najmądrzejsza rzecz, jaką dziś rano powiedziałeś, — rzekł Johnny. — Tem niemniej nie pójdę za twoją wspańiałą radą. W czwartek wieczór będę jadł obiad w klubie Highlow. Przynieś mi gazetę poranną; nie przejrzałem jej jeszcze.

Obojętnie przerzucał stronicę za stronicą, wypadki polityczne, które podniecały wówczas Londyn, nie odgrywały roli w jego życiu. Natomiast na jednej ze środkowych stronic znalazł krótką notatkę, która go zainteresowała. Dotyczyła ona aresztowania włamywacza, który został schwytany na gorącym uczynku na Berkeley Square. Człowiek ten podał, że nazywa się Fenner. Johnny potrząsnął smutno głową. Co do osoby złodzieja nie mógł mieć wątpliwości, gdyż kradzieże z włamaniem były specjalnością Fennera. Ponieważ wiadomość nadeszła do redakcji nad ranem, brak było szczegółów. Johnny odłożył gazetę i zatopił się w myślach.

Biedny Fenner! Musiał powrócić do tego piekła, którego grozę przewyższało tylko Keytown Jail. Ten los zostanie

mu w każdym razie zaoszczędzony, jeżeli prawdą było, co mówił Craig. Johnny rzucił okiem na zegarek, przekonał się, że było blisko jedenastej i wstał. Miał tego dnia jeść śniadanie z Marney. Piotr miał ją przywieźć do miasta, umówili się na dworcu Victoria.

Od czasu zwolnienia z Dartmoor Johnny nie miał sposobności pomówić z dziewczyną spokojnie, a ten dzień miał być radosnym dniem jego życia. Na dworcu musiał czekać, gdyż pociąg spóźnił się; a kiedy w roztargnieniu obserwował gorączkowy ruch dokoła siebie, chodząc po wielkiej hali dworcowej, zauważył kącikiem oka, że jakiś człowiek zbliżał się do niego.

Johnny posiadał ów szósty zmysł, wspólny zarówno badaczowi, jak detektywowi i przestępcy. Zanim jeszcze brudno ubrany człowiek odezwał się do niego, wiedział, że człowiek ten ma go na oku. Wkrótce poznał w nim jednego z więźniów dartmoorskich, który, jak sobie przypomniał, przybył do więzienia w tym samym czasie i za to samo przestępstwo, co Fenner, choć opuścił ponury zakład wkrótce po przybyciu Johna.

— Szedłem za panem aż tutaj, mr. Gray, bo nie chciałem do pana przemówić na ulicy, — rzekł nieznajomy, napozór zatopiony w gazecie popołudniowej i, jak tacy ludzie często robią, mówiący bez poruszania wargami.

Johnny czekał, zapytując siebie, co były więzień miał mu do powiedzenia, nie wątpił jednak, że ma to coś wspólnego z Fennerem.

— Legge wpakował starego Fennera do dziury, — rzekł włamywacz. — Chciał sobie wziąć trochę srebra z domu na Berkeley Square, a Shilto czekał na niego w hall'u.

— Skąd wiecie, że go Legge wpakował? — zapytał Johnny zaciekawiony.

— Była to prawidłowa zdrada, — odparł włamywacz, nie zadając sobie trudu udzielania bliższych wyjaśnień. — Gdyby pan mógł przemówić za Fennerem słówko, byłby panu bardzo wdzięczny.

— Ależ, drogi przyjacielu, — rzekł Johnny z lekkim uśmiechem, — u kogóż mam to słówko przemówić? Gdyby to szło o moją rodzoną ciotkę, nie mógłbym w tych warunkach nic dla niej zrobić. Zobaczę jednak, co się da zdziałać.

Nie potrzebował odsyłać petenta. Bystreimi zmysłami złodzieja zauważył on, jak oczy Johna Gray'a rozbłysły i natychmiast poznał przyczynę. Johnny podszedł szybko do dziewczyny, i nie zważając na obecnych ani na Piotra Kane, pochwyił obie jej dłonie. Piękna jej postać była dla niego zawsze radosną niespodzianką, wdźwięk jej zawsze wydawał mu się nowy.

Kiedy wsadził ją do taksówki, Piotr odwołał go skiniemieniem nabok.

— Ten obiad w Highlow nie wydaje mi się zupełnie w porządku, — rzekł. — Uczty miłosne nie są specjalnością Emanuela, i z jakiejś strony padnie cios, Johnny. Spodziewam się, że jesteś na to przygotowany?

Johnny skinął głową.

— Emanuel nie bywa zwykle tak otwarty, — rzekł. — Cała ta historia jest rzeczywiście tak prosta, że nie mogę się spodziewać niczego innego, jak próby załatwienia sprawy Marney.

Twarz Piotra spochmurniała.

— Tu niema nic do załatwiania, — rzekł szorstko. — Jeżeli popełnił bigamję, musi iść do więzienia. Rozumiesz to, Johnny. Będzie to oczywiście bardzo przykre, bo imię Marney dostanie się na języki, ale muszę tę sprawę przeprowadzić.



Zwrócił się do odejścia, kiwnął ręką, a Johnny powrócił do dziewczyny.

— Co jest z ojcem? — zapytała Marney, gdy auto wyjechało z dworca. — Od kilku dni jest taki cichy i zamysłony. Biedaczysko martwi się pewnie o mnie. Ale nie ma powodu, bo nigdy nie byłam szczęśliwsza.

— Dlaczego? — zapytał Johnny bez namysłu.

— Bo... ach, bo, — rzekła, a twarz jej okrył lekki rumieniec. — Bo wkrótce będę znowu niezamężna. Ta myśl była dla mnie straszna, Johnny. Nie ma pan pojęcia, jak straszna! Rozumiem teraz, dlaczego biedny ojczulek tak troszczył się o to, żebym przez małżeństwo weszła do dobrego towarzystwa. — Zmysł humoru, którego nigdy nie mogła przewyciężyć, pokonał jej lęk. — Nie wiem, czy pan zrozumie niemoralne uczucie powagi, jakie mię przeniknęło, gdy się dowiedziałam o tylu nieprawnych czynach ojczulka! Bzika odziedziczyłam pewnie po nim.

— Był to dla pani ciężki cios, Marney? — zapytał Johnny spokojnie.

Marney skinęła głową.

— Tak, ale cios duchowy jest jak cielesny. Boli, lecz ból przemija. Nie jest to miłe, gdy się jest przemocą zmuszoną do spoglądania na rzeczy innym okiem. To bardzo boli, Johnny. Ale zdaje się, że gdy się dowiedziałam... — Zawahała się.

— Gdy się pani dowiedziała, że ja jestem złodziejem.

— Gdy się dowiedziałam, że pan — o, Johnny, dlaczego pan to zrobił? Pan był przecież takim wybitnym człowiekiem; człowiekiem z uniwersyteckim wykształceniem, gentlemanem — Johnny, to było nieładnie z pańskiej strony. Ojczulek jest wytłumaczony; opowiedział

mi o swojej młodości, o walkach, o straszliwie trudnym życiu. Ale pan miał przed sobą inne zupełnie drogi. Pieśniadze bez pracy nie mają przecież wartości, prawda, Johnny?

Johnny milczał, a ona westchnęła szybko i głęboko i uśmiechnęła się znowu.

— Nie przyjechałam, żeby panu prawić morały, nie zapytam nawet, czy pan w przyszłości ze względu na mnie pozostanie na prawej drodze. Gdyż, Johnny, — położyła chłodną dłoń na jego dłoni, — nie jestem dobrą wróżką z bajki, która chciałaby bronić pana przed nim samym.

— Jestem dostatecznie broniony, — rzekł Johnny z dziwnym uśmiechem. — Ma pani w zupełności rację: nie miałem najmniejszego powodu, aby zostać złodziejem. Byłem ofiarą okoliczności. Może to był urok gry — nie, nie, to nie to. W najbliższych dniach wyjaśnię pani, dlaczego opuściłem ścieżkę cnoty. Jest to długa i bardzo dziwna historia.

Marney nie wspomniała więcej jego błędu i była przy lunchu wesoła jak zwykle. Johnny zauważył z zadowoleniem, że nie nosiła już platynowej obrączki, a zamiast niej miała zwykły, prosty pierścionek złoty, ozdobiony turkusem. Johnny podarował jej ten pierścionek, nagrodę w programowym konkursie strzeleckim, gdy ujrzał ją po raz pierwszy na wiejskiej zabawie dobroczynnej, a pierścionek został przyjęty równie niewinnie, jak niewinnie był ofiarowany. Wartość jego nie przekraczała funta; ale wszystkie miliony świata nie sprawiłyby Johnowi teraz tyle radości, co widok tego pierścionka na jej palcu.

Po lunchu Marney powróciła znowu do poważnych tematów rozmowy.

— Johnny, będzie pan przecież teraz ostrożny? Ojciec powiada, że Jeff Legge nienawidzi pana, i traktuje to zupełnie poważnie. Mówi, że Jeffrey i jego ojciec nie cofnęliby się przed niczem, aby zaszkodzić panu — i mnie, — dodała.

Johnny pochylił się nad stołem i rzekł głosem stłumionym:

— Marney, kiedy ta sprawa zostanie załatwiona — myślę, kiedy pani małżeństwo zostanie rozwiązane — czy zechce mię pani — czemkolwiek jestem?

Marney spojrzała mu śmiało w oczy i skinęła głową. Były to bardzo dziwne oświadczenia, a Jeffrey Legge, który widział ich spotkanie na stacji, śledził ich w drodze, a teraz obserwował z balkonu restauracyjnego, czuł, jak krew napływa mu do twarzy, gdy odgadł znaczenie tej sceny.

## ROZDZIAŁ XXV.

W czwartek popołudniu Emanuel Legge wysiadł z windy w klubie Highlow, i skinąwszy lekko głową Stevensowi, ciężkim krokiem ruszył przez zasłany dywanem korytarz. Otworzył drzwi swego małego biura i wszedł. Przez pół godziny siedział nieruchomo przed biurkiem, pogrążony w myślach. Potem otworzył pulpit i nacisnął dzwonek z boku. Zaledwie palec jego puścił guziczek, gdy zjawił się starszy kelner restauracji, wysoki Włoch o niemiłym wyglądzie.

— Fernando, czy wszystko przygotowane do dzisiejszego obiadu?

— Tak jest, — odparł kelner.

— Najlepsze wina? najlepsze, jakie są?

Spojrzał na kelnera i uśmiechnął się, ukazując zęby.

— Najlepsze, — odparł Fernando żywo.

— Będzie nas czterech: ja i major Floyd, mr. Johnny Gray i Piotr Kane.

— Pani nie przyjdzie? — zapytał Fernando.

— Nie, nie będzie z nami jadła dzisiaj wieczorem, — rzekł Emanuel ostrożnie.

Kiedy kelner znikł, Legge wstał, zaryglował drzwi i począł starannie badać pulpit. Sprawiało mu wyjątkową

przyjemność otwierać szuflady i przeglądać małe pod-  
ręczniki, wypełniające wgłębienie pod półką na papiery.  
Było to biurko Jeffa, a Jeff był żrenicą jego oka.

Potem podszedł do pewnego rodzaju szafki o wielu  
szufladach, stojącej pod ścianą, wsadził rękę do jednej  
z szuflad, przekręcił dźwignię i pociągnął ją. Szafka  
otworzyła się jak drzwi, a za nią ukazały się wąskie, krę-  
cone schody, prowadzące w górę i nadół. Pozostawił ta-  
jemne drzwi otwarte i przekręcił jakiś kontakt; na schodach  
zabłyło światło. Przez chwilę wahał się, czy pójść w górę,  
czy w dół, i zdecydował się na to ostatnie.

U stóp schodów znajdowały się drugie drzwi, przez  
które dostał się do piwnic domu. Gdy otworzył drzwi,  
uderzyła go fala tak gorącego powietrza, że przez chwilę  
nie mógł oddychać. Sala piwniczna, w której się znaj-  
dował, była pusta, z wyjątkiem stołu, na który padało  
zgóry jasne światło, i olbrzymiego pieca hutniczego, z któ-  
rego biło przerażające gorąco. Było to jak łaźnia turecka,  
a po kilku krokach pot spływał mu strumieniami  
z czoła.

Przy stole siedział barczysty, krępy człowiek. Przed  
nim leżała otwarta, gruba książka. Na dźwięk klucza  
w zamku odwrócił się i szedł teraz naprzeciw przybyłemu.  
Był to mieszaniec, a prócz niebieskich spodni ze zwy-  
czajnej bawełny nie nosił nic. Żółta skóra i dziwnie zwie-  
rzęcy wyraz twarzy czyniły zeń istotę odrażającą.

— Napalone w piecu, Pietro? — zapytał Emanuel  
łagodnie i zdjął okulary, aby zetrzeć parę, która się na  
nich zebrała.

Pietro mruknął coś przed siebie, podniósł żelazny po-  
grzebacz i otworzył drzwiczki pieca. Emanuel szybko  
zasłonił twarz rękoma, aby się ochronić przed bijącym  
z pieca żarem.

— Zamknij, zamknij! — zawołał gniewnie, a gdy Pietro usłuchał, podszedł bliżej do pieca.

Dwie stopy przed piecem znajdował się skrzynkowy wylot, który prowadził z wysokości dwóch stóp ponad ziemią w stronę sufitu. Człowiek niewtajemniczony przypuszczałby, że jest to szyb powietrzny, regulujący wentylację. Ale Emanuel nie był niewtajemniczonym. Wiedział, że szyb ten prowadził aż na dach i miał bardzo proste przeznaczenie.

— Dobry ogień napaliłeś, Pietro? Mógłbyś w nim spalić człowieka, co?

— Wszystko spalić, — mruknął mieszaniec, — tylko nie człowieka.

Emanuel zachichotał.

— Boisz się, żebym cię nie zmusił do morderstwa? Well, pozbadź się obaw, — rzekł. — Ale temperatura jest dostateczna, żeby stopić miedź?

— Ani śladu nie zostanie.

— Co się ostatnio paliło?

Mieszaniec kiwnął głową i potarł olbrzymie ramiona.

— Byli w ubiegły poniedziałek, w tydzień po tem, jak strzelano do szefa, — rzekł. — Ale ci na górze wiedzieli, że przyjdą, więc nic nie było widać. Piec prawie wystygł.

Emanuel skinął głową.

— Szef powiedział, że piec musi się palić przez tydzień, — rzekł Pietro niechętnie. — To dosyć ciężkie dla mnie, mr. Legge. Czasem aż dusi to gorąco.

— W nocy możesz wychodzić, — rzekł Emanuel, — a bywają tygodnie, w których nie masz nic do roboty. Dzisiaj wieczór będę cię potrzebował... czy mr. Jeff mówił ci?

Mieszaniec skinął głową. Emanuel podszedł do drzwi i zamknął je za sobą. Różnica temperatury była tak wielka,

iż zdawało mu się, że wszedł do lodowni. Kołnierzyk jego zmiękł zupełnie, a ubranie lepiło się na nim, gdy szedł zpowrotem po kręconych schodach, obok drzwi swego biura, na najwyższą platformę, która była tak mała, że stopa jego ledwie na niej stanęła. Zapukał dwa razy do drzwi, do których nie posiadał klucza. Po chwili rozległo się w odpowiedzi pukanie, otworzyło się małe okienko i podejrzliwe, badawcze oko zmierzyło go od stóp do głowy.

Gdy drzwi otworzyły się wreszcie, Emanuel wszedł do małego pokoiku, oświetlonego wielkim, zakratowanym oknem w dachu. Na jednym końcu okna znajdowała się zwinięta roleta, którą w nocy można było zaciągać, aby ukryć światło, które niekiedy wydobywało się z tego pokoju.

Człowiek, który powitał go przyjaznym uśmiechem, był niski i łysy. Mógł mieć koło sześćdziesięciu lat, a osobliwość jego widoku polegała nietyle na zniszczonem ubraniu i drobnej postaci, ile na oprawnym w złoto monoklu, który nosił w prawem oku.

Pośrodku pokoju stał wielki stół, pokryty najczystszy przedmiotami. Był wśród nich i mały mikroskop, a także skrzyneczka, wypełniona małemi, czarnemi flaszeczkami. Pod jasną lampą, wiszącą nisko nad stołem, znajdowała się podłużna płyta mosiężna, przymocowana do stołu, nad którą właśnie grawer pracował — trzymał jeszcze rylec w ręku, otwierając drzwi.

— Dzieńdobry, Lacey. Nad czem pan pracuje? — zapytał Emanuel z wyrazem życzliwości, jaką okazuje zwykle szef cenionemu fachowemu pracownikowi.

— Nad nowemi piątkami, — odparł grawer. — Jeff chce teraz dużo drukować. Mądry chłop. Drugi powiedziałby sobie: „Pracuj płytami fotograficznymi” — wie pan, co to znaczy. Po stu odbitkach druk jest do niuzego,

i zanim się człowiek spostrzeże, o co idzie, zaczyna się gadanie. A płyta mosiężna, to płyta mosiężna, — rzekł z dumą. Wszystkie nowe odmiany można otrzymać bez fotografii. Nigdy nie ufałem nowym metodom — „klatki“ pełne są zuchów, którym się zdaje, że można coś zrobić kamerą i płytą cynkową.

Emanuelowi, Legge sprawiało najwyższą przyjemność słyszeć pochwały Jeffrey'a. Z prawdziwym zadowoleniem oglądał nawpół wykończoną płytę przez swe olbrzymie okulary, a choć nie znał się na sztuce grawerskiej, mógł jednak podziwiać delikatną robotę tego doświadczonego fałszerza pieniędzy.

Na lewo od stołu znajdowało się wgłębienie, które wyglądało jak otwór windy. Był to wylot owego szybu, który prowadził z piwnicy, a miał on tę doniosłą wartość, że jakkolwiek przebiegła byłaby policja, zanim jeszcze zdążyłaby dotrzeć do pokoju grawera, wszelkie dowody winy byłyby wrzucone w otwór i spalone w piecu.

— Pomysł Jeffrey'a. Co za umysł! — rzekł Lacey z podziwem. — Zmniejsza to ryzyko, że tak powiem, do minimum. Pracować dla Jeffa to przyjemność, mr. Legge. Nie pozostawia on niczego przypadkowi.

— Pietro jest ciągle na stanowisku?

Mr. Lacey uśmiechnął się. Zdjął ze stołu inną płytę, którą obserwował przez chwilę.

— Zepsułem ją dziś rano, — rzekł. — Prysnęło mi trochę kwasu. Patrz pan!

Podszedł do otworu, wsadził w niego rękę, naciskając widocznie dzwonek, gdyż z szybu wydobył się słaby dźwięk. Kiedy wyjął rękę, płyta, którą trzymał, znikła. Pod stołem rozleżał się dzwonek.

— Płyta jest stopiona na wodę, — rzekł Lacey. — Nie ma najmniejszej obawy, jeśli tylko Pietro spełnia swój



obowiązek. Oto kim jest Jeffrey! Wspaniałe! Czy pan uwierzy, mr. Legge, że ja do dzisiejszego dnia nie wiem, gdzie się to drukuje? A założę się, że drukarz nie ma najmniejszego pojęcia, gdzie się sporządza klisze. W tym budynku niema człowieka, któryby to chociaż przeczuwał.

Emanuel powrócił do biura z uczuciem szczęśliwego ojca, starannie zamknął za sobą ukryte drzwi i wyszedł do pokoiów klubowych, aby zajrzeć do gabinetu Nr. 13. Stół był już nakryty; na środku stał wielki wazon ze wspaniałymi różami. Przed każdym talerzem znajdowało się kilka rzadko pięknych kieliszków, jakich zwykli goście klubowi nigdy na stołach nie widywali.

Poddawszy pokój krótkiemu badaniu, Emanuel wyszedł zadowolony i udał się nie do swego biura, lecz do portjera Stevensa.

— Dlaczego mam powiedzieć członkom, że wszystkie gabinety są dzisiaj zajęte? — zapytał Stevens. — Musiałem odesłać Lewa Brady, który dobrze płaci.

— Mamy gości, Stevens, — rzekł Emanuel, — i nie chcemy, aby nam przeszkadzano. Przyjdzie Johnny Gray. Nie rób takiej miny; gdybym przypuszczał, że ty trzymasz z nim, nie zostałbyś w tym klubie ani minuty. Piotr Kane będzie także.

— Wygląda mi to na zasadzkę, — rzekł Stevens. — Co mam robić? — zapytał drwiąco. — Za pierwszym krzykiem sprowadzić policję?

— Sprowadź swego przyjaciela z Toronto, — rzekł Emanuel ostro i poszedł do domu przebrać się.

## ROZDZIAŁ XXVI.

Johnny zjawił się w klubie pierwszy i Stevens pomógł mu zdjąć płaszcz deszczowy, przyczem szepnął cicho:

— Rewolwer w kieszeni, kapitanie?

— Nigdy nie noszę broni przy sobie, Stevens. Niedobrze jest przyzwyczajać się do tego.

— Nie sądziłem nigdy, że z pana jest głupiec, — rzekł Stevens równie cicho, jak poprzednio.

— Każdy, kto siedział w więzieniu, należy *ex officio* do starożytnego Zakonu Głupców, — rzekł Johnny, poprawiając krawat przed lustrem. — Co słyhać?

— Nie wiem, — rzekł portjer, schylając się, aby oczyścić buciki gościa. — Ale w gabinecie Nr. 13 dzieją się dziwne rzeczy. Niech pan nie siada plecami do kredensu. Zrozumiał pan?

Johnny skinął głową.

Doszedł do końca korytarza, gdy usłyszał nadjeżdżającą windę i zatrzymał się. Był to Piotr Kane, któremu Johnny powtórzył natychmiast szeptem radę portjera.

— Nie przypuszczam, żeby coś knuli, rzekł Piotr cicho. — Ale jeżeli coś zaczną, pielęgniarka w szpitalu Charing Cross powie: „Co, pan tu znowu!“

Jak Johnny przewidywał, obydwaj gospodarze czekali na nich w gabinecie Nr. 13. Milczenie, które zapanowało w chwili ich przybycia, dla jednego z członków towarzystwa było nieznośne.

— Cieszę się bardzo, że cię widzą, Piotrze, — rzekł wreszcie Emanuel, nie próbując nawet podać mu ręki. — Starzy przyjaciele nie powinni zaniedbywać znajomości. Oto mój syn Jeffrey. Znasz go zapewne, — dodał z uśmiechem.

— Znam go, — rzekł Piotr z twarzą kamienną.

Jeffrey Legge odzyskał już widocznie siły po niemilem przeżyciu.

— Siadajcie, proszę, — rzekł Emanuel, poprawiając krzesła. — Ty tutaj, Johnny.

— Wolę patrzeć na kredens. Lubię bardzo przeglądać się w lustrze podczas jedzenia, — rzekł Johnny, i nie czekając na odpowiedź, usiadł na obranem przez siebie miejscu.

Piotr usiadł natychmiast z lewej strony Gray'a, a Emanuel, którego to chwilowe zawikłanie wytrąciło nieco z równowagi, musiał sam usiąść plecami do kredensu. Johnny zauważył, jak ojciec i syn szybko wymienili spojrzenie; zauważył też, że na kredensie nie było pomocniczych naczyń, do których był on przeznaczony, i zapytywał siebie, jakie to niebezpieczeństwo mogło im z tej strony pokoju grozić.

Obok kredensu wisiała w kącie długa, niebieska kotara, która, jak przypuszczał, zasłaniała drzwi do numeru 12. Piotr, który lepiej znał lokal klubowy, wiedział, że Nr. 12 był salonem i że oba te gabinety razem tworzyły bardzo pożądany apartament, gdy szło o unieszkodliwienie ofiary.

— No, chłopcy, — rzekł Emanuel ze sztuczną wesołością, — niech tu nie będzie kłótni ani zwady. Siedzimy razem przy miłym stole i mamy tylko na celu wynalezienie

jakiegoś wyjścia, które pozwoli uchronić nazwisko mego syna od wszelkiej zmaży, jeśli wolno mi się tak wyrazić.

— Możesz się wyrażać, jak chcesz, — rzekł Piotr. — Naprawienie jego kompromitującej sławy będzie kosztowało więcej niż jeden obiad.

— Jak długich słów ty używasz, Piotrze, — zawołał Emanuel z podziwem. — Moja wina, że ich nie znam, miałem przecież dość czasu na naukę, kiedy siedziałem „po tamtej stronie Alp“. Tyś nigdy nie przechodził przez Alpy, Piotrze? Well, gdyby się nazywały „czas“, byłoby to właściwe słowo. Jedyna rzecz, której się tam ma dość, to czas!

Piotr nie odpowiedział, i tym razem Jeffrey podjął rozmowę.

— Słuchaj, Piotrze, — rzekł, — nie chcę o tej sprawie dużo gadać. Wykładam karty otwarcie na stół. Chcę mieć swoją żonę.

— Wiesz lepiej ode mnie, gdzie jest Lila, — rzekł Piotr. — Nie jest już u mnie na służbie.

— Nie mówię o Lili! — odparł Jeffrey gwałtownie. — Kiedy się o tem zaczyna mówić, zawsze jesteś ciężki na umyśle. Oczywiście ożeniłem się z Lilą, ale ona była już wtedy zameżna, mogę ci tego dowieść.

Rozmowa urwała się w tem miejscu, gdyż kelner wniósł zupę.

— Jakie wino życzy sobie pan, sir?

— To samo, co mr. Emanuel, — rzekł Piotr.

Emanuel Legge zachichotał cicho.

— Nie przypuszczasz chyba, że ci chcę czegoś zadać, co, Piotrze? Jakiż ty jesteś podejrzliwy!

— Wody, — odparł cicho Johnny, gdy kelner zbliżył się do niego.

— Wodna kuracja, Johnny? Słusznie. Młodzieniec twego zawodu powinien mieć zawsze umysł trzeźwy. Ja poproszę szampana, Fernando, major Floyd także. Nic tak nie podnosi na duchu, jak szampan; — rzekł Emanuel.

Piotr baczył pilnie, jak nalewano pieniące się wino do wysokich kieliszków.

— Dość, Fernando, — rzekł Emanuel, który pilnie obserwował wszystko, co się działo.

Kiedy drzwi zamknęły się za kelnerem, Johnny usłyszał wyraźnie szcęk zatrasku.

— Zamykasz nas? — zapytał wesoło. Emanuel uniósł brwi.

— Was miałbym zamykać, Johnny? No, nie przypuszczasz chyba, żebym się obawiał, iż was stracę, jak ty się obawiasz, aby ci Marney nie uciekła?

Johnny wypił łyk wody, patrząc przytem bystro w oczy starego Legge'a. Co było za kredensem? Ta myśl nie dawała mu spokoju. Był to zwykły mebel z ciężkiego mahoniu, nieco wąski, gdyż pokój był niewielki i właściciele klubu musieli się z tego powodu przy urządzeniu gabinetu liczyć z miejscem.

Pod skrajem deski, na której powinny stać pomocnicze naczynia, znajdowały się dwuskrzydłowe drzwi. Czy to było złudzenie? Zdawało mu się, że jedno skrzydło poruszyło się lekko.

— Siedziałeś już kiedy przedtem, Johnny?

Pytanie postawił Emanuel, który mówił najczęściej.

— Wiem, że dostałeś trzy lata, ale czy to był twój pierwszy wyrok?

— To był mój pierwszy wyrok, — rzekł Johnny.

Legge skubał podbródek i patrzył w sufit.

— Byłeś kiedy w Keytown? — zapytał. — Ciebie nie potrzebuję pytać, Piotrze. Wiem, że nigdy nie byłeś w Key-

town ani w żadnej innej klatce, prawda, stary, mądry Piotrze?

— Mówmy o czem innem, — rzekł Piotr. — Nie wierzę oczywiście w to, że Lila była pierw zamężna, jak powiadacie. Za każdym razem, kiedy mówiliśmy o tem, okłamywaliście mię. Powiem ci tylko jedno, Emanuelu, ze względu na naszą dawną znajomość. Zachowałeś się jak świnia i byłeś bliższy śmierci, niż przypuszczasz, bo gdyby ci się udał ten plan, jak się spodziewałeś, zabiłbym cię.

Emanuel uśmiechnął się drwiąco.

— Piotr stanie się na stare lata rycerzem rewolweru, — rzekł. — Po wszystkich naukach, jakich mi udzielałeś! Dziwię ci się, Piotrze. Teraz ja ci powiem, co mam na myśli. — Wsparł się obydwoma łokciami na stole, a podbródkiem na dłoniach, zaś bystre jego oczy, których wyraz potęgowały jeszcze szkła okularów, spoczywały twardo i nieruchomo na twarzy byłego przyjaciela. — Według mojego rachunku jesteś mi winien czterdzieści tysięcy funtów i wiem, że nie otrzymam ich bez walki. Wypłać mi tę sumę, a nie będę robił trudności żonie mego syna, — Zaakcentował ostatnie słowa.

— Daj pokój!

Jeffrey przerwał ojcu gwałtownie.

— Za żadne pieniądze nie pozwolę sobie odebrać Marney. Przyjmijcie to do wiadomości. — Pięść jego spadła z hałasem na stół. — Należy do mnie, Piotrze, i chcę ją mieć. Rozumiesz? Tak, sam ją sobie wezmę.

Johnny odsunął się nieco od stołu i skrzyżował ramiona na piersi, a wargi jego skrzywiły się w lekkim uśmiechu. Prawa jego ręka sięgała po rewolwer, który miał pod pachą: był to maleńki browning, ulubiona broń Johnna w kry-

tycznych momentach. Gdyż drzwiczki kredensu znowu poruszyły się lekko, a Johnny wiedział napewno, że drzwi pokoju były zamknięte. Cała rozmowa o Marney była tylko pretekstem, aby odwrócić jego uwagę.

Talerze powinny być już dawno uprzątnięte, a następne danie podane. Ale ten obiad nie miał mieć następnego dania. Emanuel począł karcić syna z wyrzutem.

— Jeffrey, chłopce mój, nie psuj interesu, — rzekł. — To rzeczywiście...

W tej chwili wszystkie lampy w pokoju zgasły nagle. W jednej chwili stanął Johnny na nogach, oparł się plecami o ścianę i wydobyl rewolwer.

— Co się stało? — rzekł Piotr ostro. — Jeżeli zaczniecie taką grę, za chwilę będzie tu naprawdę trup.

— Nie wiem, — rzekł Emanuel ze swego miejsca. — Jeff, zadzwoń. Przypuszczam, że ktoś przez omyłkę przekreślił kontakt główny.

W pokoju był ktoś jeszcze. Johnny czuł jego obecność instynktownie — ktoś zbliżał się do niego ukradkiem. Wyciągnął rękę, gotów wystrzelić w chwili, gdyby jej dotknięto, i czekał. Minęła sekunda — pięć sekund — dziesięć sekund — potem lampy zapłonęły znowu.

Piotr stał oparty o ścianę z rewolwerem w ręku. Jeffrey i jego ojciec siedzieli na swoich miejscach. Piątego człowieka w pokoju nie było.

— Co to ma znaczyć? — zapytał Piotr podejrzliwie.

— Co to ma znaczyć, drogi Piotrze? Co za pytanie! Nie uczynisz mnie chyba odpowiedzialnym za przerwę w prądzie? Nie jestem monterem. Jestem biednym, starym pijaczyną, który siedział w więzieniu, kiedy inni powinni tam siedzieć — to wszystko, — rzekł Emanuel żartobliwie. — Patrzcież państwo na te stalowe zabawki! To niedobrze, nosić przy sobie broń. Przyjm tę radę od starego

łotra, Piotrze, — zadrwił. — Nie dziwię się Johnowi, on może mieć swoje powody. Siadajcie, głupty, — rzekł rubasznie. — Mówmy dalej.

— Będę mówił dalej, gdy drzwi zostaną otwarte, — rzekł ohnny spokojnie. — I pod tym samym warunkiem schowam rewolwer.

Jednym skokiem znalazł się Emanuel przy drzwiach. Pod uderzeniem jego pięści otworzyły się one szeroko.

— Drzwi mogą być otwarte, jeżeli masz stracha, — rzekł pogardliwie. — To pewnie pobyt w więzieniu narzucił cię tak bojaźliwie. Ze mną było to samo.

Kiedy Emanuel naciskał klamkę, Johnny usłyszał znowu szcęk zatrząsku. Był przekonany, że ktoś stał za drzwiami i że słowa Legge'a przeznaczone były dla tego tajemniczego wartownika. Co to mogło znaczyć?

Piotr Kane popijał szampana, utkwivszy wzrok w gospodarzu. Czy i on usłyszał szmer? Johnny przypuszczał, że tak było. Wypadek ze światłem nie był bez znaczenia. Na jakiś tajemny znak zamknięto główny przełącznik. Drzwiczki kredensu były teraz nieruchome. Kiedy Johnny odwrócił głowę, ujrzał, że oczy Jeffrey'a wlepione były w niego uporczywie. Na co on czekał?

Cokolwiek miało to znaczyć, chwila decydująca była bliska.

— Dziwię się, Gray, że nigdy nie próbował pan szczęścia z „błotem“. — Jeffrey mówił wolno i z namysłem. — Jest to dobry zawód i może pan przytem więcej zarobić, niżby się panu śniło przy szwindlach końskich.

— Może mi pan powie, jak się zabrać do tej zajmującej działalności, — rzekł Johnny chłodnym tonem.

— Napiszę panu wszystko, jeśli pan woli. Będzie potem łatwiej sypać. Albo lepiej, pokażę panu, jak się to robi. Chce pan?



— Nie mogę powiedzieć, aby mię to specjalnie interesowało, ale jestem pewien, że mój przyjaciel, mr. Reeder...

— Pański przyjaciel, mr. Reeder! — powtórzył Jeff drwiąco. — Więc to jest człowiek tych samych przekonań, co pan?

— Wszyscy obywatele, którzy przestrzegają prawa, są ludźmi tych samych przekonań, co ja, — rzekł Johnny poważnie.

Schował rewolwer zpowrotem do kieszeni i trzymał na nim rękę.

— Well, więc jakże z tem wtajemniczeniem?

Jeff wstał i podszedł do kredensu. Schylił się i poruszył widocznie jakiś mechanizm; gdyż deska kredensu poruszyła się automatycznie na niewidzialnej osi i ukazała małą, ale niezwykle skomplikowaną maszynę, w której Johnny poznał natychmiast niewielką prasę drukarską, jakich używają drukarnie pieniędzy do sporządzania ograniczonych seryj przeważnie wysokiej wartości banknotów.

Bezprzykładna odwaga, z jaką Jeff odsłaniał swoją tajemnicę, na chwilę zapała Johnowi dech.

— Moznaby porąbać kredens na kawałki, — rzekł Jeffrey, — a nie znalazłoby się nic.

Nacisnął guzik i natychmiast największe koło maszyny poczęło się kręcić, a wraz z niem z tuzin małych płytek i walców. Trwało to kilka minut, potem Jeff przerwał prąd, dotknął znowu ukrytego mechanizmu i maszyna znikła w oczach gości, którzy w zdumieniu patrzeli na zwykłą deskę zwykłego zupełnie kredensu.

— Łatwy zarobek, co, Gray? — rzekł Emanuel, rzucając na syna spojrzenie radosnego podziwu. — A teraz posłuchajcie, chłopcy. — Powrócił do swego krzesła i mówił dalej rzeczowym tonem. — Chcę wam powiedzieć coś,

co dla was obydwu może być z wielką korzyścią, ale zostawmy chwilowo Marney na uboczu.

Johnny. ciągle jeszcze czujny i podejrzliwy, jak poprzednio, wolno podniósł szklankę.

— Idzie o to... — rzekł Emanuel, i w tej chwili Johnny pociągnął mocno ze szklanki.

Zaledwie płyn dotarł do jego gardła, gdy napróżno spróbował go wypluć. Uczuł ostry, cierpki smak, rzucił szklankę na podłogę i wydobył rewolwer.

Ale nieprzewyciężona moc w jego wnętrzu przemogła jego zmysły i broń wypadła mu z ręki.

Piotr zerwał się, patrząc nieruchomo na Legge'ów.

— Coście zrobili?

Chciał się rzucić na nich, ale zanim zdołał postąpić krok naprzód, Emanuel skoczył na niego jak kot. Chciał się wyprostować, ale czuł się dziwnie słaby, i jakby sparaliżowany. Straszliwe uderzenie pięścią w twarz zwaliło go jak kłodę na podłogę.

— Teraz cię mam! — syknął Emanuel, patrząc zgóry na wroga. — Teraz cię mam, Piotrze! Nigdy jeszcze nie siedziałeś w klatce, co? Zasmakujesz tego teraz!

Jeffrey Legge schylił się i otworzył drzwiczki kredensu; ukazał się zgarbiony człowiek. Był to Pietro, który, skulony jak kot, śmiał się całą gębą, uradowany z przypadającej na niego roli. Emanuel poklepał go po ramieniu.

— Zuch z ciebie, — rzekł. — Każdemu to, co mu potrzebne, prawda? Każdy człowiek ma swój specjalny środek nasenny, Jeff. Wiedziałem, że ten Johnny Gray stawiałby najsilniejszy opór, a gdybym posłuchał twojej rady i dał obydwum *knock-out*, jedenby tylko leżał. Teraz wiedzą, dlaczego światło zgasło. Podnieście ich.

Mały mieszanec musiał być niezmiernie silny, gdyż bez trudu podniósł Piotra i zaniósł na fotel. Potem uniósł

drugiego gościa i położył na kanapce, wydobyl z kieszeni małe pudeleczko, napełnił szprycę do zastrzyków zaskórnych z niewielkiej butelki i spojrzal pytajaco, oczekujac instrukcyj.

Jeffrey skinął głową i igła zanurzyła się w niewrażliwe ciało. Potem podniósł powiekę ogłuszonego i roześmiał się znowu.

— Za pół godziny będzie się mógł znowu ruszać, — rzekł.

— Mój *knock-out* nie działa dłużej.

— Czy potrafisz go znieść po drabinie ratunkowej na dziedziniec? — zapytał Emanuel. — To ciężki chłop z tego Piotra. Jeff, chłopcze drogi, będziesz mu musiał pomóc. Auto stoi na dziedzińcu. I nie zapomnij, Jeff, że o drugiej masz coś załatwić.

Jeffrey skinął głową.

Mieszaniec podniósł znowu Piotra Kane, a Jeffrey, który otworzył drzwi szeroko, pomógł mu znieść nieprzytomnego człowieka przez okno i drabinę ratunkową, choć olbrzymia siła mieszańca nie potrzebowała nawet pomocy.

Nie okazując ani śladu zmęczenia, powrócił nagórę i załadował sobie na plecy Johna. Bez pomocy zniósł go na dziedziniec i wrzucił do oczekującego auta.

Tym razem Jeffrey, owinięty od stóp do głowy w płaszcz nieprzemakalny, z czapką szoferską naciśniętą na oczy, zszedł za nim. Zamknęli starannie drzwiczki auta, a Pietro, który otworzył bramę, rozejrzał się ostrożnie dokoła. Na ulicy było mało ludzi i samochód ruszył szybko, wjeżdżając pełnym pędem na Oxford Street.

Mieszaniec zamknął bramę, wbiegł po drabinie ratunkowej na górę, przeskakując po dwa stopnie i zdał raport swemu zadowolonemu panu.

Emanuel wziął płaszcze i kapelusze obu gości, otworzył szafkę w ścianie i wrzucił je tam; znikły natychmiast.

— Idź nadół i spal je, — rzekł lakonicznie. — Dobrze się ze swego zadania wywiązałeś, Pietro. Masz tu pięćdziesiątkę, żebyś się mógł dziś zabawić.

— Dobrze? — zapytał sługa krótko.

Emanuel zaszczylił go życzliwym uśmiechem. Podniósł z podłogi szklankę Johna, która się nie stłukła, wziął ze stołu kieliszek Piotra i rzucił je tą drogą, którą znikły pałta i kapelusze. Staranne spojrzenie, rzucone na pokój, przekonało go, że po obecności gości nie pozostało ani śladu. Emanuel siadł zpowrotem zadowolony i zapalił długiego papierosa. Dzieło tej nocy nie było dla niego jeszcze zakończone. Jeff pozostawił mu najtrudniejsze może zadanie.

Z małej szafki ściennej wyjął słuchawkę telefoniczną. Musiał czekać dość długo, potem usłyszał głos, po którym poznał Marney.

— To ty, Marney? — zapytał cichym, zręcznie zmienionym głosem.

— Tak, ojczulku. Czy wszystko w porządku? Tak się lękam.

— Wszystko poszło dobrze, kochanie. Johnny i ja zrobiliśmy ciekawe odkrycie. Powiedz Barney'owi, żeby poszedł spać, a sama czekaj na mnie, — otworzysz mi sama, dobrze?

— Czy Johnny wróci z tobą?

— Nie, nie, najdroższa; wracam sam.

— Jesteś pewien, że wszystko jest w porządku? — zapytał przygnębiony głos.

— Bądź spokojna, kochanie. O drugiej będę w domu. Kiedy usłyszysz, że auto staje pod bramą, wyjdź. Nie chcę wchodzić do domu. Wyjaśnię ci wszystko.

— Al...

— Proszę cię, zrób wszystko, jak mówię, kochanie, — szepnął Emanuel i odwiesił słuchawkę, zanim Marney mogła odpowiedzieć.

Ale czy Jeff potrafi to zrobić? Najchętniej byłby pojechał sam, ale na to trzeba by szofera, a nie znał żadnego, któremu by mógł zaufać. On sam nie był dość silny, aby porwać dziewczynę, a przytem nie umiał prowadzić auta — ta sztuka wskutek wieloletniego pobytu w Dartmoor pozostała dlań obca.

Czy jednak Jeff potrafi to zrobić? Wyciągnął ołówek i począł obliczać czas na białym obrusie. Z zadowoleniem schował ołówek i nalał sobie kieliszek szampana, gdy rozległo się lekkie pukanie do drzwi. Zaskoczony spojrzął w tę stronę. Zakazał portjerowi, aby pod żadnym pozorem nie zbliżał się do drzwi gabinetu Nr. 13 i nikogo nie wpuszczał do korytarza, zanim nie otrzyma przeciwnego rozkazu.

*Tap-tap-tap.*

— Proszę, — rzekł Emanuel.

Drzwi otworzyły się. Na progu stał mężczyzna w zniszczonym fraku, źle zawiązanym krawacie i z brakującą spinką u gorsu.

— Czy nie przeszkadzam? — zapytał lękliwie.

Emanuel nie odpowiedział. Przez długi czas siedział nieruchomo i patrzył na dziwne zjawisko. Przybysz, jakby nie domyślając się zdumienia i przerażenia, jakie wywołał swem zjawieniem się, starał się bezskutecznie ukryć w rękawach zniszczone mankiety, zwisające mu prawie do palców.

— Niech pan wejdzie, mr. Reeder, — rzekł wreszcie Emanuel martwym głosem.

## ROZDZIAŁ XXVII.

Mr. Reeder zamknął drzwi i wśród licznych przeproszeń wszedł do pokoju.

— Jest pan sam, mr. Legge? — zapytał. — Myślałem, że pan ma gości?

— Było kilku przyjaciół, ale już wyszli.

— I syn pański także? — Reeder rozglądał się bezradnie po wszystkich kątach pokoju.

— O Boże, co za zawód! Przykry zawód!

Myśl Emanuela pracowała szybko. Według wszelkiego prawdopodobieństwa brudny detektyw obserwował front domu i wiedział, że tamtędy nikt nie wyszedł. Powążył się więc na ryzykowny krok.

— Odeszli przed kwadransem. Piotr i Johnny zeszli po drabinie ratunkowej — na dziedzińcu stał automobil mego syna. Nie lubimy, gdy auto staje przed klubem; ludzie gadają za wiele. A po ostatnich wypadkach, które dostały się do wiadomości publicznej —

Mr. Reeder przerwał mu cichym pomrukiem potakiwania.

— Auto, tak? Widziałem je, jak odjeżdżało i zapytywałem siebie, co to ma właściwie znaczyć — numer XC. 9712, niebieska limuzyna — Daimler — może się mylę, ale zdawało mi się, że to Daimler. Znam się tak mało na automo-

bilach, że mogę się mylić, a wzrok mam już także nie tak dobry, jak dawniej.

Emanuel przeklinał go w duchu.

— Tak, to był Daimler, — rzekł, — kupiliśmy go tanio na licytacji.

Oczy roztargnionego gościa skierowane były na stół.

— Zabrali swoje kieliszki? — zapytał łagodnym głosem.

— To naprawdę piękny zwyczaj zabierać sobie pamiątki po uroczystym dniu. Czuli się panowie zapewne bardzo dobrze?

Jak on wszedł? zastanawiał się Emanuel. Stevens miał kategoriyczny rozkaz zatrzymania go, a Fernando znajdował się na końcu korytarza w kształcie litery L. Jakby odgadzając jego myśli, mr. Reeder rzekł:

— Pozwoliłem sobie na tę swobodę, żeby wejść także po drabinie ratunkowej. Była to bardzo ciekawa próba. Jest się coprawda nieco za starym na eksperymenty, a ja niebardzo lubię wdrapywanie się, zwłaszcza w nocy.

Emanuel poszedł za kierunkiem jego wzroku i spostrzegł, że na czarnych, znoszonych spodniach widniała kwadratowa dziura, przez którą przeglądało nagie, kościste kolano.

— Tak, wszedłem po drabinie ratunkowej i na szczęście zastałem okno otwarte. Myślałem, że zrobię panu miłą niespodziankę. Nawiasem mówiąc, drabina ratunkowa nie prowadzi wyżej, jak na trzecie piętro? To dziwne, bo widzi pan, drogi mr. Legge, mogłoby się przecież zdarzyć, że w razie pożaru ludzie byłiby zagnani na dach. Jeżeli sobie dobrze przypominam, na dachu znajduje się tylko mała, czworokątna nadbudówka — lamus, co? Pozwól mi się pan zastanowić przez chwilę! Tak, wiem napewno, że to lamus.

— Było u mnie dwóch starych znajomych, — przerwał mu Emanuel, — Johnny Gray i Piotr Kane. Zdaje się, że pan zna Piotra?

Mr. Reeder łagodnie skinął głową.

— I podchmielili sobie trochę. Johnny nie jest przyzwyczajony do wina, a Piotr był przez wiele lat abstynentem. — Urwał. — Byli rzeczywiście wstawieni.

— To bardzo godne pożałowania. — Mr. Reeder potrząsnął głową z ubolewaniem. — Co do mnie, jestem wielkim zwolennikiem prohibicji. Zabroniłbym używania piwa i wina, a kotrów, fałszerzy, łgarzy, trucicieli, — urwał przy tem słowie, — czy jak nazwać ludzi, którzy oszołomiają innych środkami nasennymi? — ciągnął. — Zabrali swoje kieliszki, co? Mam nadzieję, że je odniosą. Bardzo przykra byłaby dla mnie myśl, że ludzie, których — hm — lubię, pozwolili sobie na coś podobnego, jak — hm — kradzież — hm — kieliszków.

Znowu melancholijne jego spojrzenie padło na stół.

— I tylko zupa była. To nie przyjęte upijać się, zanim się zjadło zupę, nie! Myślę, w przyzwoitem towarzystwie, — dodał na usprawiedliwienie.

Spojrzał ponad binoklami na otwarte drzwi.

— Pytam sam siebie, — rzekł z naciskiem, — jak oni w tym stanie zeszli sami pociemku po drabinie ratunkowej

Znowu oczy jego bez wyrazu zwróciły się na Emanuela.

— Jeżeli się pan z nimi zobaczy, niech im pan zechce powiedzieć, że obydwóch ich, mr. Kane'a i mr. Johna — jakże on się nazywa? — Gray, tak oczekuję jutro — umówiliśmy się na jutro rano! I że jeżeli nie zjawią się o dziesiątej w mojem mieszkaniu...

Urwał i ściągnął wargi, jakby chciał gwizdnąć. Emanuel zastanawiał się, co teraz nastąpi, i dowiedział się wnet.



— Czy cierpiał pan w Dartmoor bardzo z powodu zimna? Mówiono mi, że zima, zwłaszcza dla ludzi w starszym wieku, jest tam bardzo trudna do zniesienia. Oczywiście, — ciągnął mr. Reeder, — można tam mieć przyjaciół, nawet krewnych. To w każdym razie wielka pociecha, gdy się wie, że syn czy inny bliski krewny znajduje się w tem samym miejscu, prawda? Ale znacznie milej jest żyć sobie wygodnie w Londynie, mr. Legge — mieć, jak pan, miłe mieszkanie w Bloomsbury, chodzić, gdzie się człowiekowi podoba, bez towarzystwa „cienia“, — „cień“ to zdaje się bardzo wulgarny wyraz, który oznacza „dozorcę“, prawda, mr. Legge?

Podszedł do drzwi i odwrócił się wolno.

— Nie zapomni pan, że oczekuję mr. Piotra Kane'a i mr. Johna Gray'a o pół do jedenastej w mojem mieszkaniu, prawda, nie zapomni pan?

Starannie zamknął drzwi za sobą, wziął swój wielki parasol pod pachę i ruszył przez korytarz, na którym Fernando pełnił straż.

— Dobrywieczór, — rzekł mr. Reeder w przejściu.

Fernando był tak zmieszany jego widokiem, że zapomniał języka w gębie i nie odpowiedział na powitanie.

Stevens ujrzał go, jak skręcał w główny korytarz, i stanął z otwartemi ustami.

— Kiedy pan przyszedł, mr. Reeder?

— Nikt nie widział mnie nigdy, jak przychodzę, ale wielu już widziało mnie odchodzącego, — rzekł mr. Reeder wesoło. Z drugiej strony bywają ludzie, których się widzi wchodzących do tego klubu, ale nikt ich nie widzi, jak wychodzą. Nie przechodził tu mr. Gray, albo mr. Kane?

— Nie, sir, — rzekł Stevens zaskoczony. — Czy nie ma ich?

Reeder westchnął ciężko.

— Tak, niema ich, — rzekł. — Mam nadzieję, że nie na długo, ale chwilowo niema ich bezwątpienia. Dobranoc, Stevens. Ale, ale, pańskie nazwisko nie jest przecież Stevens? Zdaje mi się, że sobie pana przypominam, — wykręcił oczy, jakby przypomnienie sobie tego sprawiało mu trudność, — zdaje mi się, że sobie przypominam, iż przed jakimiś, powiedzmy, ośmiu laty, nie nazywał się pan Stevens.

Stevens zaczerwienił się.

— Teraz jestem znany pod tem nazwiskiem, sir.

— Bardzo dobre nazwisko, oczywiście, wspaniałe nazwisko, — mruknął mr. Reeder, wsiadając do windy. — Trzeba przecież spróbować naprawić przeszłość. A ja jestem ostatnim, kto mógłby panu przypomnieć o tem — hm — niepowodzeniu.

Kiedy wyszedł na ulicę, dwaj ludzie, oczekujący na przeciwnym trotuarze, zbliżyli się do niego.

— Niema ich, — rzekł mr. Reeder. — Jak się obawiałem, byli w aucie. Trzeba zawiadomić wszystkie posterunki, zwłaszcza posterunki miejskie w najbliższem otoczeniu Londynu, aby zatrzymano to auto. Pan będzie pilnował tego domu do rana, — zwrócił się do jednego z nich.

— Słucham, sir.

— Przedewszystkiem nie wolno panu spuszczać z oka Emanuela. Aż do rana niech pan za nim idzie wszędzie, gdzieby się udał.

Detektyw, który otrzymał to polecenie, czekał z filozoficzną cierpliwością, która jest najważniejszą zaletą przeciętnego detektywa, do trzeciej nad ranem. Na niebie ukazały się pierwsze blaski wschodzącego dnia, a Emanuela nie było widać. Stevens opuścił służbę w pół godziny po

wyjściu mr. Reedera. O drugiej wyszedł starszy kelner Fernando z trzema innymi kelnerami i zamknął bramę. Potem, kilka minut po trzeciej, ukazała się przysadzista postać mieszańca Pietra. Owinięty był w gruby płaszcz, zamknął za sobą także bramę i znikł w kierunku Shaftesbury Avenue. O pół do czwartej detektyw zlecił pilnowanie domu policjantowi i zatelefonował do mr. Reedera, który pozostał w mieście.

— O Boże! — rzekł mr. Reeder, który w swej przyziasnej pyjanie wyglądał jeszcze komiczniej, choć na szczęście w tej chwili podniecenia nikt go nie obserwował. — Jeszcze nie odszedł, powiada pan? Przyjeżdżam natychmiast.

Było już jasno, gdy mr. Reeder przybył na miejsce. Bramę dziedzińca otworzono wytrychem i mr. Reeder wszedł — znacznie zręczniejszy, niż można było wnosić z jego fantastycznego opisu — po żelaznych schodach na trzecie piętro.

Okno, przez które wszedł poprzedniego dnia, było zamknięte, ale mr. Reeder z wprawą zawodowego włamywacza nacisnął zamek; otworzył okno i wszedł.

Było już dość jasno, aby się zorientować. Z nieomylną pewnością siebie skierował się w stronę biura Emanuela. Drzwi były wylamane, tak że nie potrzebował wytrycha.

Emanuela nie było tutaj, i Reeder wszedł, aby wysłuchać raportu detektywa, który szybko zbadał gabinety klubowe.

— Wszystkie drzwi z wyjątkiem numeru 13 są otwarte, sir, — rzekł detektyw. — Te jedne są zaryglowane od wewnątrz. Zamek otworzyłem.

— Niech pan spróbuje przez Nr. 12, — rzekł Reeder. — Są tam dwa przejścia — przez drzwi, które znajdzie pan w rogu pokoju za kotarą, i przez kredens, który łączy się

z kredensem gabinetu Nr. 13. Jeżeli to możliwe, niech pan nic nie łamie; nie chciałbym, aby moja wizyta tutaj była zauważona.

Poszedł za detektywem do numeru 12. Okazało się, że nie potrzebowali korzystać z przejścia przez kredens, gdyż drzwi, łączące oba gabinety, były otwarte. Reeder wszedł do gabinetu Nr. 13; było w nim absolutnie ciemno.

— Hm, — rzekł mr. Reeder i wciągnął powietrze nosem.  
— Niech pan idzie wzdłuż tej ściany aż do kontaktu. Proszę uważać, żeby pan na co nie nastąpił.

— A co tu jest?

— Zdaje się, że pan znajdzie... już, przekręć pan kontakt.

Detektyw szedł macając wzdłuż ściany, aż natknął się na kontakt i przekręcił go. Ujrzeni to, czego się mr. Reeder spodziewał. Na stole leżała rozciągnięta, nieruchoma postać — był to straszny widok, gdyż morderca Emanuela Lagge użył do swego dzieła pogrzebacza, który leżał wśród połamanych kieliszków na zakrwawionym obrusie, brudny pocięty.

## ROZDZIAŁ XXVIII.

Nie trzeba było wzywać lekarza, aby zadośćuczynić wymaganiom policji. Emanuel Legge zakończył swój zbrodniczy żywot na ziemi.

— Skąd się wziął ten pogrzebacz? — zapytał mr. Reeder, oglądając uważnie narzędzie mordu. Rzucił okiem na kominek. Szufelka i pogrzebacz leżały nietknięte na swoim miejscu, a narzędzie śmierci, które miał w ręku, było znacznie cięższe, niż używane zazwyczaj w salonach.

Szybko przeszukał kieszenie zabitego i znalazł w kamizelce małą karteczkę z numerem telefonu, „Horsham 98 753“. Numer Piotra. Chwilowo nie miało to znaczenia i Reeder odłożył kartkę do innych papierów, które wyjął z kieszeni zamordowanego. Później zjawił się inspektor policji, który miał przeprowadzić pierwsze śledztwo.

— Zdaje się, że była walka, — rzekł mr. Reeder. — Zauważył pan pewnie, że prawy przegub jest złamany. Rewolwer Legge'a leżał pod stołem. Widocznie wydobyl go, ale wytrącono mu go z ręki. Przypuszczam, że jestem już panu niepotrzebny, inspektorze.

Badał właśnie wejście główne, gdy włącznik telefoniczny za pulpitem Stevensa naprowadził go na pewną myśl. Kazał się połączyć z Horsham i mimo wczesnej godziny, natychmiast otrzymał odpowiedź.

— Kto mówi? — zapytał.

— Tu służący mr. Kane'a, — brzmiała ochrypla odpowiedź.

— A, Barney? Waszego pana niema w domu?

— Nie, sir. A kto mówi?

— Tu mr. Reeder... Poprosiłbym miss Kane do aparatu.

— Panienci także niema. Przez całą noc starałem się połączyć z mr. Gray'em, ale jego służący mówi, że wyszedł.

— Gdzie jest miss Kane? — zapytał Reeder szybko.

— Nie wiem, sir. Ktoś zabrał ją w nocy autem. Odjechała i zostawiła drzwi otwarte. Wiatr, który je zatrzaskał, obudził mnie.

Mr. Reeder tak długo zwlekał z odpowiedzią, iż Barney przypuszczał już, że odszedł.

— Czy nikt jej wieczorem nie odwiedzał? Czy telefonowano do niej?

— Tak, sir. Telefonowano koło dziesiątej wieczorem. Sądząc z jej słów, rozmawiała z ojcem.

Znowu zapadło długie milczenie, potem mr. Reeder rzekł:

— Przyjadę zaraz do Horsham, — a z wesołego tonu jego słów Barney zaczerpnął znowu odwagi. Gdyby znał lepiej tego człowieka, wiedziałby, że mr. Reeder robił bardzo spokojne wrażenie, gdy był najbardziej zdenerwowany.

Mr. Reeder odsunął aparat i wstał.

Więc porwali Marney. Innego wyjaśnienia nie było. Zaaranżowali obiad, aby dostać w swoje ręce mężczyzn, którzy mogli jej bronić. Gdzie ich umieszczono?

Powrócił do biura Emanuela Legge, które przeszukiwał właśnie urzędnik policji.

— Chciałbym przede wszystkim znaleźć jakiś papier, dotyczący mr. Piotra Kane, — rzekł, — a może też wpadną panu w ręce plany ulic, zwłaszcza zaś listy do Emanuela

Legge od jego syna. Wie pan przecież, że do biura tego włamano się? Muszą tu być jakieś punkty zaczepienia.

Urzędnik potrząsnął głową.

— Obawiam się, mr. Reeder, że niewiele tu znajdziemy,  
— rzekł. — Dotychczas natknąłem się tylko na stare rachunki i listy handlowe, jakie znajduje się w każdym biurze.

Detektyw rozejrzał się dokoła.

— Kasy ogniotrwalej niema? — zapytał.

W zachowaniu jego nie było już ani śladu trwożliwości lub ustepliwości. Widocznie pochłonięty był zupełnie swojemi funkcjami.

— Owszem, sir, jest za temi boazerjami. Otworzę ją jeszcze dzisiaj rano. Ale nie przypuszczam, aby Legge miał cokolwiek obciążającego w lokalu klubu. Zresztą od wielu lat klubem zarządzał jego syn. Przed nim był zarządzający, który siedzi teraz w więzieniu. A poprzednikiem jego był, jeśli się nie mylę, ów Fenner, który teraz siedzi za włamanie.

— Fenner? — rzekł mr. Reeder. — Nie wiedziałem, że on kiedyś zarządzał klubem.

— Owszem, ale poróżnił się ze starym Legge'iem. Zdaje się, że siedzieli razem w klatce.

Nikt nie twierdziłby, że Fenner nadawał się z usposobienia na kierownika klubu, nawet jeśli szło o klub tego rodzaju; ale w klubie Highlow szło nietylko o inteligencję, ile o pokrewieństwo duchowe z pewnym typem gości.

Reeder pomagał urzędnikowi wyjmować papiery z szuflad, gdy ręka jego natrafiła na jakąś dzwignię.

— Hallo, a to co? — rzekł, odwracając ją.

Cała szafka ścienna odwróciła się wolno, ukazując wejście na kręcone schody.

— To bardzo zajmujące, — rzekł Reeder i wszedł natychmiast na górną platformę. Były tam drzwi, ale wszelkie

usiłowania wyłamania ich okazały się bezowocnymi. Zszedł więc nadół, aż do piwnic, tym razem w towarzystwie urzędnika policyjnego, który badał ten wypadek.

— Dość gorąco, — rzekł mr. Reeder, gdy otworzył drzwi. — Przypuściłbym, że napalone.

Dość długo trwało, aż znalazł włącznik światła elektrycznego. Kiedy zapalił światło, gwizdnął przeciągał. Obok rozżarzonego pieca ujrzał podłużny kawałek metalu, w którym poznał natychmiast kliszę mosiężną, a jedno spojrzenie wystarczyło, aby go upewnić, że była to gotowe do druku klisza do sporządzania banknotów pięciofuntowych.

Piwnica była pusta i na chwilę tajemnica płyty mosiężnej stropiła go.

— Wielkiego Drukarza może jeszcze nie znamy, ale Wielkiego Grawera odkryliśmy napewno, — rzekł. — Klisza ta została wyryta gdzieś nagórze. — Wskazał na szyb. — Co ona tu robi? Naturalnie! — Z triumfem uderzył się w czoło. — Nigdybym nie przypuszczał, że on ma rację, — ale on ma zawsze rację!

— Kto? — zapytał urzędnik policji.

— Mój stary przyjaciel, który wygłosił teorię, że klisze, któremi sporządza się „bloto“, ryte są w pobliżu wielkiego pieca, do którego się je w razie rewizji policyjnej wrzuca i niszczy. Materiał grawerski znajduje się oczywiście na górze. Ale dlaczego zrzucili zupełnie nową płytę, i to w chwili, gdy człowieka, który tu powinien czuwać, nie było, tego nie rozumiem. Chyba że... Przynies mi pan siekiere; chciałbym sobie obejrzeć poddasze.

Platforma górna była za mała, aby móc dobrze operować siekiereą, i minęła prawie godzina, aż drzwi, prowadzące do pokoju grawera, zostały wyłamane. Słońce oświetlało pokój jasno, gdyż okno w dachu nie było zasłonięte. Bystre



oczy Reedera szybko zbadaly stół, potem spojrzal dalej i cofnal się o krok. Pod ścianą potargany i zabrudzony, w pogniecionej koszuli frakowej leżał Piotr Kane, pogrążony w głębokim śnie!

Zawlekli go na krzesło, zwilżyli mu twarz zimną wodą, ale mimo to trwało dość długo, zanim przyszedł do siebie.

— Został uspiiony, to jasne, — rzekł mr. Reeder, szukając na rękach nieprzytomnego śladów krwi. Ale choć pokryte były kurzem i błotem, Reeder nie znalazł na nich ani plamki krwi; zaś pierwsze słowa, jakie wyrzekł Piotr po ocknięciu się, upewniły Reedera w przypuszczeniu, że Kane nie wiedział nic o morderstwie.

— Gdzie Emanuel? — zapytał, nawpół jeszcze nieprzytomny. — Złapaliście go?

— Nie, ale kto inny go złapał, — rzekł Reeder łagodnie, zaś wrażenie, jakie wiadomość ta wywarła na Piotrze Kane, przywróciła mu zupełnie przytomność.

— Zamordowany! — zawołał niedowierzająco. — Jest pan pewien? Naturalnie, to głupota z mojej strony stawiać panu takie pytanie. — Potarł czoło bladą dłonią. — Nie, nie wiem o tem nic. Oczywiście podejrzewa mię pan, ale nie ukrywam wcale, że byłbym go zabił, gdybym go znalazł.

W kilku słowach opowiedział, co się stało podczas obiadu.

— Wiedziałem, że jestem odurzony, ale środki usypiające wywierają na mnie bardzo powolne działanie, i jedynym dla mnie ratunkiem było udawać uspionego. Emanuel uderzył mię w podbródek, co mi dało sposobność do upadku. Znieśli mię na dziedziniec i pierwszego wrzucili mię do auta. Gdy tylko mieszaniec poszedł po Johna, wymknąłem się drugą stroną. Leżało tam sporo starych worków od cementu, rzuciłem więc pęk na dno auta, w nadziei, że w ciemności przyjmą to za moje ciało. Potem położyłem się między skrzyniami i czekałem. Zauważyłem wnet, jak wynieśli

Johna, ale nie miałem możności pomóc mu. Kiedy auto odjechało, a Pietro wszedł zpowrotem na górę, poszedłem za nim. Środek usypiający zaczął widocznie silniej działać, bo gdybym był przy zdrowych zmysłach, przelazłbym przez bramę. Pierwszą moją myślą było, że zabrali mi rewolwer i zostawili pewnie w pokoju. Chciałem otworzyć drzwi, ale były zamknięte.

— Jest pan tego zupełnie pewien, Piotrze?

— Najzupełniej.

— Ile czasu minęło do tej chwili?

— Może z pół godziny. Tyle trzeba mi było, żeby wejść na drabinę, gdyż przez cały czas musiałem walczyć z sennością. Usłyszałem kroki i ukryłem się w drugim pokoju. Potem usłyszałem, jak zamknięto okno. Z obawy, aby mnie nie odkryto, walczyłem co sił ze snem; ale musiałem widocznie zasnąć, bo gdy się ocknałem, było ciemno i zimno i nie słyszałem już żadnego szmeru. Spróbowałem jeszcze raz otworzyć drzwi do gabinetu Nr. 13, ale nie udało mi się. Poszedłem więc do biura Emanuela. Znam ten lokal doskonale: za dawnych czasów, zanim Emanuel poszedł do więzienia, wchodziłem tu i wychodziłem swobodnie i znałem też tajemnicę kręconych schodów, prowadzących na dach. Podejrzywałem zawsze, że nadbudówka, którą urządzili na dachu, jest miejscem, gdzie się drukuje „błoto“. Ale pod tym względem myliłem się, bo gdy przyszedłem do tego pokoju, przekonałem się, że to pracownia grawera. Na skraju szybu leżała klisza. Musiałem być jeszcze trochę nieprzytomny, gdyż strąciłem ją. Z głębi szybu usłyszałem metaliczny odgłos.

— Jak się pan dostał do tego pokoju?

— Drzwi były otwarte, — brzmiała niespodziana odpowiedź. — Zdaje mi się, że to są drzwi, które mogą być otwierane i zamykane tylko od wewnątrz. Właściwe wejście

do tego pokoju znajduje się w biurze Emanuela. Niema innego wejścia ani wyjścia, zarówno z tego pokoju, jak i z piwnicy. Co się potem stało, nie wiem. Musiałem się tu położyć, gdyż środek usypiający zaczął silnie działać. Chciałbym zawiadomić Marney, że już po wszystkim. Będzie się niepokoiła...

Spojrzał w twarz detektywa i nagle ogarnął go lęk.

— Marney! Czy Marney coś się stało? — zapytał szybko.

— Nie wiem. Wyjechała z domu tej nocy — a raczej nad ranem — i od tego czasu jej nie widziano.

Piotr słuchał tych słów w głuchem przerażeniu. Zdawało się mr. Reederowi, że w ciągu kilku minut przybyło mu tyleż lat.

— No, Kane, musi mi pan teraz powiedzieć wszystko, co pan wie o Legge'u, — rzekł Reeder życzliwie. — Nie wątpię, że Jeffrey zawiózł ją na miejsce, gdzie mieści się wielka drukarnia. Gdzie to jest?

Piotr potrząsnął głową.

— Nie mam pojęcia, — rzekł. — Dawniej drukowano „błoto“ w tym domu, w gabinecie Nr. 13. Wiedziałem o tem. Ale gdy się interes powiększył, musiał się młody Legge rozejrzeć za innym lokalem. Gdzie go znalazł, to dla mnie i dla większości ludzi tajemnica.

— Ale musiał pan o tem coś słyszeć? — zapytał mr. Reeder.

Piotr znowu potrząsnął głową.

— Niech pan nie zapomina, że obcuje teraz z niewieloma ludźmi mego byłego zawodu, — rzekł. — Johnny i stary Barney są obok rodziny Legge'ów jedynymi przestępcami, jakich znam. I Stevens naturalnie — przed dziesięciu laty i on siedział. Ze wszystkimi innymi utraciłem wszelki kontakt, a co wiem, dowiaduję się przez Barney'a, choć na jego gadaniu trudno polegać.

Połączyli się z Barney'em telefonicznie, ale i on nie mógł udzielić żadnej pożytecznej informacji.

Wiedział tylko, że drukarnia, jak przypuszczano, znajdowała się gdzieś na zachodzie.

— Johnny wie o tem więcej, niż ja lub ktokolwiek inny. Wszyscy są tego zdania, — rzekł Barney. — Opowiadano mu wiele w „klatce“.

Kiedy mr. Reeder opuścił Piotra, aby się udać do domu, wstąpił po drodze do mieszkania Gray'a. Parker nie spał. Już nad ranem doniesiono mu, że pan jego znikł bez śladu, ale on nie umiał dać żadnego wyjaśnienia.

Zamierzał właśnie wyliczyć wszystko, co pan jego nosił tego dnia, gdy Reeder przerwał mu niecierpliwie.

— Proszę traktować mr. Gray'a jako żywą istotę, a nie manekin krawiecki, — rzekł wściekły. — Czy zdajecie sobie sprawę, że życiu jego grozi niebezpieczeństwo?

— Nie obawiam się o niego wcale, sir, — odparł niewzruszony Parker. — Mr. Gray nosił nowe podwiązki — Tym razem mr. Reeder stracił cierpliwość.

— Jesteście przeklętym idjotą, Parker, — rzekł.

— Nie przypuszczam, sir, — odparł Parker, kłaniając się na pożegnanie.

## ROZDZIAŁ XXIX.

Pięć minut po drugiej w nocy Marney, która siedziała we frontowym salonie, usłyszała, że przed domem zatrzymało się auto. Zeszła do hall'u, otworzyła drzwi i wlepiała wzrok w ciemności.

— Czy to ty, ojczulku? — zapytała.

Ponieważ nie otrzymała odpowiedzi, zbiegła szybko po ścieżce do bramy. Auto było zamknięte. Przez drzwi ogrodowe ujrzała, jak z okienka wysunęła się ręka, kiwająca na nią. Potem doszedł jej uszu szept:

— Nie rób hałasu. Chodź tu, muszę z tobą pomówić. Nie chciałbym, aby mnie Barney widział.

Marney usłuchała oszołomiona. Otworzyła drzwi i wskoczyła do ciemnego wnętrza auta; przy kierownicy siedział jeden tylko człowiek.

— Co się stało? — zapytała.

Ku przerażeniu Marney auto ruszyło natychmiast i wyjechało na szosę.

— Co się stało, ojczu? — zapytała.

Wtem usłyszała cichy chichot, od którego krew zakrzepła jej w żyłach.

— Siadaj za mną. Jeżeli będziesz hałasować, oberwiesz, Marney Leggel

— Jeffrey! — zawołała przerażona.

Uchwyciła wewnętrzną klamkę drzwiczek i przekręciła ją już do połowy, gdy Jeff chwycił ją wolną ręką i rzucił na tył auta.

— Jeżeli zrobisz to jeszcze raz, zabiję cię. — W głosie jego był jakby bolesny jęk, który przypomniiał jej jego ranę.

— Dokąd mnie wiesz? — zapytała.

— Do twego ojca, — brzmiała niespodziana odpowiedź. — Czy będziesz siedziała spokojnie? Jeżeli spróbujesz uciekać lub wołać o pomoc, wjadę całym pędem na najbliższe drzewo i zginiemy razem.

Głos jego brzmiał tak dziko, iż Marney nie wątpiła, że wykonałby swoją groźbę. Mijała mila za milą, auto przejeżdżało przez wsie, zwalniając biegu tylko na odludnych ulicach małych miasteczek. Około trzeciej w nocy rzut oka za okno przekonał ją, że są w Oksfordzie. W ciągu dziesięciu minut przecięli miasto i wyjechali na wielką szosę, wiodącą na zachód. Teraz dopiero stał się Jeffrey Legge po raz pierwszy rozmowny.

— Nie siedziałas nigdy w „klatce“, aniolku? — zapytał.

Marney nie odpowiedziała.

— Nie siedziałas nigdy w pięknej klateczce z rzadkimi okazami kanarków? Well, to doświadczenie czeka cię jeszcze. Wiozę cię do więzienia, dziecię! Piotr także jeszcze nigdy nie siedział, ale dzisiejszej nocy skosztuje tego.

— Nie wierzę ci ani słowa, — rzekła Marney. — Ojciec mój nie popełnił nic sprzecznego z prawem.

— Od długiego czasu, owszem, — przyznał Jeffrey, zřęcznie zapalając jedną ręką papierosa. — Ale teraz czeka go prawidłowa „klatka“.

— Więzienie? — Ciagle jeszcze wątpiła. — Nie wierzę ci ani słowa.

— Powtarzasz mi to po raz drugi, jesteś jedynym żyjącym człowiekiem, który mię tak często nazywał kłamcą.

Skreślił w boczną szosę i przez kwadrans pozostawił ją własnym myślom.

— Może cię zainteresuje wiadomość, że i Johnny tam jest, — rzekł. — Miły, mały Johnny! Najlejszy przestępca, jaki kiedykolwiek istniał, ale tym razem został „dożywotnim“.

Auto zjechało po stromym stoku, a gdy Marney wyjrzała przez spryskaną deszczem szybę, ujrzała przed sobą niski budynek.

— Jesteśmy, — rzekł Jeff, zatrzymując auto. Oniemiała ze zdumienia przekonała się Marney, że Jeff mówił prawdę. Znajdowali się przed wejściem do więzienia. Wielkie czarne wrota, obite żelazem, otworzyły się, auto wjechało przez ciemną bramę i stanęło.

— Wsiadaj, — rzekł Jeff. Marney usłuchała.

Ujął ją za ramię i popchnął przez wąskie, czarne drzwi, prowadzące obok bramy do wnętrza budynku. Znalazła się w niewielkiej izbie, której tynkowane wapnem ściany były poplamione i bezbarwne. Wielki kominek, pełen popiołu, połamane krzesło i chwiejący się stół, przymocowany do ściany, stanowiły całe umeblowanie. Przy mętnym świetle lampy przeczytała Marney prawie nieczytelne już słowa: „Więzienie Królewskie, Keytown“, a pod tem długie, wąskie kolumny przepisów. Człowiek o atletycznej postawie i okrutnym wyglądzie wszedł za nimi do izby, która była widocznie portjernią.

— Czy cela gotowa?

— Tak, — rzekł człowiek. — Czy ona chce coś jeść?

— Niech się głodzi, — rzekł Jeff krótko.

Zdjął płaszcz i powiesił go na gwoździu. Potem chwycił ją za ramię i poprowadził zpowrotem do bramy, przez zakratowane drzwi i znowu przez inne drzwi. Samotne światło paliło się w lichtarzu ściennym w pobliżu drzwi, i Marney zorientowała się, że znajduje się w niewielkim hall'u. Dokoła, na wysokości jakichś dziewięciu stóp od podłogi, biegła galerja, do której prowadziły jedne tylko schody. Nie trzeba było pytać, co znaczyły dwa szeregi czarnych drzwi w ścianie. To były cele. Znajdowała się w więzieniu!

Zanim miała czas ochłonąć ze zdumienia, otworzyły się drzwi, do których ją wepchnięto. Była to mała cela o wydeptanej podłodze, ale w jednym rogu ustawiono nowe łóżko. Była też umywalnia i, jak się wnet przekonała, cela ta łączyła się z drugą, w której ustawiona była wanna.

— Cela skazanych na śmierć, — wyjaśnił Jeffrey Legge z satysfakcją. — Sporo duchów będzie ci tej nocy dotrzymać towarzystwa, Marney.

W głębi serca była przerażona, ale nie okazała ani śladu trwogi, patrząc mu w twarz.

— Duch nie jest dla mnie tak wstrętny, jak ty, Jeffrey'u Legge, — rzekła, a spokój jej zdawał się go zupełnie wytrącać z równowagi.

— Będziesz miała obu, — rzekł, zatraskując za sobą drzwi i zamykając je na klucz.

Celę oświetlało słabe światło, wpadające przez matową szybę w drzwiach. Gdy wzrok Marney oswoił się z półmrokiem, mogła sobie zdać sprawę ze swego położenia. Więzienie musiało być bardzo stare, gdyż ściany były w niektórych miejscach zupełnie wygładzone, zapewne przez plecy nieszczęśliwców, którzy godzinami stali oparci o nie, oczekując swego losu. Marney wzdrygnęła się na myśl o mękach duchowych, jakie przeżyto w tych ścianach.



Gdy stanęła na łóżku, mogła dosięgnąć okna. Było ono z matowego szkła, oprawionego w małe, zardzewiałe ramy. Kilku szyb brakowało, ale Marney domyślała się, że widok z okna nie zapowiadał nic dobrego, nawet gdyby się jej udało wyłamać okno.

Noc była jak na tę porę roku wyjątkowo zimna i wilgotna. Marney zdjęła z łóżka kołdrę, owinęła się w nią, i siedząc na zydlu, czekała dnia.

Kiedy tak siedziała, a oczy wbrew jej woli poczynaly się już kleić ze znużenia, usłyszała nagle ciche pukanie. Szło z góry, a serce jej zabiło na myśl, że w celi ponad nią znajdował się może ojciec... albo Johnny.

Weszła na łóżko i palcami zaczęła uderzać w sufit. Ktoś odpowiedział. Chciano jej zakomunikować coś pukaniem systemem Morse'a, ale Marney nie rozumiała tego. Nagle pukanie ustało. Usłyszała nad sobą kroki. Wtem spojrzała przypadkowo na stłuczoną szybę w oknie i zauważyła, jak przedmiot jakiś opuścił się zwolna i znikł. Wdrapała się do okna, przytrzymała się o nie rękoma i ujrzała zwisającą czarną nitkę. Z pewnym wysiłkiem udało się jej wreszcie pochwycić nitkę dwoma palcami i ostrożnie przeciągnąć przez pękniętą szybę. Na końcu nitki umocowany był, jak się spodziewała, kawałek papieru.

Był to banknot. Patrzała na niego bezradnie, aż wreszcie przyszło jej na myśl, że na odwrotnej stronie jest może coś napisane. Słów, wypisanych ołówkiem, prawie nie można było odczytać; zbliżyła banknot jak mogła najbardziej do światła.

*„Kto to? Czy ty, Piotrze? Jestem nad tobą. Johnny“.*

Marney zdusiła krzyk, który cisnął się jej na wargi. Johnny i jej ojciec byli tutaj. Więc Jeffrey nie kłamał.

Jak miała odpowiedzieć? Nie posiadała ołówka. Potem spostrzegła, że banknot przywiązany był do nitki zapomocą

maleńkiego ołoweczka, jakie widywała przy karnetach balowych. Szybko napisała odpowiedź, wysunęła ją za okno i ujrzała, jak nitka po chwili wciągnięta została do góry. Johnny był tam — i Johnny wiedział o jej obecności. Jakkolwiek czuła się bezsilna, doznała ulgi pod wpływem tej świadomości.

Pół godziny czekała przy oknie, ale rozjaśniło się już, i Johnny uważał widocznie za ryzykowne porozumiewać się z nią nadal.

Wyczerpana położyła się na łóżku, postanawiając czuwać, ale już po pięciu minutach zasnęła twardo. Zerwała się na dźwięk klucza, obracanego w zamku. Był to człowiek, którego widziała po przybyciu; przyniósł dużą tacę, na której znajdowała się zwyczajna filiżanka ze spodeczkiem, sześć kawałków chleba z masłem i olbrzymi czajnik do herbaty. Ponieważ w celi nie było stołu, postawił tacę na łóżku i wyszedł bez słowa. Marney rzuciła okiem na mały zegarek platynowy, który nosiła na przegubie ręki: była godzina dziesiąta. Po pół godzinie człowiek zjawił się znowu i zabrał tacę.

— Gdzie jestem? — zapytała Marney.

— W „klatce“, — odparł spokojnie. — Ale ta „klatka“ jest lepsza od każdej innej, w jakiej pani kiedykolwiek była. I niech mnie pani nie próbuje wypytywać, bo nie doczeka się pani grzecznej odpowiedzi.

O drugiej przyniesiono jej znowu posiłek, a tym razem obsłużono ją lepiej. Sądząc z talerzy, sprowadził Jeffrey specjalnie nowy serwis z Oksfordu. Znowu podjęła próbę dowiedzenia się, co się stało z jej ojcem, ale nie powiodło się jej lepiej.

Wolno mijał dzień; każda minuta wydawała się jej godziną, każda godzina wiekiem. Było już zupełnie ciemno,

gdy zjawił się ostatni gość, tym razem Jeffrey Legge. Na widok jego twarzy przerażenie jej zmieniło się w zdumienie. Był blady jak upiór, w oczach jego połyskiwały dziwne ogniki, ręce drżały mu jak w gorączce.

— Czego chcesz? — zapytała Marney.

— Ciebie, — rzekł złamanym głosem, — aby pomścić śmierć mego ojca.

— Co to ma znaczyć? — zawołała Marney bez tchu.

— Piotr Kane zamordował ubiegłej nocy mego ojca, — rzekł Jeffrey.

— Oszalałeś, — krzyknęła Marney. — Mój ojciec jest przecież tutaj — sam mi to powiedziałeś.

— To było kłamstwo. Nie o to idzie, co ci powiedziałem. Piotr Kane uciekł po drodze do Keytwon. Wrócił do klubu i zabił mego ojca!

## ROZDZIAŁ XXX.

Marney patrzyła na niego, niezdolna przemówić słowa.

— To nieprawda! — zawołała wreszcie.

— Nieprawda, co? — zawył prawie Jeffrey. Nienawiść, wściekłość, dzika żądza zemsty czyniły go prawie szalonym. — Ja ci pokażę, czy to jest nieprawda, moja droga. Jesteś moją żoną — rozumiesz? Jeżeli nie, to zrozumiesz zaraz.

Z ohydny przekleństwem wybiegł z celi, zatrzasnął drzwi i wielkimi krokami pobiegł do domku, zamieszkiwanego niegdyś przez dyrektora więzienia, a obecnie stanowiącego główną kwaterę Wielkiego Drukarza.

Nalał sobie wielki kieliszek wódki i wypił ją jednym haustem. Człowiek, który znajdował się w jego towarzystwie, obserwował go ciekawie.

— Jeff, zdaje mi się, że czas jest ulotnić się. Nie możemy zatrzymywać ludzi dłużej. Boją się!

— Boją się, tak? — powtórzył Jeffrey Legge drwiąco. — Zdaje się, że więcejby się bali, stojąc przed sędzią i przysięgłymi.

— Właśnie przed tą obawą chcieliby się ustrzec, — odparł porucznik jego spokojnie. — W każdym razie, Jeff, sprawa skończy się wkrótce, i sądzę, że dla każdego rozumne go człowieka nadeszła chwila, aby sobie poszukać spokojnego domu z tamtej strony kanału.

Legge zastanowił się przez chwilę, potem rzekł spokojniejszym głosem:

— Może masz rację. Powiedz im, że mogą odejść dziś wieczorem.

Odpowiedź ta zaskoczyła porucznika Drukarza.

— Dziś wieczorem? — powtórzył. — Well, nie wiedziałem, że jest tak pilno.

— Powiedz im, żeby odeszli dziś wieczorem. Pieniądze dostali. Zwijam interes tutaj.

— Kto zamordował twego ojca?

— Piotr Kane, — warknął Legge. — Wiem dobrze. Policja stara się go kryć, ale on jest mordercą. Znalaziono go nad ranem w lokalu klubu.

Przez chwilę siedział w milczeniu, patrząc ponuro na kieliszek w swem ręku.

— Rozpuść ludzi dziś wieczorem, — rzekł. — Wszystkich co do jednego. Sam im to powiem.

— Ja mam także pójść?

Legge skinął potakująco głową.

— Tak; chcę zostać sam. Muszę się dzisiaj wieczorem policzyć z dwojgiem ludzi, — rzucił przez zęby, — i chcę to zrobić dokładnie.

— Niektórzy z ludzi lubią Johnny Gray'a; byli z nim w „klatce“, — zauważył zauszniak Jeffrey'a, ale Legge skłonił go do milczenia przekleństwem.

— To jeszcze jeden powód więcej, żeby ich zaraz odprawić, — rzekł, — muszą się o tem natychmiast dowiedzieć.

Zerwał się i wyszedł z pokoju. Pomocnik szedł za nim w pewnem oddaleniu.

Więzienie miało dwa hall'e, a Jeff wszedł do drugiego z nich, rzęsiście oświetlonego. Drzwi większości cel były usunięte, a niektóre z nich służyły widocznie za sypialnie

dla kilku ludzi, którzy siedzieli dokoła stołu i grali w karty. Tylko drzwi czterech cel pozostały nietknięte, gdyż za nimi znajdowały się czułe prasy drukarskie, które od rana do wieczora produkowały francuskie, amerykańskie i angielskie pieniądze. Z ludzi, którzy siedzieli przy stole, lub podeszli do drzwi swoich cel, aby powitać ukazującego się tu rzadko Legge'a, każdy odbył już długą karę więzienia za fałszerstwo. Jeffrey dobrał ich równie starannie, jak dyrektor teatru dobiera swoje gwiazdy baletowe. Byli to ludzie bez domu, bez rodziny, bez nadziei na przyszłość. Przyzwyczajeni byli do życia więziennego i w nowym trybie swego życia znajdowali pożądaną odmianę dawniejszego bytu.

Władze przypuszczały, że więzienie Keytown Jail znajduje się w ręku syndykatu, zajmującego się badaniami technicznymi niezmiernie skomplikowanej natury, i zezwoliły z łatwością na przeprowadzenie kabli elektrycznych do „laboratorjum”. Jeff znalazł sobie najpewniejsze schronienie w całym kraju, gdzie był bezpieczniejszy, niż gdyby je był sam zbudował.

Przemówienie jego było krótkie i rzeczowe.

— Chłopcy, sądzę, że nadeszła chwila, aby się szybko ulotnić. Każdy z was ma dość pieniędzy, by resztę życia spędzić przyjemnie i wygodnie, radzę wam więc jak najszybciej opuścić Anglję. Macie paszporty; znacie drogę; a chwila jest najodpowiedniejsza.

— Myślisz, że musimy dziś wieczór wyruszyć, Jeff? — zapytał jakiś głos.

— Tak, dziś wieczór. Auto zawiezie was do Londynu; ale narzędzia musicie tutaj zostawić.

— Co zrobisz z fabryką?

— To moja rzecz, — rzekł Jeff.

Propozycja nie znalazła powszechnego uznania, ale respekt dla Wielkiego Drukarza był tak duży, że usłuchali bez sprzeciwu. Około dziesiątej wieczorem w więzieniu znajdował się tylko Jeffrey ze swoim pomocnikiem.

— Nie widziałem, jak Bill Hollis wychodził, — rzekł ten ostatni; ale Jeffrey Legge zbyt był zajęty swymi planami, aby słowom tym poświęcić choćby chwilę uwagi.

— Pomyśl teraz o tem, żebyś ty sam odszedł, Jenkins, — rzekł. — Możesz wziąć swoją dwuosobówkę i pojechać, gdzie ci się podoba.

— Chciałbym zostać do jutra rano, — odparł Jenkins.

— Pojedziesz dziś wieczór. Poczóżbym innych odsyłał?

Zamknął wielkie wrota za autem. Był sam ze swoją żoną i człowiekiem, którego nienawdził. Mógł się teraz zastanowić w spokoju. Dzika wściekłość minęła. Udał się do małej rupieciarni i znalazł wnet, czego szukał. Była to mocna lina. Przewiesił ją przez ramię, wziął latarnię do ręki i wyszedł na dziedziniec, do małej szopy, przybudowanej do ściany gmachu. Otworzył zardzewiałą kłódkę i rozwarł wrota. Szopa była pusta; podłogę zalegała kilkocalowa warstwa śmieci, a Jeffrey przyniósł miotłę i wymiółł ją czysto. Zapomocą drabiny dostał się na belkę, biegnącą ukośnie pod dachem szopy, i uwiązał do niej jeden koniec liny. Kiedy zszedł, strawił pół godziny na sporządzeniu pętlicy.

Znajdował się w dawnym miejscu kaźni więzienia. Pod nogami jego znajdował się groźny potrzask, który za dotknięciem zardzewiałej dźwigni musiał się zapaść. Postanowił go wypróbować i wiele trudu kosztowało go podniesienie potrzasku zpowrotem. Twarz jego złana była potem, gdy wreszcie uporał się z tem. Noc zapadła i błyskawica oświetliła na chwilę ponury zakątek dziedzińca więziennego.

Kiedy powrócił do hall'u, usłyszał daleki odgłos gromu, ale w sercu jego szalała groźniejsza burza, niż w przyrodzie.

Na palcach wszedł po żelaznych schodkach, a gdy stanął przed drzwiami celi Nr. 4 wzdrygnął się. Wróg jego mógł czekać. Zszedł zpowrotem i z biciem serca stanął przed drzwiami celi skazańców. Klucz drżał w jego ręce, gdy go wsadzał w zamek. Bez szelestu otworzył drzwi i wślizgnął się do celi.

Czekał z zapartym tchem, nie wiedząc, czy dziewczyna śpi, czy czuwa. Potem podkradł się cicho do łóżka. Ujrzał zarysy leżącej postaci.

— Marney, — rzekł ochryplym głosem, szukając ręką jej twarzy.

Dwie dłonie, jak stalowe kleszcze, objęły jego gardło i odrzuciły go wtył.

— Teraz mam cię, Jeffrey'u Legge, — rzekł głos — głos Johnny Gray'a.



## ROZDZIAŁ XXXI.

Johnny Gray ocknął się z omdlenia z szalonym bólem głowy i uczuciem dławiącej ciasnoty, pochodzącem, jak odkrył wnet, stąd, że kołnierzyk jego oparł się zwycięsko wszystkim przygodom tej nocy i ciągle jeszcze siedział mocno. Parker byłby z tego bezwątpienia niezmiernie rad, ale Johnny czuł z tego powodu niewysłowioną mękę. Z błyskawiczną szybkością zerwał dławiący go kołnierzyk i stanął na chwiejnych nogach.

Pokój, w którym się znajdował, wydał mu się znajomy. Była to cela i...

Keytown Jail! Przypomnił sobie ostrzeżenie Fennera. Więc Fenner wiedział! Keytown Jail, sprzedane przez rząd — Jeffrey'owi Legge! Myśl ta wydała mu się po-tworna; ale dlaczegożby nie? Więzienie w Hereford kupił handlarz drzewa; firma restauracyjna nabyła stare więzienie na północy Anglii, a w celach podawano podwieczorki.

Teraz rozumiał wszystko. Keytown było kwaterą główną Wielkiego Drukarza. Było to jedyne miejsce, którego policji nigdyby na myśl nie przyszło przeszukiwać, zwłaszcza, jeśli Jeffrey Legge, jak przypuszczał, znalazł jakiś dobry pretekst, pod którym on i jego towarzysze mogli przebywać w tym odosobnionym zakątku świata.

Dźwięk głosów doszedł cicho do jego ucha, potem usłyszał trzask zamykanych drzwi i szcęk zamka: wówczas przypomniały mu się wydarzenia tego wieczora. To musiał być Piotr: i on był w ich mocy. Mimo doznanej porażki, mimo strasznego położenia, w jakim się znajdował, Johnny roześmiał się cicho.

Nad łóżkiem jego znajdowało się okno, w którym nie było prawie całej szyby. Ale ucieczka tą drogą była wykluczona. Przyszło mu na myśl, aby się schylić i zapukać metodą Morse'a. Jeśli to był Piotr, powinien zrozumieć. W odpowiedzi usłyszał słabe pukanie, a gdy zasygnalizował ponownie, zrozumiał, że ten, kto był w celi na dole, nie znał systemu Morse'a. Przeszukał kieszenie i znalazł mały koniuszek ołówka, ale ani kawałek papieru, z wyjątkiem paczki banknotów pięćofuntowych, których wrogowie jego nie tknęli. Papier i ołówek miał więc już, ale w jaki sposób mógł się skomunikować z mieszkańcem celi, położonej pod nim? Natychmiast powziął plan, odebrał podszewkę fraka i wyciągnął z niej długą nitkę jedwabną. Potem przymocował ołówek i wolno spuścił banknot przez okno, w nadziei, że jego towarzysz niedoli, mimo całego nieprawdopodobieństwa, zauważy uczeplony na nitce kawałek papieru.

Z radością uczuł, że nitkę pociągnięto, a gdy po kilku minutach wciągnął ją zpowrotem, znalazł pod własnym listem wiadomość, od której serce jego zadrżało trwożą.

Marney tutaj! Na tę myśl jęknął głośno. Było już za jasno, aby się odważyć na dalsze porozumiewanie. Umywalnia i miska z wodą posłużyły mu do ochłodzenia rozpalonej głowy; a gdy przyniesiono śniadanie, był gotów.

Człowiek, który wniósł tacę, był dlań równie obcy, jak towarzysz jego, który z rewolwerem w ręku pełnił straż pod drzwiami.

— Cóż to za pomysł? — zapytał Johnny chłodno, siedząc na łóżku ze spuszczonei nogami. — Więc Jeff kupił więzienie, żeby tu pracować? Czy nie taniej byłoby po prostu przejść „przez Alpy“?

— Milcz, Johnny Gray, — mruknął dozorca. — Przeżyjesz jeszcze niejedną niespodziankę, zanim stąd wyjdiesz.

— Czemu nie? — rzekł Johnny. — Gdzie Piotr?

— Wiesz dobrze, że Piotr uciekł, — rzekł dozorca bez namysłu.

— Uciekł! — zawołał Johnny z radością. — Mówisz poważnie?

— To wszystko jedno, — mruknął dozorca, spostrzegłszy się, że powiedział za wiele. — I trzymaj język za zębami, Gray, to będziesz traktowany jak należy. Jak nie, to jest tu dosyć ludzi, którzy obejdą się z tobą tak, że Dartmoor wyda ci się w porównaniu z Keytown rajem.

Zatrzasnął Johnowi drzwi przed nosem, ale on tak był przejęty nagłą wiadomością, że nie tknął nawet jedzenia.

Wkrótce potem dozorca przyszedł zabrać tacę.

— Jak ty się właściwie nazywasz, chłopcze? — rzekł Johnny obojętnie. — Nie chciałbym mówić do ciebie „drabie“ — to ordynarne.

— Na imię mi Bill, — rzekł dozorca, — ale nie nazywaj mnie Billem. Mów mi „sir“.

— Hoho! — rzekł Johnny z podziwem. — Mówisz jak prawdziwy „oprawca“!

Drzwi zatrzasnęły się znowu z trzaskiem, i Johnny miał czas zastanowić się nad swemi planami. Zabrano mu zegarek z łańcuszkiem, złotą papierośnicę i mały scyzoryk, ale strata tych przedmiotów nie martwiła go wcale. Przedewszystkiem szło mu o to, by poznać dokładnie

więzienie Keytown, a wiadomości te postanowił zdobyć jak najrychlej.

Było późne popołudnie; domyślał się, że było koło czwartej, gdy mu przyniesiono lunch, a Johnny był gotów zabrać się do jedzenia, choć miał pewne podejrzenia co do przypuszczalnych domieszek.

— Niema trucizny, Bill? — zapytał żartobliwie, biorąc z ręki dozorca chleb z serem.

— Nie potrzebujemy dla ciebie trucizny; moglibyśmy cię zagłodzić, nie? — rzekł Bill. — Gdyby Jeff był, oberwałbym napewno, że ci coś wogóle przynoszę.

— Niema go, powiadasz? Well, tnilej jest w więzieniu, kiedy zarządzającego niema. Rację mam, Bill? A cobyś powiedział do paru setek prawdziwych pieniędzy?

— Za co? — zapytał Bill, zatrzymując się przy drzwiach. — Jeżeli ci się zdaje, że mógłbym ci za to pomóc wyfrunąć, to jesteś bałwan. Musisz tu zostać, aż cię Jeff unieszkodliwi.

Przez cały dzień słyszał, a raczej wyczuwał Johnny charakterystyczny warkot, pochodzący z odległej części więzienia.

— Macie tu elektryczność, Bill? — zapytał niewinnym tonem.

— Tak, — rzekł Bill. — To wzorowa klatka.

— Wierzę, — odparł Johnny gorzko. — Czy zrobicie może dziś wieczór doświadczenia elektryczne w mojej celi, czy też cały prąd potrzebny wam do drukarni?

Widział, jak twarz Billa skurczyła się.

— Oczywiście robicie tu fałszywe pieniądze, to wie każdy. Posłuchaj mojej rady, Bill: zmykaj, póki czas. Bo cię „psy gończe“ wsadzą do najprawdziwszej „klatki“, jaką kiedykolwiek widziałeś.

Przekonał się, że dozorca uczył się nieswojo, postanowił więc wzmocnić jeszcze wywołane wrażenie.

— Jeffrey zaprowadzi cię prędzej czy później do dziury, bo to z urodzenia zdrajca. Ale on ma pieniądze, Bill, może się zaraz ulotnić, ma auta, samoloty. Ty nic nie masz. Będziesz musiał zmykać na własnych nogach i „psy gończe“ złapią cię w pół drogi.

— Ech, stul pysk! — rzekł Bill, któremu zrobiło się nieswojo, i rozmowa zakończyła się jak rano trzaśnięciem drzwi.

Wkrótce potem w drzwiach celi otworzyło się małe okienko.

— Jak wpadłeś na myśl, że to jest drukarnia? — zapytał głos Billa.

— Nie wpadłem na tę myśl; wiem to, — rzekł Johnny stanowczo. — Jeżeli przyjdiesz do mnie dzisiaj wieczorem, powiem ci, jak się nazywa każdy robotnik tutejszy, gdzie stoi każda prasa i jak długo będziesz siedział w więzieniu.

Okienko zamknęło się znowu.

Jeffrey'a nie było; to było wielkie szczęście. Gdyby nie wrócił na noc... Johnny był zaniepokojony o Marney i musiał skupić wszystkie siły, aby opanować nerwy.

Po godzinie Bill powrócił. Nie przyprowadził wprawdzie z sobą żadnego dozorca, ale dla bezpieczeństwa mówił przez okienko w drzwiach.

— Bujasz, Johnny Gray. Jest tu jeden chłop, który siedział z tobą w klatce, i powiada, że z ciebie najgorszy łgarz na świecie. Nie wiesz nic.

— Wiem prawie wszystko, — rzekł Johnny z przechwałką. — Wiem naprzykład, że w celi pode mną znajduje się młoda pani. Jak się jej wiedzie?

Bill zmieszał się na chwilę.

— Kto ci to powiedział? — zapytał podejrzliwie. — Nikogo prócz mnie nie było tu przecież?

— Nikogo. To należy do mojej ogólnej wiedzy. Posłuchaj, Bill. Jak traktujecie tę panią? Życie twoje zależy od tej odpowiedzi, pamiętaj.

— Bądź o nią spokojny, — rzekł Bill głosem niepewnym. — Dostała celę skazanych na śmierć, z łazienką i wszelkimi wygodami, lepsze łóżko, nie takie, jak twoje. A mnie nie nastraszysz, Gray.

— Napewno, — rzekł Johnny, — Przynieś mi trochę wody.

Ale woda nie zjawiała się, i było już zupełnie ciemno, gdy Bill ukazał się znowu. Johnny nadsłuchiwał pod drzwiami; przyszedł sam. Johnny podniósł nogawkę i ukazała się podwiązka, z której Parker był tak dumny. Ale nie była to zwyczajna podwiązka. Do wewnętrznej strony skórki przymocowany był mały futerał. Rewolwer, który się w nim znajdował, nie miał czterech cali długości, ale jego małe, stępione kulki należały do najniebezpieczniejszych.

Drzwi otworzyły się i Bill wszedł.

— Jeff wrócił... — zaczął, ale Johnny przerwał mu:

— Wejdz i pośpiesz się.

Z szybkością błyskawicy pochwycił lewą ręką prawicę dozorca, w której był rewolwer, i wykręcił ją w bok, podczas gdy w jego prawej ręce błysnęła mała broń.

— Ten rewolwerek wygląda może bardzo niewinnie, ale zrobiłby ci dziurę w sercu, która na resztę życia byłaby dla ciebie bardzo niewygodna.

Jednym ruchem wyrwał rewolwer z ręki Billa i schował.

— Siadaj, — rzekł. — Czy jest ktoś w hall'u?

— Na Boga, żeby tego Jeff nie zobaczył. Zabię mnie, — błagał zrozpaczony Bill.

— Żalby mi było bardzo, — rzekł Johnny.

Rzucił okiem do hall'u: był pusty; powrócił więc do swego więzienia.

— Stań przy ścianie. Chcę zobaczyć, co masz w kieszeni.

Dłonie jego szybko i skutecznie przeszukały Billa. Chciał już schować klucz dozorczy do kieszeni, gdy uderzył go jego wygląd.

— Zdaje się, że to klucz główny. No, nie rób teraz hałasu, Bill, bo będziesz wypuszczony rano, a może uda mi się przemówić za tobą dobre słówko przed sądem przysięgłych w Oksfordzie. Coś mi się w tobie podoba. Lubię naiwnych przestępców, a ty jesteś rzeczywiście dość naiwny!

Wszedł z celi, zatrzasnął drzwi i przebiegł szybko ciemną galeryjkę, aż do schodów, prowadzących w dół.

W hall'u nie było nikogo. Bill był widocznie jedynym dozorcą. Johnny zszedł już ze schodów, gdy otworzyły się drzwi na końcu hall'u i ktoś wszedł. Szybko wcisnął się Johnny we wgłębione drzwi jednej z cel. Weszli dwaj mężczyźni, a jednym z nich był, jak przypuszczał, Jeff. Raz, dwa, trzy, cztery — czwarte drzwi od końca. Były to drzwi do celi Marney, bezpośrednio pod jego celą. Widział, jak Jeffrey zatrzymał się, usłyszał znany dźwięk otwieranego zamka, i wróg jego znikł, pozostawiwszy towarzysza swego na straży.

Gdyby Jeffrey spróbował zamknąć za sobą drzwi, Johnny zabiłby jego towarzysza bez względu na skutki. Ale Jeff był tylko przez kilka minut nieobecny. Wychodząc myślał straszliwe groźby, od których Johnowi Gray'owi włosy dębem stanęły na głowie. Ale były to tylko groźby.

Drzwi hall'u zamknęły się za Jeffrey'em Legge i jego towarzyszem, i Johnny pośpieszył do Nr. 4. Gdy drzwi otworzyły się, dziewczyna cofnęła się pod ścianę.

— Nie dotykaj mnie! — krzyknęła.

— Marney!

Na dźwięk jego głosu stanęła w miejscu jak wryta. W następnej chwili leżała, śmiejąc się i płacząc, w jego ramionach.

— Ale, Johnny, jak ty się tu dostałeś?... gdzie byłeś?... nie opuścisz mnie już przecież?...

Johnny uspokajał ją i kołł, jak mógł.

— Zostanę tutaj... On pewnie powróci. A wtedy będzie z nim źle!

I Jeffrey przyszedł. Kiedy dwoje stalowych rąk chwyciło go za gardło, a zniechęcony głos wroga dotarł do jego uszu, przepowiednia Johnny Gray'a spełniła się.



## ROZDZIAŁ XXXII.

Przez chwilę Legge był jak sparaliżowany z trwogi i wściekłości. Potem w dzikiej rozpacz kopnął z całej siły człowieka, który zeskoczył z łóżka i trzymał go. Usłyszał krzyk i uczył, jak kleszcze koło jego szyi zwolniły na sekundę; jak piskorz wyslizgnął się z nich, rzucił się do drzwi i zatrzasnął je za sobą. Bez tchu stał przed wejściem do celi, aż usłyszał od wewnątrz szmer w zamku i zrozumiał, że Johnny wsadził klucz do dziurki. Natychmiast wsadził do niej własny klucz i przekręcił go trochę, aby go nie można było wypchnąć z przeciwnej strony.

Johnny Gray! Jak on się tu dostał? Jeffrey wbiegł po schodach i począł walić do drzwi celi, w której Johnny był zamknięty. Odpowiedział mu niewyraźny pomruk.

— Łajdaku! — zawył Legge. — Wypuściłeś go! Zdrajco! Możesz tam teraz siedzieć i zdychać z głodu, do diabła!

— Nie wypuściłem go. Napadł mię. Pilnuj się, Jeff, on ma rewolwer.

Wiadomość ta zaniepokoiła Jeffa. Ubranie Johna było przeszukane tylko pobieżnie, ale wydawało mu się niemożliwe, aby Gray miał jakąś broń, której nie dostrzeżono.

— Wypuść mię, Legge, — prosił uwięziony. — Masz przecież klucz.

Jeffrey przypomniał sobie, że istniał jeszcze trzeci klucz. Może ten człowiek mógł mu się przydać. Jeffrey był jeszcze dość słaby po otrzymanej ranie i mógł potrzebować jego pomocy.

— Dobrze, przyniosę klucz. Ale jeżeli mię zdradziłeś...

— Nie zdradziłem cię, powiadam. Napadł mnie...

Legge pobiegł do swego pokoju, znalazł klucz i wzmocniwszy się znowu tęą porcją whisky, powrócił i uwolnił Billa.

— Zabrał mi też rewolwer, — oznajmił Bill. — Gdzie inni chłopcy? Załatwimy się z nim zaraz.

— Poszli, — rzekł Jeffrey.

Jakiż on był głupi! Gdyby wpadł na myśl zatrzymania szajki przez kilka jeszcze godzin. Ale był bezpieczny, gdyby się tylko Johnowi nie udało uciec przez okno.

— W moim pokoju znajdziesz pistolet; leży w prawej górnej szufladzie biurka, — rzekł szybko. — Weź go i stań na dziedzińcu przed oknem celi Johna. Jeżeli spróbuje uciekać, strzelaj. Bo jeżeli on ucieknie, zrobisz długą podróż, przyjacielu.

Tymczasem w celi Johnny siedział zły obok dziewczyny i zastanawiał się nad położeniem.

— Moja droga, nie będę przed tobą ukrywał, że stanie się tu niezadługo jakieś poważne nieszczęście, — rzekł. — Przypuszczam, że w więzieniu jest sporo ludzi, a gdybym się nawet, jak sądzę, uporał z dwoma czy trzema, ostatecznie jednak oni dadzą sobie radę ze mną.

Marney trzymała jego dłoń, a uścisk jej palców mówił mu, jak mocno mu ufała.

— Johnny, drogi mój, co to wszystko znaczy? Cóż się może stać? Oni nie mogą wejść, a my nie możemy wyjść. Jak długo potrwa, aż umrzemy z głodu?

Johnny zastanawiał się już nad tą kwestją.

— Około trzech dni, — rzekł tonem tak rzeczowym, że Marney musiała się roześmiać. — Jediną moją nadzieją jest, Marney, że ojciec twój, który, jak powiadam, uciekł, wie o tem miejscu więcej, niż dał po sobie poznać.

— A ty wiedziałeś coś o niem? — zapytała Marney. Johnny zawahał się.

— Tak, zdaje się, że wiedziałem. Nie byłem pewien, chociaż powinienem się odrazu domyślić, gdy Fenner ostrzegał mnie przed Keytown Jail. Ci mili chłopcy lubią mówić pod przerośniami i otaczać się tajemniczością. Poza tem powinienem się domyślić, że Fenner musiał wiedzieć o przejściu więzienia w prywatne ręce.

Zbadał kraty przy oknie, ale musiał przyznać natychmiast, że ucieczka tą drogą była niemożliwa, jeśli się nie posiadało odpowiednich narzędzi do wyłamania krat.

Kiedy wczesnym rankiem ujrzał za oknem nieruchomą postać Billa, musiał ostatecznie wyrzec się tej nadziei.

— Dzieńdobry, Williamie. Widzę, żeś wylazł, — powitał spoglądającego ponuro wartownika, który jednym skokiem ukrył się w bezpiecznym miejscu, wyciągając długi pistolet.

— Nie pokazuj nosa, bo ci go ustrzelę, — zawołał Bill groźnie. — Mamy cię, mr. Gray!

— Niedługo ciebie będą mieli, mój biedny Williamie, — rzekł Johnny smutnym głosem. — „Psy gończe“ będą tu o dziewiątej; nie myślisz chyba, że dałem się zwabić w taką pułapkę? Nie, naprawdę, nie. „Zasypałem“. To był mój jedyny ratunek, Williamie. A *twoim* jedynym ratunkiem jest, zmykać jak najszybciej i zgłosić się na świadka koronnego. To moja przyjacielska rada.

— Nie wyjdiesz stąd żywy, — rzekł Bill. — Zabiję cię.

— Rzeczywiście? — zaczął więzień uprzejmie, gdy nagły krzyk skłonił go do odwrócenia się.

— Johnny!

Zasuwa, która zamykała okienko w drzwiach, została nagle szarpnięta i lufa rewolweru Jeffrey'a ukazała się w otworze. Zaledwie Johnny rzucił się napłask na podłogę, gdy rozległ się ogłuszający strzał. Coś uderzyło w ścianę, odbiło się od sufitu i spadło pod nogi Marney. Zanim broń została wyjęta, Johnny Gray strzelił także. Wygięty koniec kraty wskazywał miejsce, w które trafiła jego kula.

— Pora żartów minęła, — rzekł Johnny wesoło. — Teraz siądziesz sobie w tym kąciku, moja pani, i nie ruszysz się bez mego pozwolenia. — Wskazał na ścianę, najbliższą drzwi i dającą zupełną pewność bezpieczeństwa, podsunął zydell i usiadł obok Marney. — Jeffrey ma twarde orzech do zgryzienia, — rzekł swobodnym, charakterystycznym dla niego tonem. — Nie może podpalić więzienia, bo nie ma nic do spalania. Nie może wejść i nie może wyjść. Gdyby chciał wyjąć na chwilę ten przekłety klucz...

— Z łazienki prowadzą jeszcze drugie drzwi, — rzekła nagle Marney. — Zdaje się, że na plac do przechadzki. Przez okno widać otaczającą go kratę.

Johnny wszedł do łazienki i zbadał drzwi. Wysunął głowę przez wybitą szybę i ujrzał placyk o powierzchni koło dziesięciu jardów kwadratowych, służący dawniej dla skazańców, którzy mogli tu, niewidziani przez towarzyszków, zażyć ruchu. Wsadził klucz w zamek i ku wielkiej radości przekręcił go bez trudu. Po chwili stanął na małym, brukowanym dziedzińcu.

Kiedy się rozejrzał, dostrzegł wysoką, wąską bramę, która zdawała się jedynym wyjściem z placu. Zaś po drugiej stronie bramy znajdował się William, wartownik,

który był uzbrojony i tak przerażony, że mógł być niebezpieczny. Zdjąwszy buty, Johnny podkrał się do bramy i począł nad słuchiwać. Słychać było kroki Billa, który spacerował po brukowanej ścieżce. Johnny schylił się i wyjrzał przez dziurkę; Bill był od niego oddalony zaledwie o sześć kroków i zwrócony do niego plecami. Nie było czasu do stracenia. Johnny wsadził klucz w zamek i brama otworzyła się, a gdy się Bill odwrócił, ujrzał skierowaną na siebie lufę rewolweru.

— Ani mru-mru, — szepnął Johnny. — Albo jesteś trup. Oddaj pistolet, nieszczęśliwco. — Jednym ruchem wyrwał przerażonemu przestępcy broń z ręki.

Silnem pchnięciem zapędził go na plac do przechadzki.

— Zostaniesz tutaj, — rzekł, zamykając bramę i Bill (nazwisko jego, o czem Johnny nie wiedział, było Holliss) został po raz drugi więźniem.

Skradając się wzdłuż muru, posuwał się Johnny w kierunku hall'u. Drzwi były otwarte. Z rewolwerem w rękę i palcem na cynglu wpadł Johnny do środka.

— Ręce do góry! — krzyknął.

Jeffrey Legge odwrócił się na te słowa. Rozległ się grzmot i kula przemknęła koło twarzy Gray'a, który natychmiast wypalił także. Ale Jeffrey biegł już zygzakiem w prawo i wlewo i Johnny nie mógł strzelić. Legge znikł za drzwiami na końcu hall'u, zatrzasnął je za sobą, a Johnny rzucił się za nim.

Kiedy wybiegł na dziedziniec koło zakratowanej bramy, ujrzał, jak Jeffrey znikł w portierni. Johnny chciał otworzyć kratę, ale napróżno, gdyż brama wejściowa więzienia może być otwarta tylko specjalnym kluczem. Zamek jej jest jedynym, którego nie otwiera klucz główny.

Johnny skierował rewolwer na portjernihę i czekał. Rozległ się donośny szmer i pośrodku bramy coś zaczęło się opuszczać. Widział, jak opadało coraz niżej. Wisząca brama! Zapomniał, że większość więzień prowincjonalnych miała to urządzenie. Legge mógł uciec pod jej osłoną, gdyż zasłaniała ona wejście do portjernih.

Johnny powrócił do dziewczyny.

— Pozostań w swoim ukryciu. On uciekł, — ostrzegł ją. — Jeszcze z nim nie koniec.

Brama była spuszczone. Jeffrey włożył płaszcz, który zostawił w portjernih, schował rewolwer do kieszeni i otworzył główne wrota. Co najmniej dwanaście godzin przewagi, myślał, wychodząc na wolność...

— Proszę bardzo, nie wkładać ręki do kieszeni, mr. Jeffrey'u, — rzekł skargliwy głos. — Byłoby mi *tak bardzo* przykro, strzelać do bliźniego. Sprzeciwiałoby się to moim najgłębszym zasadom.

Jeffrey podniósł ręce jak mógł najwyżej, gdyż mr. Reeder nie był sam. Za nim stało czterech uzbrojonych policjantów, a oddział konnej policji, tworzącej półokrąg, odcinał mu odwrót. Zaś najstraszniejsze z wszystkiego była to skażona śmiertelną nienawiścią twarz Piotra Kane, który stał po prawej stronie Reedera.

## ROZDZIAŁ XXXIII.

Po raz pierwszy w życiu uczuł Jeffrey Legge zimne dotknięcie kajdanek ręcznych. Zaprowadzono go zpowrotem do portjerni, podczas gdy dwaj policjanci zajęli się windą, podnoszącą wiszącą bramę.

— Jestem złapany, Craig, — rzekł Jeff, gdyż inspektorem służbowym był ten straszliwy łowca złodzieiów. — Ale chcę wyznać wszystko, co wiem. Johnny Gray należał do interesu. Wyrabia on moje „błoto“ już od lat. Prasy drukarskie znajdziecie w drugim hall'u, ale reszta ptaszków wyfrunęła.

— Pofrunęły wszystkie do więzienia policyjnego w Oxfordzie, — rzekł Craig, — i śpiewają tam wesoło swoje najpiękniejsze piosenki. Wczoraj o jedenastej w nocy policja oksfordzka złowiła całe auto ptaszków. Niestety nie były one tak skore do „sypania“, jak pan.

— Johnny Gray należał do interesu, powiadam.

— O! Jak pan może twierdzić coś podobnego? — rzekł mr. Reeder oburzony. — Jestem przekonany, że mr. Gray jest zupełnie niewinny.

Jeffrey spojrział na niego z pogardą i roześmiał się drwiąco.

— Z pana to już zupełnie komiczny „pies gończy“. Craig zabrał pana pewnie z sobą?

— Nie, — mruknął mr. Reeder, — sam się zabrałem.

— Jedyną rzecz, którą mogę o panu powiedzieć, — rzekł Jeffrey Legge, — to, że jest pan sprytniejszy od starego Goldeny — a to niewiele.

— Rzeczywiście niewiele, — mruknął mr. Reeder.

— Ale nie jest pan dość sprytny, żeby wiedzieć, iż Johnny Gray od lat siedzi w tym interesie.

— Nawet gdy był w więzieniu? — zapytał mr. Reeder niewinnym tonem. — To wydaje mi się bardzo mało prawdopodobne, nie sądzi pan? Ale nie spierajmy się, mr. Legge.

Brama wisząca została wkrótce podniesiona i Marney znalazła się po kilku minutach w objęciach ojca.

— Johnny, zasypano pana, — rzekł Craig, potrząsając jego rękę. — Opowiadają, że pan był zainteresowany w tem „błotnem“ przedsiębiorstwie. Póki jednak nie mam dowodów, nie uwierzę w to.

— Kto zamordował starego Legge'a? — zapytał Johnny. Detektyw potrząsnął głową.

— Nie wiemy. Ale Stevens znikł, a Stevens był bratem Fennera. Dowiedziałem się o tem od mr. Reedera, który, zdaje się, rozporządza poważnymi źródłami.

— Bynajmniej, — bronił się łagodnie mr. Reeder. — W rzeczywistości mam tylko jedno doskonałe źródło, któremu zawdzięczam wszystko. Ale pan potwierdzi chyba moje zdanie, Johnny, że Stevens był bratem Fennera?

Ku zdziwieniu Piotra John skinął potakująco głową.

— Tak, wiedziałem, że byli braćmi; i nie potrzebuje dodawać, że nie nazywają się ani Stevens, ani Fenner. Jest rzeczą więcej niż pewną, że stary Legge zdradził Fennera, wpakował go z interesem na Berkeley Square, i możliwa, że Stevens dowiedział się o tem i wyczekał sposobność, aby się porachować z Legge'iem. Ujęliście go?

— Jeszcze nie, — rzekł Craig.

— A prawdopodobnie wogóle nie, — rzekł Johnny.

— Co masz zamiar zrobić ze mną, Piotrze?

Objął Marney ramieniem, a Piotr uśmiechnął się.



— Będę musiał oczywiście pozwolić na wasz ślub, Johnny, czy jesteś uczciwym człowiekiem, czy nie. Chciałbym cię widzieć na dobrej drodze i zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby...

— To mogę panu obiecać, — rzekł mr. Reeder. — I pozwólcie mi państwo na małe wytłumaczenie się. Jestem mianowicie jakby wilkiem w owczej skórze, czy też owcą w wilczej skórze. Nazwisko moje jest właściwie Golden.

— Golden! — zawołał Craig. — Ależ sądziłem przecież, że Golden porzucił ten zawód?

— Porzucił, a jednak nie porzucił, — wyjaśnił mr. Reeder tajemniczo. — Jestem bardzo dobrym urzędnikiem, — wyznał łagodnym tonem, patrząc poważnie ponad binoklami, — ale dość nieudolnym w służbie wywiadowczej, a choć od czasu, gdy mr. John Gray Reeder został mianowany naczelnym inspektorem mego oddziału...

— Czekaj pan! — zawołał skonsternowany Craig. — John Gray Reeder? Cóż to za inspektor John Gray Reeder?

Mr. Golden wskazał ręką na uśmiechniętego Johnny Gray'a.

— Johnny! Ty „psem gończym“! — zawołał Piotr zmieszany. — Przecież siedziałeś w więzieniu?

— Naturalnie, że siedziałem, — rzekł Johnny. — To było jedyne miejsce, gdzie mogłem dowiedzieć się czegoś o Wielkim Drukarzu, i dowiedziałem się wszystkiego, czego potrzebowałem. Próba trwała dwa lata, ale opłaciła się jednak, chociaż omal nie utraciłem przy tem jedynej rzeczy, która życiu memu nadawała wartość, — rzekł. — Musisz mi wybaczyć, Piotrze, gdyż śledziłem i ciebie; dobry detektyw nie zna wyjątków. Czuwałem nad tobą i każdym z twych kolegów, zaś przedewszystkiem czuwałem nad Marney. A teraz chciałbym już zawsze czuwać nad nią!

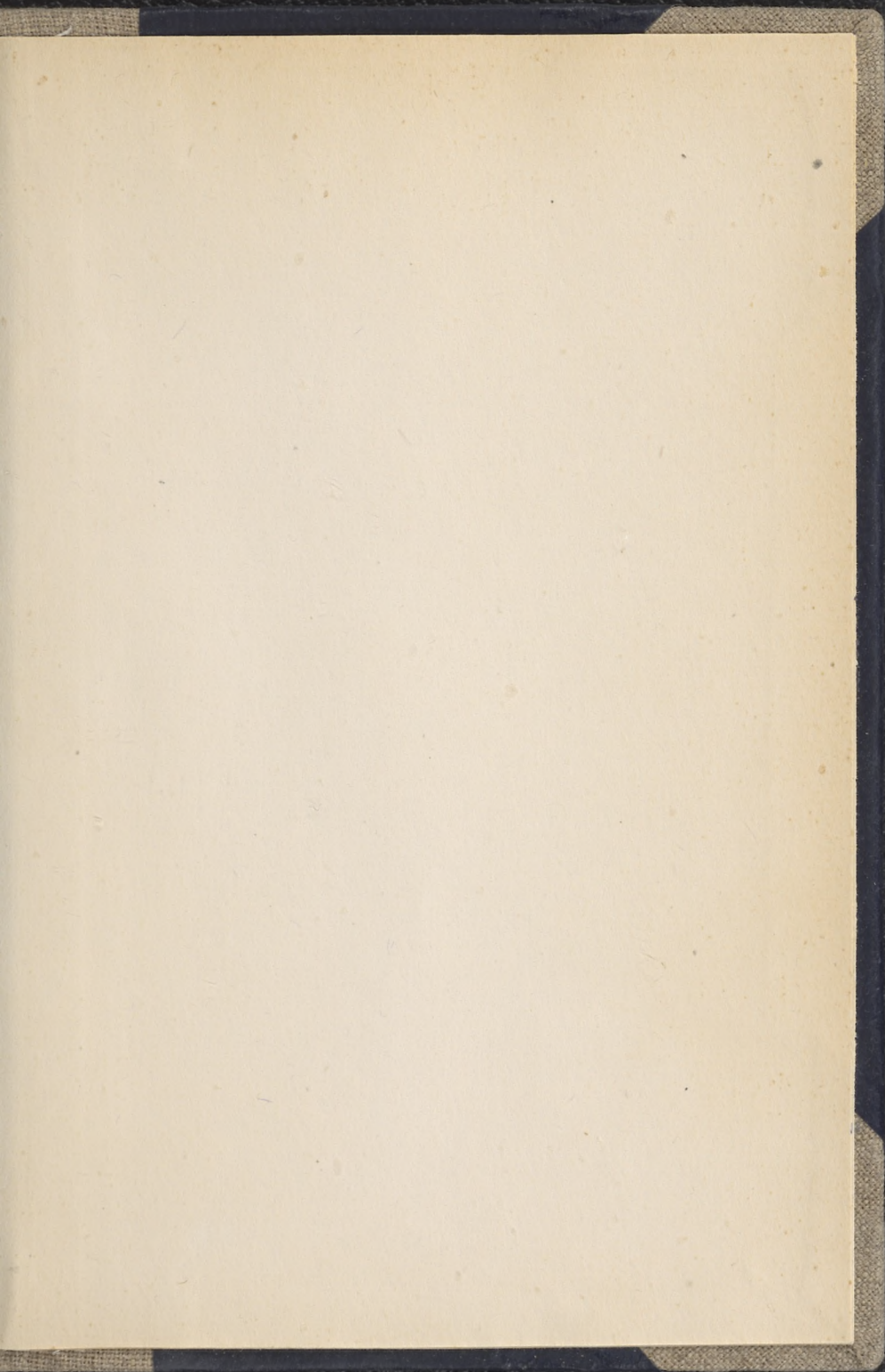
— Widzicie państwo, — rzekł mr. Golden, któremu widocznie zależało bardzo na tem, aby usunąć od siebie najmniejsze podejrzenie zrzęcnosci, — ja byłem tylko uważnym słuchaczem informacji, które sygnalizował John. Wiedziałem wszystko o tem małżeństwie i ja to posłałem kobietę-detektywa do hotelu Charlton — to z polecenia Johna. To wyjaśnia też, że owego wieczora mógł on wykazać swoje alibi, gdyż oczywiście wydział policyjny zna go i każdej chwili gotów jest poświadczyć alibi urzędnika, który przypadkowo wpadł w podejrzenie, iż popełnił przestępstwo.

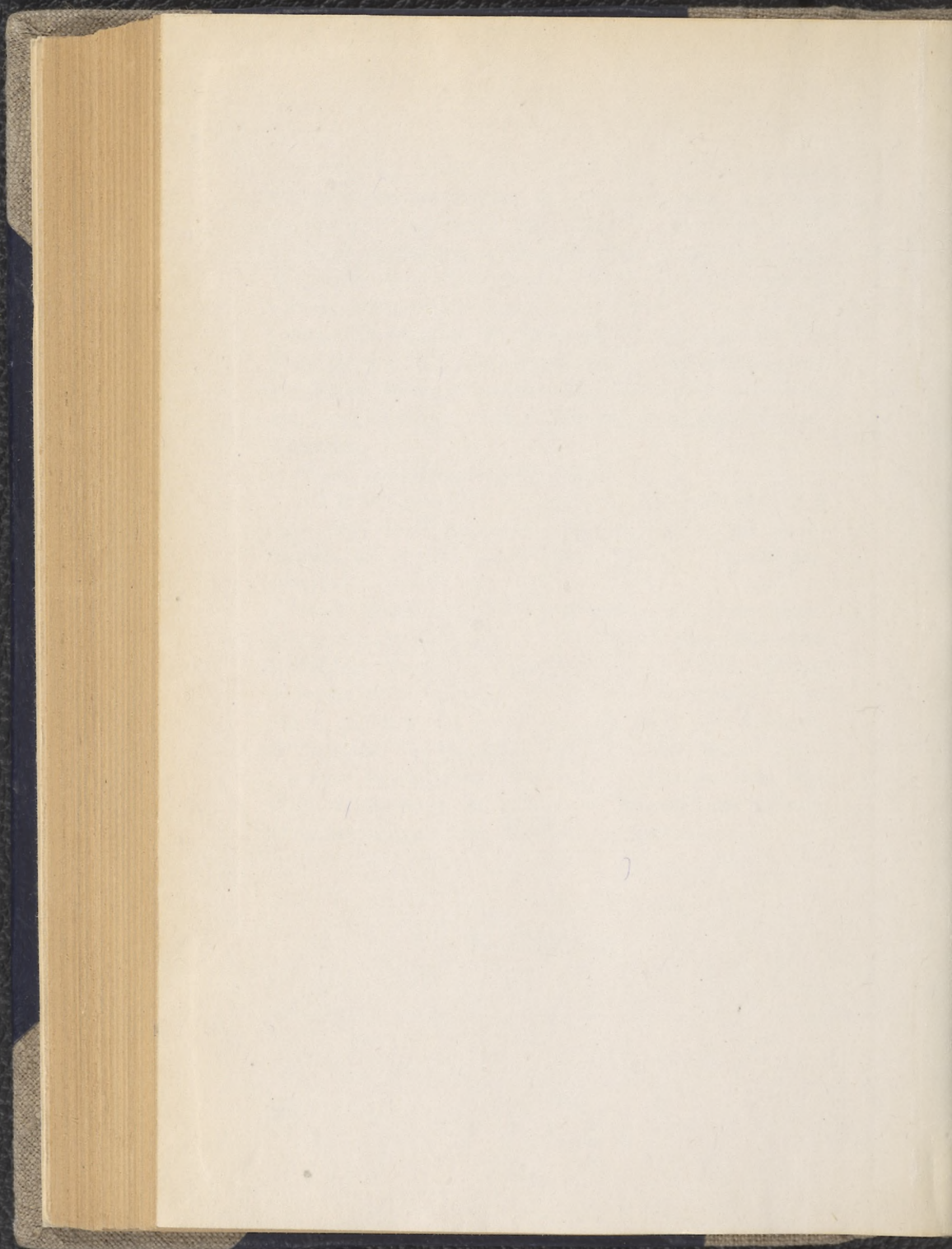
— Jak znaleźliście to więzienie?

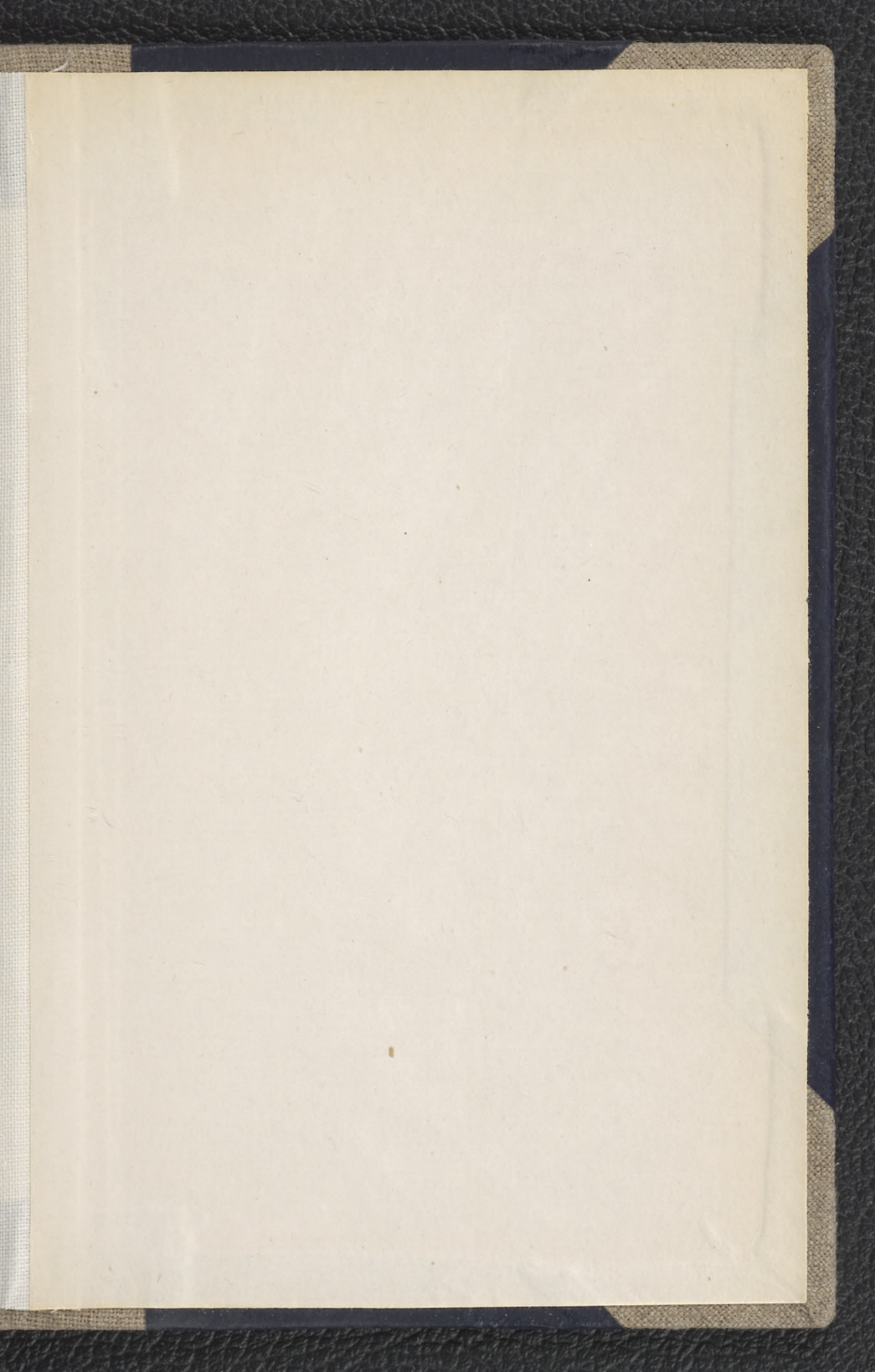
— Fenner „zasypał“, — rzekł mr. Golden z wyrazem zgorznienia. — Wyraz „zasypywać“ wydaje mi się bardzo niemiły, ale to właśnie jest wyraz właściwy. Tak, Fenner „zasypał“.

Dwoje szczęśliwych ludzi powracało autem, które przywiozło Marney do Keytown. Okolica pomiędzy Oksfordem a Horsham należy do najpiękniejszych w Anglii. Droga prowadzi przez cudowny las, do którego można wjechać autem, chroniąc się przed wzrokiem ludzi, znajdujących się na szosie. W stosownem miejscu Johnny zwolnił biegu i wjechał w najgęstsza część lasu. A Marney, która siedziała obok niego ze splecionemi rękoma, nie szukała długo wyjaśnienia tego dziwnego zachowania.

K O N I E C .

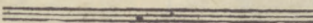








1220829



Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001014352575